

WANDA MIŁASZEWSKA

KACZĘTA

POWIEŚĆ



1937

NAKŁADEM BIBLIOTEKI DOBRYCH KSIĄŻEK
Ł O M Ź A

BIBLIOTEKA DOBRYCH KSIĄŻEK
WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC
RED. I WYDAWCA: KS. A. ROSZKOWSKI

WIEROŃNIK LITERACKI: A. L. SZYMAŃSKI



WARUNKI PRENUMERATY
z przesyłką pocztową:

46031

	w broszurze	w oprawie
kwartalnie .	zł. 2.50	zł. 4.—
półrocznie .	zł. 5.—	zł. 8.—
rocznie . .	zł. 10.—	zł. 16.—

Cena pojedynczego tomu: zł. 1, — w oprawie zł. 1.60

Redakcja i Admin. B. D. K.: Łomża, Okrzei 13

SKŁADY GŁÓWNE:

w Łomży — Biblioteka Dobrych Książek, Okrzei 13
w Warszawie — K. T. W. „Kronika Rodzinna“, Podwale 4

TOM XIII Ł O M Ż A ROK 2

19 Czcionkami Druk. Diec. w Łomży 37

K-92/78/82332



PAMIĘTNIK TEN
WSZYSTKIM DOBRYM I KOCHANYM CIOTKOM
JEST POŚWIĘCONY.

Wszystkie prawa zastrzeżone.
Copyright by Wanda Miłaszewska.

25 marca.

Tak się złożyło, że akurat dziś zajrzałam do tej szkatułki. Rano pojechałyśmy z Adelcią na grób, jak to zawsze w rocznicę. Mój Boże! Aż mi się wierzyć nie chce, że tyle czasu minęło. Ot, piętnaście lat siostrunia moja w ziemi spoczywa, Antosia droga, a tu — jak z bicia trzasł, i dzieci wszystkie porosły! Już nie dzieci, bo i Marek przecie piętnaście lat wczoraj skończył, a jaki wysoki chłopak wyrósł z tego chucherkal! O Adelci nawet nie mówię. To już całkiem dorosłe pannisko. W tym roku pensję ukończy. Edukacja, jak się patrzy... Oj, moja Antosiu, moja Antosiu! że też nie doczekałaś, że też się nacieszyć nie możesz widokiem swoich dzieciaków.

Marek, jak Marek. Herkulesem nigdy nie był, bo to i za wcześnie urodził się — i potem na butelce... Ale Tomek, ale Staś, ale Adelcia! Tomaszowi wasy nie na żarty podrosły. Żeby nie te wasy i żeby nie Teofila nos, byłaby wykapaną Antosia...

Straszna mię żalność dziś rozpiera; od samego rana, jak tylko wstałam, rady sobie dać nie mogę. A jakeśmy z Adelcią przy sobie klękały i jakem na ten mój wianuszek w szklanym pudełku spojrzała, to mi wszystko w oczach

stańło, zupełnie, jakby nie piętnaście lat, ale i piętnaście dni nie minęło.

Ten wianuszek papierowy i pudełko z szklanym wieczkiem wtedy aż 12 rubli kosztowały. Co tam — myślałam sobie — niechże będzie drogo, przecież to dla mojej siostruni. A teraz to się nacieszyć nie mogę, żem to wtenczas kupiła. Bo proszę: bibułka wyblakła, prawda, ale zawsze poznać można, że kwiatki, że róże, a pudełko, chociaż zardzewiało po wierzchu, szczelne... Wilgoć tylko od boków pozachodziła, a i to niewiele. I leży sobie na tym grobie tyle lat...

Pan Bóg wie, co czyni, prawda, ale czasem, to się powstrzymać nie mogę i myślę, że przecie mógłby pozwolić, żeby Antosia pożyła jeszcze i z dzieci doczekała się pociechy. Taką młodą zabrał ją Bóg... I cztery zostawiła sieroty, nie licząc męża i siostry stroskanej, co po niej płacze dotychczas... Byłoby tego drobiazgu pięcioro, gdyby Julisia krup nie zgładził. Pięcioro dzieci! Miała rację pani Klimaszewska, że kobietę zamęczyły dzieci... Pamiętam dokładnie jej słowa. Mówiła tak:

— Niech się pani nie gniewa, panno Justyno, ale ten pani szwagier, to istny kat! Zobacz pani, że Antosia tak długo nie pociągnie! Kto widział coś podobnego... Czworo dzieci, rok po roku, że ani dnia ująć, a teraz słyszę, znowu...

I właśnie w połogu, przy tym piątym, umar-

ło biedactwo. Już z samego początku widzieliśmy, że źle. Długi czas pokwękiwała Antosia, a w końcu położyła się do łóżka na dwa miesiące. Doktor mówił: będzie z tego bieda. I różne tam nawet rady dawał. Ale Antosia się uparła: „nie — powiada — i nie"! Wstała z łóżka, ale chodziła po domu, jak ta mucha jesienna. Próbowala coś robić, szyć, cerować... Oho! wiedziałam ja dobrze... niech tylko pomyśli biedactwo, że jest sama i nikt na nią uwagi nie zwraca, ręce na kolana opuści i siedzi bez ruchu, bledziutka, z takim wyrazem boleści na twarzy, że mi się serce krajało... Wtedy tom jeszcze nie mieszkała u nich, tylko na Wilczej, ale przecież załatwiałam ciągle dowiedzieć się, jak i co.

No — i dowiedziałam się któregoś dnia ładnych rzeczy!

Przychodzę, (pamiętam, był to ranek, dwudziestego marca w sobotę) aż tu w domu rwetes, gwałt! Teofil nie poszedł do zajęcia, tylko biega po całym mieszkaniu i wszystkich wypytuje:

— Będzie doktor? Kiedy doktor przyjdzie?

Ze mną się ledwie przywitał i zaraz do drzwi poleciał, bo właśnie zadzwonili. Dopiero od niańki dowiedziałam się piąte przez dziesiąte, że Antosia...

Chryste Panie! Jakby mi kto obuchem dał w głowę. Widocznie już wtedy przeczułam, jak to się skończy. A trzeba trafia, że właśnie

poprzedniego dnia była jakby zdrowsza i nawet śmiała się razem z nami... Tak, mówiliśmy coś o imionach dzieci, a Antosia nagle śmiać się przestaje i do Teofila na ucho, ale tak, że słyszałam każdziutką literę:

— Ten, to musi być Marek.

Pamiętam, że Teofil się nawet z początku oburzył, że niby skądże znowu Marek, dlaczego Marek.

-- Zresztą -- powiada -- skąd ta pewność, że to będzie właśnie Marek, a nie Markowa...

A wtedy Antosia, nawpół z uśmiechem, ale tak jakoś rzewnie:

— Musi być chłopiec, bo to za Julisia...

I zaraz potem dodała:

— A ja tak proszę, żeby się nazywał Marek. Mój Teofilu, już niech będzie Mareczek... Mój złoty!

A nazajutrz taka bieda! Urodził się ten Marek w cztery dni potem. Już sama nie wiem, jakim cudem się stało, że on wyżył, bo i doktor głową nad nim kiwał litośnie i z wody ochrzciliśmy go sami na gwałt, bo się zdawało, że to chuchro godziny nie przeżyje... Tymczasem — przeżył. I Antosia nazajutrz umarła, a on żył, choć tak ledwie, ledwie, pomaleńku, jakby to życie kołatało się w nim od niechcenia.

Co to za drobiazg został po tej Antosi! Jeden Tomasz za trumną siedł z ojcem, bo już miał wtedy pięć lat... Staśka na ręku niosłam,

a kucharka z malutką Adelcią w domu siedziała przy Marku...

Jakem wtedy rankiem do nich przyszła, tak się nie ruszyłam przez całą chorobę Antosi, a i potem...

Powiedział Teofil:

— Justysia u nas teraz zostanie?

To i zostałam. Co było robić... A i koło Marka chodzić ktoś musiał starannie, butelki z mlekiem grzać, pilnować, żeby miał zawsze ciepło i w porę...

Zostałam. Ot, moje życie było już wtedy tak, jakby skończone. Właśnie się pan Kazimierz ożenił...

Et! Co ja tu wyciągam takie stare dzieje A to wszystko przez to, że na grobie Antosi dziś była, a potem do tej szkatułki zajrzałam.

Sama nie wiem, skąd mi to do głowy przyszło... Stało to szkatulisko spokojnie w kuferku tyle, tyle lat... Zaraz... Trzydziestkę dawno przeszłam, jak Antosia umarła, a pan Kazimierz się właśnie na rok przedtem ożenił. Tak! To tamto już zgórą dwadzieścia lat! Zgórą! Ożenił się z córką wędliniarza. Bóg jeden wie, co czułam w sercu, a przecież życzyłam im szczęścia z głębi duszy, skoro już tak... Jak zaczęły chodzić słuchy, że ona istna sekutnica, szczerze mi żal było pana Kazimierza. Jakoś nie mogę uwierzyć, żeby to był zły człowiek i ja nijakiego żalu do niego nie czuję. Ot los chciał, że ja nie miałam ta-

kiego posagu, a jemu widać tych pieniędzy bardzo było potrzeba, skoro ich aż u córki wędliniarza szukać musiał...

Czy ja zgłupiałam na stare lata? Włosy siwe, a tu androny po głowie się tłuką!

A to wszystko przez tę szkatułkę. Jakem ją wydostała z kufra, zrazu nic. Patrzę, patrzę na mahoniowe wieczko, potem kluczyk wolniutko przekręcam... nic. Zauważyłam, że wewnątrz aksamit trochę wyblakł i tyle... Aż tu nagle, ni stąd ni zowąd, jak mię coś nie chwyci za serce! Jak mię nie szarpnie... Jak nie zadławi w gardle... Chryste Panie!

Na samym wierzchu leżał ten dzienniczek, różową wstążeczką na krzyż związany... To mi tak zaraz wszystko w pamięci stanęło, jak żywe, jakby to wczoraj było, a nie tyle, tyle lat temu...

Wstążeczką miałam związane warkocze na tym wieczorku u ciotki, gdzie właśnie poznałam pana Kazimierza. Miałam wtedy sukienkę białą muślinową w groszki, ślicznie różyczkami w dole poupinaną. Nie darmo w magazynie pracowałam u ciotki, nauczyłam się bukietiki wiązać, a nieraz, to tak zręcznie w mig zwinęłam girlandę, że aż się klientki nadziwić nie mogły...

Adelcia nie lubi, jak ja ten magazyn wspomnam. Mówi:

— Nie ma się ciocia czym chwalić!

A właśnie, że mam, bo wtedy i między ludźmi potrafiłam się obrócić, i ładnych parę groszy do domu przyniosłam... A jak mi było dobrze, jak wesoło żyć... Ha, młoda byłam! Młodość to się cieszyła we mnie i radowała z życia...

Ale co to ja chciałam? Bo już mię i pamięć odbiegła trochę. Właściwie, to całą tę pisaninę zaczęłam z jedną myślą. Już wiem: więc jakem zobaczyła ten dzienniczek, pisany w latach młodości najpierwszej, tak, przez cały szereg bardzo szczęśliwych lat — to sobie pomyślałam: dobrzeby wrócić do starego przyjaciela.

Czemu nie mam zapisywać w nim, jak dawniej, wszystkiego co mi się przydarzy?

Wprawdzie niewiele mi się ciekawych przygód trafia, zwłaszcza teraz, kiedy po całych dniach albo drepcę po domu, albo naprawiam chłopcom bieliznę, albo w tych przeklętych ogonkach wystaję... Ale zawsze coś zapisać można...

A ten dzienniczek, to był przecież mój serdeczny, jedyny przyjaciel, powiernik myśli najskrytszych...

Ile to łez kapnęło na jego kartki, zwłaszcza pod koniec...

Mój Boże mocny, jak to dziwnie pomyśleć! Przecież był czas, kiedy ja miałam ośnaście, dwadzieścia lat, kiedy śmiałam się częściej, niż

plakałam i wszystko mi się w życiu zdawało takie jasne i wesołe, ot, jak liście na wiosnę...

Staś mię nieraz nazywa „romantyczką” i wyśmiewa się ze mnie, że niby lata mijają, a „sentymentem ode mnie zalatuje, aż w nosie kręci”. Może to i prawda...

Staś, to urwis i ladaco straszne, ale kochany chłopiec. On mi nieraz coś takiego powie, że mię aż w duszy zaboli, ale wiem, że to język jego winien, nie serce, że chłopaczysko starą ciotkę kocha, chociaż jej nieraz dotnie do żywego...

Inaczej z Adelcią. Adelfia zawsze była układna, grzeczniutka, zwłaszcza dla obcych... Et, nie chcę więcej pisać. To tak zaczynam ten dzienniczek? Przeczytałby kto i pomyślał sobie: „wyrzeka stara ciotka na swoich siostrzeńców”... A to nieprawda! Kochane, drogie dzieci i lepszych ze świecą nie znajdziesz... Jeden Mareczek mię niepokoi, bo na zdrowiu często zapada... Że i matka nie była Herkules, jak się Marek miał urodzić, to skąd on miał tych sił nabrać?

Oj, moja Antolko, Antosko najmiłsza! Że też cię Pan Bóg do chwały swojej o jakie 20 lat później nie powołał! Ha, woła niebios, ale że byłoby lepiej i dzieciom, i Teofilowi, i mnie, to pewne...

26 marca.

Rozpisałam się wczoraj, aż usnęłam przy stoliku. Budzę się—na moim dzienniczku kleks, a zegar bije trzecią. Myślę sobie — trzecia? Jakże? Przecieram dobrze oczy, patrzę na skazówki uważnie... Rzeczywiście, trzecia była. Myślę sobie: ładnie! To o szóstej trzeba wstać, chłopcom i Adelci śniadanie przyrządzić, a ja się tłukę, jak Marek po piekle, wspomnieniami głowę zapraszam i jeszcze daremnie naftę wypalam, o którą teraz tak trudno.

Dawniej człowiek, choć nie bogacz, nie potrzebował się z taką rzeczą liczyć. Ot, kupiło się ten garniec nafty za byle co i było. Ale teraz! Niech Pan Bóg zachowa, co to za czasy! Już toby się Antosia nadziwić nie mogła, gdyby żyła... Widział kto płacić funt chleba sześć marek, albo to mięso... Ja Teofilowi i mówić nie śmiem, żeby dawał pieniędzy więcej, bo to co jest, nie starczy. Ot, łatam, jak mogę. Mięso daję najczęściej siekane. Chłopcy zajęci, Teofil też, zjedzą — nie rzekną słowa. Czasem Adelka nosem pokręci, ale ona o wstążki więcej dba niż o obiad... Całe szczęście... Bo gdyby napomknęli, a jeszcze Teofil jak to dawniej, za Antosi życia bywało... Jezu, pod ziemię bym się chyba zapadła! Ale co ja poradzę. Oszczędności, co miałam, to wydałam. Teofil się tam w gospodarskie sprawy nie wdaje, tyle, że pieniądze na pierwszego przyniesie i pyta: dość będzie? Już się oddaw-

na zbieram powiedzieć, że nie dość, ale mi odwagi zawsze zabraknie. Et, łatam, jak mogę. Dawniej się brało 5 funtów mięsa, teraz trzy. Ja tam niewiele co jadam. Jedynie czasem dla Mareczka malutki befsztyczek usmażę, ale to doktor zalecił, żeby się chłopiec dobrze odżywał.

Ale znów zesłałam z drogi w tej swojej gadaninie. Tak to teraz ze mną! Starość, nie ma co!

A chciałam zapisać coś bardzo ważnego, dlatego nawet dziś się do dzienniczka znowu zabrałam, bo przecie nie zawsze, jak wczoraj, czasu tyle wynajdę...

To, żem się tak wczoraj zasiedziała do późna i jeszcze usnęłam przy stole, to było widać losowe. Ledwie oczy przetarłam i godzinę zobaczyłam, aż tu słyszę skrzyp, skrzyp po schodach. Tak mię coś skorciło posłuchać i poczekać, gdzie zmilkną kroki. W każdym razie przez głowę mi nie przemknęło, żeby do nas kto szedł o takiej godzinie. A tu właśnie słyszę, w zamku się klucz obraca, powolutku, ci-chutko — a potem kroki w przedpokoju „człap — człap”.

Wypadam — i kogo widzę? A to mój Tomeczek po nocy się rozbija.

Myślałam, że się chłopak choć zająknie ze zmieszania, a on nic. Najbezczelniej prosto mi w oczy patrzy i powiada, ziewając:

— A to ciocia jeszcze nie śpi?

— Nie — mówię — nie, na ciebie, widzisz, czekałam.

Dopiero Tomek oczy szerzej otwiera.

— A? Stało się co? Zachorował kto? Niech ciocia prędzej mówi!

Wtedy już wytrzymać nie mogłam, wyszłam z siebie z oburzenia na taką bezczelność.

— O której ty do domu wracasz! To ładne rzeczy! To się ojciec ucieszy, jak się dowie! No!

I trzęsę go za ramiona. Dopiero jak się Tomasz nie zacznie śmiać! Pod boki się wziął i mało ze śmiechu nie upadł.

— Cha! cha! — powiada — to ciocia niby na mnie, z reprimendą, — cha! cha! A ile, proszę cioci, mam lat, bo może ciocia nie pamięta?

— Jakże — mówię — nie pamiętam! Dwadzieścia.

— Cha! cha! — woła znów Tomek, aż drzwi przymknęłam do jadalni, boby się wszyscy pobudzili. — To może mnie ciocia do kąta postawi, co? Niegrzeczny Tomcio! Spać nie chce iść! Zmartwienie cioci sprawiał!

Dopiero zaczęłam rozumieć, jakoś mi trochę w głowie zaświtało. Pewnie. Przecież to nie dzieciaczek pięcioletni, co się mego fartucha trzymał i płakał, że mama nie wraca z cmentarza...

Już nawet nic powiedzieć mu nie mogłam więcej, bo mi jednocześnie i wstyd było, i żal, i smutno, i rzewnie, i jakoś nie swojo. Dodałam tylko:

— Ja wiem, ja wiem, żeś już dorósł, Tomku. Wszyscyście dorośli, a ja stara, widocznie zdrowy rozum tracę...

I sama nie wiem, jak się to stało, ale mi łzy popłynęły gradem po twarzy.

Pocziwy Tomek. Trochę on szorstki, ale mię zaraz uściskał i powiedział, żebym sobie głowy nie zwracała głupstwami.

Pewnie. Pięćdziesiąt lat kołaczę się po świecie, a czasem patrzę na świat jak niemowlę.

Tylko, ot, jak pomyślę, że te dzieci, com je wychowała, wypielegnowała, już wyrosły na ludzi, to mi coś, jakby żal, serce ściska.

— Myślę sobie wtedy: a może ja im już niepotrzebna? Póki to było małe, póki się tłukło po domu, czepiało się sprzętów, nabijało guzy—to ze wszystkim do cioci. Ciocia Juścia poradzi, ciocia Juścia naprawi, ciocia Juścia pocałuje, przytuli, cukierka da. A teraz — co co się ciocia wtrąca! Niech ciocia swoich spraw pilnuje, śmieszna ciocia jest, zacofana, przesa-dy, co ciocia mówi...

Może. Może i tak. Oni młodzi, świat się do nich śmieje, ten inny, ten *ich* świat. Idź, ciociu, do pudełka, za szkło ze swoim rozumowaniem!...

Ot, pewnie, że tak. Zajrzałam wczoraj do tej swojej szkatułki, a tam dzienniczek leży, uśmiecha się do mnie pożółkłymi kartkami papieru... Każda karika się do mnie uśmiecha, jedna smutniej, druga weselej, a każda mówi

to samo: pamiętasz, wiele to już lat? Pisała je młoda dziewczyna Justynka. A teraz nad szkatułką łzy wylewa stara ciotka Justyna, albo ciocia Juścia, jak mówią dzieci.

To Mareczek mię tak nazwał, jak był jeszcze zupełnie malutki, a za nim wszyscy inni zaczęli. I tak już zostało.

20 kwietnia.

Co ja mam z tymi chłopcami! Staś, trzpiot, prawda, ale choć uczy się dobrze. Ja nie rozumiem, jak ten chłopiec przechodził z klasy do klasy, bo nigdy do książki nie zajrzał. Co się nie naprosiłam, nie nabłagałam.

— Stasieczku — mówię mu — ucz się, ucz się, dziecko moje! Jak egzaminy przyjdą, to skąd będziesz umiał wszystko?

— Z powietrza! — odpowie na to, albo kiwa się na krzesło i mówi ze śmiechem:

— To ciocia nie wie, że ja od wróbla na dachu słyszę co zadane? A jeden taki z czarną główką zawsze mi podpowiada, z czego mię profesor wyrwie!

Oburzyłam się na to, a on nic, tylko ze śmiechu trząsł się na krzesle, aż straciłam cierpliwość.

— Poczekaj — mówiłam — przyjdzie matura, to dopiero zaśpiewasz cienko, jak nie zdasz.

— Mnie i tak matura niepotrzebna, bo ja prosto ze szkoły pójdę do wojska.

Kaczęta



— Powiedz to ojcu, powiedz.

— Phi! Furda ojciec! A do wojska pójdę! Jak ojciec zabroni, to ucieknę, a jak mię tam gdzie utłuką, to i tak będziecie płakali po mnie, czy będę, czy nie będę miał matury!

— Żeby cię Pan Bóg nie skarał za takie bluźnierstwa — groziłam chłopakowi, ale mię zawsze mróz przejmował. Kto wie? A może on naprawdę spełni te swoje groźby i do wojsko ucieknie. A co wtedy? Taki chłopak jak Staś, to do wszystkiego zdolny. On się niczego nie boi, ani ojca, ani egzaminów; czasem jak coś o Bogu się odezwie, to mię aż ciarki przechodzą i żegnam się ukradkiem, żeby odgonić precz złe moce. Bo choć wiem, że Staś nie żaden niedowiaręk i że ma tylko na języku takie paskudztwa, to przecież i diabeł nie śpi, z każdej okazji korzysta, by duszę niewinną do piekła zawlec.

Wszystkie te moje obawy nadaremne się okazały. Bo Staś jakoś sobie radę ze szkołą dać umiał, a w tym roku do matury siada i ma taką minę, jakby dla niego maturę złożyć było to samo, co zjeść orzech laskowy. Z wojskiem też jakoś narazie ucichło, chociaż ja mam podejrzanie grube, że on się z kolegami w politykę wdaje. Chciałam nawet Teofilowi o tym mówić, ale dałam pokój. Teofil mężczyzna, przytem ojciec — to już powinien sam na takie sprawy baczenie dawać.

Adelcia pensji nie lubi, ale uczy się dobrze.

Nigdy na cenzurze nawet trójki nie przyniesie. Jak ją chwaliłam kiedyś, powiedziała do mnie:

— Nie przeżyłabym tego wstydu, żeby mi trójka miała zeszpecić cenzurę.

Ona uważa, że trójka na cenzurze, to jak kleks w kajecie. A niech tam! Chociaż mię dziwi, że ona się tak stara, a pensji nie znosi teraz ciągle ojca molestuje, że do ósmej klasy nie wstąpi. Słyszałam kiedyś taką rozmowę:

— Poco mi to, ojcusiu, przecież nauczycielką nie będę, to mi patentu nie potrzeba. A uczoną tym bardziej nie zostanę, na uniwersytet nie chcę iść.

— To czegoż chcesz?

Adelcia roześmiała się.

— Zamaż pójdę, tatku.

Ten Teofil głupio robi, moim zdaniem, że z takich rzeczy pozwała żartować dziecku. Według mnie, to Adelci i tak za dużo w głowie młodzień, wieczorki, zabawy. Czy to nawet pora teraz o takich rzeczach myśleć? W gazetach piszą ciągle o ciężkich czasach, o strasznym położeniu naszego kraju... Niemiec gnębi ludność, rekwiruje, podatki nakłada, a taka rozsądna panienka, taka Adelcia fiu-fiu ma w głowie!

Może ja dla niej niesprawiedliwa jestem. Ha! Może zapomniałam sama, że to przecież młodość ma swoje prawa i musi się, jak to mówią, wyszumieć.

Teofilowi, chociaż na ciężkie czasy narze-

ka, lepiej się teraz w sklepie powodzi. Sam powiedział kiedyś:

— Jak mi interesa pójda dobrze, to i posag dla Adelci się złoży. Chłopcom na wykształcenie nie poskąpię, będą mogli wyższe szkoły pokończyć i stanowisko w świecie zająć.

Mój Boże! Najlepszy posag, to jak w głowie umeblowane porządnie. Niechby Adelcia skończyła szkołę, przecież ten mąż nie ucieknie, a jak dotąd, to jeszcze o nim ani słychu nawet.

Cóż Adelcia? Siedemnaście lat kończy latem. Dawniej liczyłoby się, że to dorosła panna. Ale teraz inne czasy. Jak ja miałam siedemnaście lat, to już całym domem zarządzałam i Antolkę uczyłam czytać i jeszcze zarobiłam sama tyle, że starczyło na sukienki i różne tam drobiazgi. A ja przecież żadnego wykształcenia prawie nie otrzymałam, tych kilka klas na pensji — to i wszystko. Potem się już tylko od życia uczyłam, a chociaż dobra to szkoła, ale twarda i zawsze matury nie zastąpi. Gdybym jak Adelcia pensję ukończyć mogła, możebym nauczycielką została, albo w biurze posadę miała jaką...

Dziwne te dzieci teraz! Jak mogą się uczyć, jak jest za co — to się każde wykręca i tylko na ojca kieszeń patrzy. Ojciec, pewnie, powinien dbać o dzieci, póki może, hodować je, na poniewierkę nie dawać. Ale znowu tak?

O, Tomek, to sobie da radę. Tylko się ze szkołą uwinął, poszedł do handlu. Teofil na-

zywa go swoją prawą ręką i dlatego przez palce patrzy, jak się Tomek prowadzi. A ja już teraz wiem wszystko... Tylko aż mi wstyd pisać o tym.

Z początku rady sobie z tym dać nie mogłam. Próżno rozumiuję, że czasy inne, że Tomek mężczyzna, a mężczyźni zawsze swoje prawa mają i wiele im wolno i nikt się na nich nie oburza, jak sobie w czym użyją. Ale mi się tak trudno pogodzić z myślą, że Tomek, ten mój mały Tomeczek...

Tomek ma — kochankę! Od niej tak wraca nieraz późno wieczorem, albo i zupełnie nad ranem. Wtedy, com go przyłapała, to nie było pierwszy raz, tylko ja nic nie wiedziałem o tym, bo Tomek sobie klucz od zatrzasku dorobił, że niby nieraz późno z teatru wraca, albo od kolegów.

Wtedy, pierwszy raz, tom się uspokoić nie mogła. Na drugi dzień, po śniadaniu zjawił się późno, zupełnie zielony z niewyspania i ziewający. Ja nic nie mówiłam, spojrzeć się nawet bałam na niego, że niby wiem, dlaczego to ma taki humor. Ale ten Stasiu odzywa się głośno, z ustami pełnymi bulki:

— Ho, ho! Kłaniam! Gdzieżeś się znów łampa rcił, że gębę rozdziawiasz co chwila jak wrota. (Staś już ma taki sposób mówienia).

Jakem to usłyszała, mało mię szlag nie trafił. Wiadomo, co to jest łampa rci! Tfu! pięćdziesiąt lat żyję na świecie, a jeszcze się oswoić

nie mogę z myślą, że takie paskudztwa się dzieją, a ludzie nic, jeszcze sobie podżartowują. Czulałam, że jestem zupełnie czerwona ze wstydu i tylko na Adelcię patrzę, bo to było przy niej powiedziane. A ona nic, uśmiecha się, buleczkę w kawie macza najspokojniej i jedno oko przymruża do Staśka, tak jakby porozumiewawczo.

Chryste Panie! Co to za czasy, co to za młodzież teraz! Żeby młodziotka dziewczyna, po chrześcijańsku wychowana...

1 maja.

Marek znów dwójkę oberwał z geometrii. Co ja mam z tym chłopakiem zmartwienia! On się zupełnie, ale to zupełnie uczyć nie chce tej geometrii, a może i nie potrafi? Jeszcze tam inne przedmioty nie gorzej, ale geometria i algebra! Chodziłam do dyrektora nie dawno, pytałam, jak z Markiem, i ot, dowiedziałam się ładnych rzeczy!

Jużto będzie z Teofilem przeprawa, jak Markowe sprawy szkolne najaw wyjdą. A wyjdą, wyjść muszą, bo dyrektor mi zapowiedział, że Marek nie tylko promocji nie dostanie, ale jeszcze i naganę otrzyma na świadectwie za sprawowanie w szkole.

Ja wiedziałam, że to wieczne smarowanie po papierze wkońcu go doprowadzi do złego. I wyszło na moje. Podobno na tablicy, przed samą lekcją, narysował karykaturę profesora

i to jakąś okropnie złośliwą karykaturę. Oburzenie było wielkie w całej szkole. Nawet, jak mówił dyrektor, uczniowie, Marka koledzy, przyznali, że tak, to już nie wolno, że to za nadto.

A potem na dowód pokazał mi dyrektor kilka kajetów Marka. O mało nie zemdlałam, jakem to zobaczyła. Na każdej stronie coś tam nabazgrane z boczką, niby notatki z lekcji, niedbale, nieporządnie, ale za to co chwila jakiś rysunek... I jaki! W jednym miejscu wyrysował profesora fizyki. Widziałam go kiedyś, to mi nie trudno było poznać, bo go Marek uchwycił, jakby fotografię z niego zjął. Naokoło tego profesora stali koledzy Marka, ośmiu ich tam było, a wszyscy mieli języki wywieszane po pas. A pod spodem podpis: ćwiczenia fizyczne.

Oczu podnieść na tego dyrektora nie śmiałam ze wstydu za Marka. A on powiedział tylko:

— Nie wiem, jaką tam w domu chłopiec ma opiekę, ale gdy się podobne rzeczy powtarzać będą, uprzedzam panią, że go ze szkoły usunę dla samego przykładu.

No!

Wzięłam Marka w domu na spytki, ale ja z nim nigdy do ładu nie dojdę, bo on ma coś takiego w oczach, że jak tylko na niego popatrzę, to mi zaraz na myśl Antosia przycho-

dzi taka, jak była w ostatnich tygodniach życia, bledziutka, chora i taka smutna...

Ale o tej wizycie u dyrektora powiedziałam mu -- i że wiem o wszystkim.

— Już nie mówię, jak mię te rysunki zabolaly, Mareczku, bo to jakby mi kto nóż wbił w serce, że ty tak drwić możesz ze starszych i do tego z profesorów, ale pomyśl, co ojciec powie, jak cię ze szkoły wyrzuca.

A ten Marek zaraz się zrobił strasznie biały i w prośby do mnie:

— Ciociu Juściu! Już ja bardzo proszę niech ciocia ojcu nie mówi nic! Już ja w szkole rysować nie będę, tylko w domu i poprawię się, tylko niech ciocia ojcu nie mówi!

Marek się strasznie ojca boi, sama nie wiem czemu, bo tylko czasem Teofil strasznie na niego urąga, jak mu z biurka wszystkie ołówki pogina.

— Już ty sobie tym malarstwem biedy napytasz! Zaprzestałbyś gryzmolenia... — mówię do Marka.

A on:

— Kiedy nie mogę, ciociu...

Jakto nie może? Już to prawda, ledwie ze szkoły przyjdzie i obiad zje, zamiast do lekcji się zabrać, zaraz bierze papier, ołówki i rysuje a rysuje. Siedzi tak, w kabłak zgięty, ołówek w zębach gryzie chwilę, a potem jak nie zacznie rysować! Stół trzeszczy, papier chrzęści, ołówek się łamie, a on nic, chwytą drugi

i szoruje nim, aż mu ta niebieska żyłka na skroni występuje zupełnie wyraźnie... Czego on tam nie wyrysował przez tych kilka lat! Najpierw były statki, latawce, aeroplany, pociągi... potem żołnierze w wysokich czapkach, pieszo i na koniu. Potem całe jakieś sceny, panie i panowie we frakach, a każdemu ogon z pod fraka wystaje długi, zakręcony, ni czym diabłu. Albo znowu jakieś potwory maluje czerwoną i niebieską farbą. Niby smoki, bo im z paszczy ogień bucha, a kopyta mają końskie... Ba, teraz jeszcze gorzej... przedwczo-raj, słyszę, że krzesło Marka mocniej jakoś skrzypi, a on kolanami mało że dziur w nim nie wywierci. Zbliżam się i tak z ciekawości przez plecy mu spoglądam, co on tam takiego znów sporządza... I co widzę! Panny! Same gołe panny...

Aż krzyknęłam, a Marek zaraz papier chwycił, ziniął w rękę i poczerwieniał strasznie.

Udałam, że m się w palec o krzesło stuknęła i pytam, jak gdyby nic:

— Co ty tam robisz, Marku?

— Tak, ciociu, bazgrzę coś sobie.

— A lekcje odrobiłeś?

— Zaraz odrobię ciociu, zaraz.

Najgorzej, że ten Marek jest taki potulny. Bo gdyby odburknął jak Tomasz, albo Staś... Ale on zawsze był cichy, słodki, a niech kto podniesionym głosem coś powie, albo niech jaka sprzeczka wyniknie, to on zaraz z pokoju

wychodzi, albo oczy przymknie, a na twarzy ma taki wyraz, jakby go ból mocny przeszywał od wewnątrz, od serca.

Jeszcze jak był zupełnie malutki, miałam z nim nieraz biedę. Adelcia, jak Adelcia, prędka, zapalczywa to czasem wpadła na niego, że jej coś na stoliku ruszył, albo lalki poprzewracał, albo coś połamał, czy splamił. To zawsze, nim jeszcze dobiegła z tym krzykiem, Marek już usta w podkówkę składa i bródka mu się trzęsie, jak od wstrzymywanego płaczu.

Adelka na niego:

— Beksal!

I odwraca się z pogardą, a on za rękę mocno mnie trzyma, albo za spódnicę i dygocce, jak liść.

Musiała się czegoś nastraszyć Antolka, przez to Marek taki nerwowo.

3 maja.

I pękła bomba!

Rano chłopcy poszli na ten uroczysty obchód 3 maja. Byłabym sama poszła, ale w domu, trzeci maj czy nie trzeci, roboty zawsze sporo się znajdzie, zwłaszcza, jak służącym na ręce patrzeć musisz, bo im się wszystko do tych rąk przylepia. Takie to teraz i sługi.

Poszła na obchód Adelcia z ojcem (Tomka nie ma w Warszawie), a Staś i Marek osobno. Potem mi Staś opowiadał, że ślicznie było, a Niemcy, to się musieli chyba wściekać ze

złości na widok takiego tłumu Polaków, zdolnych do noszenia broni.

Około trzeciej wraca Teofil z Adelcią, wściekły czegoś, bo już od progu strasznym głosem woła:

— Gdzie Marek?

Odrzu zrozumiałam, że się zaczyna awantura, ale udaję, że nic i najspokojniej mówię:

— Chłopcy jeszcze nie wrócili. Przecież ze szkołą mieli iść w pochodzie.

— Tak — powiada Teofil — ze szkołą!

Wąsy mu się zjeżyły, a każdy wyraz to tak wymawiał sycząco, niczem wąż boa.

— Widziałem się — powiada — z dyrektorem. Ślicznych dowiedziałem się rzeczy, no, no!

A Adelcia zaraz:

— Ojczuś się panu dyrektorowi z daleka tylko kłaniał, a on sam do nas podszedł i opowiedział wszystko. Ładnie się cioci pupil popisał! Nie ma co mówić, gagatek!

— Jaki znów pupil, jaki gagatek, Adelciu!

— Już niech Justynka nie udaje — huknął Teofil — że nie wie, o co chodzi! Ale ja to ukroczę! Już ja smykowi uszu natrę.

Nieznośna ta Adelcia! Kręci się po pokoju jak fryga, a oczami strzyże, zupełnie jakby ją cieszyło, że Mareczka przykrość spotka!

Żeby trochę czasu przeszło, toby się Teofil uspokoił, bo on jak dobry obiad zje (a na obiad była wątróbka, którą on bardzo lubi), to zaraz wpada w dobry humor. Ale jak na

złość właśnie chłopcy nadeszli. Zaraz Teofil wsiadł na Marka i to tak ostro, jak chyba jeszcze nigdy.

— To tak? — powiada. — To to tak? Ja cię do szkoły posyłam, huncwocie, a ty rodzinie całej wstyd przynosisz? Czekaj! Od dziś nauka i tylko nauka. Żadnego rysowania! Żebyś mi ołówka nie wziął do ręki! Zabraniam! I niech Justynka — do mnie się zwróci! — pamięta, że to mój rozkaz nieodwołalny. A te wszystkie bohomyzy wyrzucić precz! Niech smarkacz geometrię kuje, z której pałki zbiera na cenzurę! Jak nad książką posiedzi, to mu te głupstwa wywietrzeją z głowy...

Pode mną się nogi trzęsły od tego krzyku, od tych zakazów, a na Marka spojrzeć się bałam i myślałam tylko, co on biedaczek cierpieć musi.

Aż tu Marek, jakby go co odmieniło. Przybladł tylko trochę, ale się z miejsca ruszył i do ojca podszedł bliżej.

— To niemożliwe — powiedział głośno — co ojciec mówi! Niech ojciec cofnie ten nakaz.

Jeszcze nigdy nie słyszała, żeby mój Marek mówił takim stanowczym tonem? Co mu się stało?

A Teofil jak nie krzyknie:

— Milczeć! To ty, leniu, w szkole, ani be ani me, a teraz na mnie głos podnosisz? Na ojca? Milczeć! A z rysowaniem koniec, koniec, rozumiesz?

— Nie rozumiem — zawołał Marek — nie rozumiem, nie chcę rozumieć! Ojciec nie może mi zabronić! Ojciec nie ma prawa, ojciec...
Aż się zachłysnął.

No, już się Teofilowi przebrała miarka.

— Nie mam prawa, powiadasz? Zobaczymy, jakie mam prawo! Ty mię będziesz pouczał, ty niedorostku, ty faflu, ty smyku uparty!

Dopiero się posypały różne wymysły! Staś stał przy oknie i bębnił w szyby palcami. Widziałam, że usta przygryzał, a i Adelci zrobiło się strasznie żal Marka, bo zaczęła ciągnąć ojca za rękaw.

— Już niech ojczuś da spokój! Mój tatusiu, ja proszę...

Adelcia się tak potrafi przymilić gdy zechce to każdego udobrucha. Jakoś się i Teofil umitygował.

— Pamiętaj sobie, że z tych łódek w niedzielę nic! Zapamiętaj sobie! A teraz marsz z pokoju i do książki! Żebyś cię na oczy dziś nie widział!

W niedzielę wypadały Stasia imieniny i mieli z Markiem wiosłować łódką po Wiśle. Co to za serce ma ten Teofil, żeby tak karać chłopaka za to, że jakąś tam głupią karykaturę...

Marek wyszedł z pokoju bez słowa. Nawet na mnie nie spojrzał. Jak ten obiad się włókł! Teofil zgrzytał widelcem po talerzu, Staś zgrzytał zębami do taktu, a i Adelcia prawie nic nie jadła.

Jak tylko Teofil poszedł na drzemkę, wymknęłam się do pokoju chłopców. Marek siedział przy oknie z głową podpartą na rękach. Nawet głowy ku drzwiom nie obrócił.

Podeszłam do niego.

— Mareczku, możebyś co zjadł? Zostawiłam ci talerz rosółu i...

Dopiero jak nie wybuchnie płaczem! Płakał niczem dziecko, ten duży chłopiec, ten mój Marek maleńki... Prawie się zanosił od płaczu. Musiałam mu oczy i nos chustką obcierać, a on wołał przez łzy.

— Ojciec jest okrutny, niesprawiedliwy! Co ja ojcu zrobiłem, że mię tak chce karać! Powiedział, że mię na oczy nie chce widzieć! Dobrze... Dobrze! Nie będzie mię widział na oczy, bo ja umrę, jak mi nie dadzą rysować! Ja muszę rysować, muszę! Ja muszę zostać malarzem! Ja nie chcę żadnej szkoły. Ja umrę, zobaczycie, ja umrę!

Płakał do zmierechu. Jak tylko Teofil wyszedł z domu, zapaliłam lampę i przyniosłam Markowi całe pudełko kredek i papier.

— Masz—powiedziałam—kochanie, porysuj sobie trochę...

Dlaczego spojrzał na mnie z niechęcią, jakby ze złością, doprawdy nie wiem.

— Niech sobie ciocia to zabierze—burknął. Położył się na łóżko, owinał pledem i odwrócił głowę do ściany. Nigdy do mnie nie mówił takim głosem...

Biedny Marek! Już to racji nie ma Teofil, żeby tak chłopca zmaltretować... Kocha sobie to rysowanie, no, niech tam... Czy będzie czy nie będzie rysował, do geometrii przecie chęci nie nabierze, poco go znów tak surowo karać... Dał Bóg jednemu zdolności, drugiemu nie. A może Marek ma naprawdę zdolności do tego malarstwa...

Najgorzej, że on tak do serca wszystko bierze. Zupełnie Antolka.

11 maja.

Tomek przyjechał z Łodzi dziś rano. Zaraz się z Teofilem zamknęli w pokoju i długo rozmawiali. Teofil często powtarza, że Tomek ma głowę na karku i że się prędko dorobi pieniędzy. Daj mu Boże. Oby tylko tych pieniędzy nie przepuścił, jak go usidliła jego... Mówią, że niejeden przez kobietę pieniądze stracił, ja sama widziałam takich, co z torbami poszli, a mieli ładny majątek.

Żeby to jeszcze jaka panna z przyzwoitej rodziny... Tomek młody, prawda, ale za jaki rok mógłby się ożenić. Lepiej, niż żeby z jakąś tam dziewczyną romansował. Z tego się nic dobrego nie dopyta, a nie daj Boże jakiej biedy tylko...

Już ja wiem, dobrze wybrałam, kto to taki. Podaje się za biuralistkę. Na maszynie pisze niby. Ale gdzieby to biuralistkę stać było na takie pończochy! Sama widziałam,

jak szła kiedyś z Tomkiem przez ulice. Miała kostium z granatowej tafty, a pończochy popielate jedwabne. Że jej tak nie wstyd nogi do kolan pokazywać! Nie dość, że suknia krótka, jak u podlotka, ale ją jeszcze podebrała z boku ręką, choć błota na ulicy było tyle, że i wróbelby nóg nie zamoczył.

Wcale ich nie podpatrywałam, ani nie chciałam podsłuchiwać. Stałam sobie w sklepiku na dole. Jak przechodzili i tylko głowę za nimi wysunęłam przeze drzwi. Tomek się przed naszą bramą zatrzymał, pocałował ją w rękę, jak jaką mężatkę, a ona do niego:

— Przyjdiesz dzisiaj, prawda?

„Ty” sobie mówią! Słyszane rzeczy! Teofil niby o niczym nie wie. Dopieroby miał minę, żeby mu Tomasz taką synową do domu wprowadził! A czy to nie możliwe, że on się z nią gotów ożenić? Taka, to na wszystko sposób znajdzie...

A może ja sobie głowę próżno zaprzątam... Wiadomo, młodość się musi wyszumić, a mężczyźni mają jakieś swoje specjalne prawa... Pani Klimaszewska trzech mężów przeżyła, to i doświadczenie musi mieć. Kiedyś, jak się o małżeństwie zgadało, powiada do mnie:

— Moja panno Justyno, życie jest życie, a nieszczęścia tyle na świecie najbardziej przez to, że kobiety głupio na świat patrzą. Mój drugi mąż, świeć Panie nad jego duszą (nazywał się Urbanik) okropnie na kobiety był wra-

liwy. Znajomi nieraz mię przez życzliwość ostrzegali, żebym męża lepiej pilnowała. A ja mówiłam sobie: lata? niech lata! Wróci on jeszcze do mnie. I wrócił. Potem go paraliż tknął i tak sobie umarł, niebożatko, na moich rękach, jak Bóg przykazał.

Trzeci mąż, Klimaszewski, strasznie się zapijał, ale majątek miał wcale ładny. Klimaszewska mówiła zawsze:

— Pieniądze, to grunt. Reszta głupstwo, w jakieś tam miłości to tylko głupie gąski wierzą, dopóki ich życie doświadczenia nie nauczy. Ja, panno Justyno, trzech mężów pochowałam, to coś o życiu wiem.

Klimaszewska takie tam różne rzeczy gada, ale rozum swój musiała mieć, skoro trzech mężów gładko ukatrupiła, a każdy jej majątek zostawił.

Może to i racja, że jak się Tomek wyszumi, to się potem ustatkuje, a głupstwa chyba nie robi, bo ma przecież zdrowy rozsądek. Tylko, że ja tam wołałabym, od razu w przyzwoitym małżeństwie, a nie Bóg wie po jakimu...

Z tej Łodzi to musiał jakieś ważne nowiny przywieźć, bo coś o barchanach i kortach z Teofilem przy śniadaniu mówili, a Tomek ciągle powtarzał:

— Powiadam ojcu, teraz jest dobry czas.
Kaczęta.

I teraz jeszcze radzą, cyfry piszą, obliczają w jadalni.

Wdzięczna jestem Tomkowi, że się za Marka ujął. Bo jak tylko powrócił, wyjechała na stół cała historia z cenzurą i karykaturami. Marek patrzył z podelba na ojca, to na brata. Taki się z niego zrobił teraz mruk, że ani przystąpił.

Ale Tomek się tylko roześmiał i do Teofila powiada:

— Co tam ojciec będzie mu zakazy stawiał. Ot, powiedzieć po prostu: będzie promocja, — będą te pacykarstwa i kwita!

Teofil popatrzył na Marka, który siedział bokiem i widelcem po serwecie kreślił zygzaki.

— Słyszysz, Marku?

— Słyszę, proszę ojca — odpowiedział, ale tak jakoś głucho.

A ja Marka znam i wiem, że się teraz zagnie, zęby zaciśnie i pokaże...

Na łódkach nie był, ale i Staś także. W swoje imieniny Staś powiedział:

— Marek nie, to i ja nie.

I poszedł do kina.

Pocziwy jednak chłopiec ten Staś.

7 czerwca.

Już na nic głowy nie mam! Żyję, jak w taraku. Wczoraj Adelcia świadectwo ze szkoły przyniosła z ukończonych siedmiu klas. Zaraz jeszcze przed obiadem ubrała się w nową suk-

nię fularową z modnym kołnierzem, sterczącym od szyi spiczasto — i podarowała swój szkolny fartuszek kucharce.

— Niech to Walerka zabierze! Hop, hop! Już nie jestem na pensji, hurra!

Myslałam, że cały dom roztrzęsie. Potem mnie wyściskała, okręciła wkołko, wołając:

— Teraz jestem dorosła panna! Teraz ciocia będzie ze mną chodziła na bale, aha!

W Imię Ojca! Co tej dziewczynie do głowy nie przyjdzie? Ja i bale... Kiedy to ostatni raz?... będzie chyba z ćwierć wieku...

Dzisiaj znowu Staś wraca z egzaminu. Powiedział, że to jego najtrudniejszy, niemiecki piśmienny... Matko Boska! Niech mu się powiedzie, niech mu się powiedzie... Już się chyba o nic tak gorąco nie modliłam, jak o te egzaminy Stasia. W głowie mi się pomieścić nie może, że on już cztery egzaminy złożył, i to jak złożył! Trzy „celująco”, jeden tylko „bardzo dobrze”. Jaką głowę musi mieć ten chłopak, że tak bez żadnego trudu, jakby bułkę z masłem zjadł...

Teofil promienieje. Ile razy mu Stasiak taki śliczny stopień przyniesie, to powiada, że i z niego będą ludzie jak z Tomka.

Ho, ho! Tomek w handlu siedzi po uszy, ale ze Staska to byłby cały filozof. Jak z literatury napisał rozprawę o czyichś wpływach, to nic nie zrozumiałam, chociaż przecie sporo czytałam... Muszę się przecież dokształcać do

tych moich dzieciaków kochanych. Ale gdzie mi tam do tego! Oni teraz jakieś mistycyzmy, jakieś stereometrie... Bóg wie co! Czasem myślę i dziwię się, że tyle nauki w głowie im nie poprzewraca ze wszystkim...

Ale już naprawdę czasu nie mam. Zasiadłam do tego dzienniczka, bo mam wolną chwilę: kucharka już nastawiła i poszła na miasto, a ja tylko pilnuję, żeby nie kipiało. .

Matko Boska Częstochowska! dziś ten Staś wraca z egzaminu...

A i Marek wziął się na pazury. Przez trzy tygodnie ani jednej dwójki, a z geometrii — z geometrii! — dostał pięć. Tylko że kuje po nocach i zmizerniał.

13 czerwca.

To dziś imieniny Antolki, a ja nawet nie mogłam pojechać na cmentarz.

Okropnie dużo teraz roboty w domu, a jak na złość, służąca ma fluksję, siedzi obwiązana, jęczy i wszystko jej z rąk leci.

Pierwszy to raz od śmierci Antosi nie byłam na jej grobie. Antosia na tamtym świecie zrozumie i wie, że nie mogłam, ale mi przykro i smutno. Dzieciom trudno się dziwić, bo nawet nie pamiętają matki. Jeden Tomek mówi, że trochę, ale on do sentymentów nie skory, nawet się cały dzień w domu nie pokazał, a przy śniadaniu ani wspomniał, że pamięta.

Mareczkowi dużo opowiadałam o matce

jak był malutki, a i teraz czasami rozmawiamy o niej. Marek ma najtkliwsze dla mnie serce, pewnie dlatego kocham go więcej, niż inne dzieci Antolki. Adalcia może i słusznie przysaduje:

— Dla cioci Juści — powiada — Mareczek to cud, zjawisko, oczko w głowie...

Nie to, żebym go więcej kochała, bo ja ich wszystkich kocham jednakowo, ale jakoś Marek mi najbliższy. Może dlatego, że Antolka przy nim umarła i ja się od małego jak matka opiekować musiałam sierotką.

Dzisiaj fotografię Antolki ubrałam kwiatami. Tę moją nad łóżkiem, a i Teofila także. Straśnię kwiaty zdrożały. Za ten pęczek narcyzów zapłaciłam tyle, że aż mi się wstyd było przyznać Teofilowi. Mam jeszcze trochę swoich pieniędzy, to zapłacę sama. Ja wiem, że Teofil by mnie nie pożalował, a jeszcze dla Antosi, ale jak mu samemu na myśl nie przyjdzie, to już niech Antosia ma te kwiatki ode mnie.

Wielkie u nas zajądą zmiany. Teofil powiada, że mieszkanie donają, trzypokojowe, na wizawie naszego. Teraz będzie remont i drzwi muszą przebijać. I ciekawam, poco to? Czy źle było, jak dotychczas? chłopcy mają osobny pokój, Tomek śpi w saloniku, a że tam Adalcia ze mną, to chyba ani ona mnie, ani ja jej nie zawadzałam.

Ale Adalcia mówi, że się dusimy jak śle-

dzie w becze. Także porównanie! Jadalnia duża, pokój chłopców duży, frontowy, o dwóch oknach... W saloniku, prawda, trochę ciasno, ale kto u nas bywa? Jak czasem koledzy Staśka przyjdą, to wolę, że siedzą w jadalni, bo strasznie papierosiska palą, a ten dym to pewnie na meble szkodzić musi. I sufit tam jest świeżo bielony, a od tego dymu pewnieby ściemniał wkrótce.

Już ja widzę, że w tym wszystkim jest Adelci ręka. Ona sobie dawno parol zagięła, że jak dorośnie, to inne porządki przeprowadzi i pewnie teraz do tego zmierza.

A jak ona potrafi koło Teofila się uwinąć! Zawsze wie, zawsze wywęszy, w jakiej chwili go nacisnąć, żeby wszystko zrobił, jak ona zechce.

Teofil przy obiedzie gazetę czyta, bo rano zawsze zajęty, czasu nie ma. To ta Adelka tylko patrzy, jak ojciec giełdę przegląda, albo jak na rynku ceny podskoczyły.

— I co, tatusiu, nowego? — pyta zaraz z najsłodsza miną, zupełnie jakby się doczekać nie mogła wiadomości, że cukier znowu podrożał, albo mydło staniało. — Niech tatuś powie prędko, dobrze, czy źle?

— Jak dla kogo, jak dla kogo! — odpowiada Teofil, ale się uśmiecha z zadowoleniem. — Zawsze jednym jest dobrze, drugim gorzej. Musi być równowaga na świecie.

— E... chyba ojczusiowi teraz nie gorzej... —

powiada Adelka — ojczuś mądry, ojczuś potrafi interesy prowadzić! Ja sama słyszałam, jak pan Mączkowski mówił, że ojczuś to się wprędce fortuny dorobi.

— Dla was przecież pracuję, dla was! — śmieje się Teofil i taki jest zadowolony z Adelci, że ją po ramieniu raz w raz poklepuje.

— Ja wiem, że tatuś najlepszy ojciec... Ale gdyby tak jeszcze tatuś...

I tu dopiero wylezie, o co jej od początku chodziło. A to o nowy kostium, a to o bilety do teatru, a to o coś tam innego jeszcze...

Tak i teraz — postawiła na swoim. Teofilowi by ani w głowie nie powstało mieszkanie rozszerzać, albo nowe meble sprawić do salonu...

To wszystko Adelcia.

— Musimy — powiada — dom postawić na odpowiedniej stopie.

Cóż to, nieodpowiednia była stopa, czy co? Przecież jej niczego nie brakło. Zawsze miała czyste ubranie, porządnie wypraną bieliznę, życie dobre, przyjemności tyle! Koleżanki przychodziły do niej dwa razy w roku: na Trzy Króle i na śmigus. Co ja wtedy miałam za urwanie głowy! Pączków trzeba było smażyć góry, nad mazurkami głowę łamałam, bo Adelcia zawsze molestuje, żeby były chociaż trzy gatunki... Aha! Trzy gatunki, w tych czasach, to niełatwa rzecz. Rodzynki są, to fig nie

ma — są znowu figi, wanilii ani na lekarstwo
A już nie mówię o mące...

Ej, dawne czasy dobre były. Ktoby się kiedy spodziewał, że cukier będzie szedł na wagę złota, że mąkę na cały rok w spiżarni chować trzeba, albo węgiel kupować korbami i do piwnicy zwozić!

Trzeba było czego — schodziło się do sklepu, albo do węglarza, albo do mydlarni i było. Antosia miała sławę dobrej gospodyni, ale niechyba popróbowwała teraz dom prowadzić!

Ja też robię co mogę, oszczędzam, jak umiem. Adalcia mówi, że skąpa. To nieprawda. Nigdy, niczego dzieciom nie skąpię, a że uważam, aby wszystkiego było dosyć, ale żeby się nie marnowało, to przecież chyba nie skąpstwo.

Widocznie Teofil dobrze stoi z pieniędzmi, bo mnie wczoraj wezwał do siebie i pytał, ile dołożyć do domu, żeby po obiedzie była czarna kawa, a w niedzielę ciastka.

To także Adalcia. Powiedziała mi, że od jesieni będą u nas fiksy, że muszą być fiksy, a na nich ciastka, herbata i ciagutki. Ona sama najbardziej te ciagutki lubi. Nieraz widzę, jak sobie z miasta przynosi całą torebkę i potem w swoim pokoju zajada, czytając książkę. Teofil jej daje pieniądze na „szpilki”, ale ona szpilki i inne tam drobiazgi w domowe rachunki wpisuje.

No więc tak. Wszystko to wygląda, że się u nas dużo zmieni. Daj Boże, żeby na dobre. Ale już się teraz o nic tak nie modlę, jak żeby Staś te egzamina pokończył. Ma jeszcze trzy.

Marek we środę ostatni raz do szkoły idzie. Pytałam go, jak z promocją:

Nie wiem — odparł.

Ale mnie się zdaje, że on do tej szóstej klasy przejdzie, bo się zawziął. Zupełnie teraz rysować przestał, choć nawet ojciec uwagi nie zwraca, a może zapomniał o tamtej awanturze?

18 czerwca.

Kamień mi z serca spadł.

Marek wczoraj cenzurę przyniósł, a pojutrze Stasia ostatni egzamin, to jakby maturę miał w kieszeni.

Wyczekiwałam też wczoraj na Marka, wyczekiwałam! Jużśmy przy stole siedzieli, jak przyszedł. Nic nie powiedział, tylko tę cenzurę wyciągnął i przed ojcem na talerzu położył.

Teofil okulary nasadził, przeczytał wszystko, przejrzał stopnie.

— No tak — powiedział — tak, to dobrze.

Myślałam, że z radości zacznę ścisnąć wszystkich, ale Marek nic. Siedział sobie nieruchomo, z taką obojętną twarzą, jakby go ta cenzura nic nie obeszła. A przecież widziałam dobrze, ile się napracował, namęczył przez ten ostatni miesiąc.

Wzięłam na odwagę i powiadam do Teofila:
— Marek się bardzo, bardzo starał, żeby
sobie stopnie poprawić.

— Bardzo dobrze — odparł Teofil — teraz
wakacje, odpoczniesz sobie, a co weszło do głowy,
to weszło.

— A co Teofil Markowi obiecał? Bo może
Teofil nie pamięta?

A Teofil na mnie patrzy, że niby nie rozumiem, o co mi chodzi.

Dopiero Adelcia w śmiech.

— Tatusz Markowi rysować zabronił. Nie
pamięta tatusz? Niechże tatusz ten zakaz cofnie,
bo się Marek rozplacze, a jak Mareczek
to i ciocia Juścia!

Czasami mam takie uczucie, jakbym tej
Adelci nie lubiła, chociaż ją kocham przecie
na równi z chłopcami. Ona ma taki jakiś ton.
Ot, i teraz, niby się za bratem wstawiła do
ojca, ale w głosie czuć jakby drwiny.

— A niech sobie rysuje, niech rysuje, byle
mu te bohomazy w nauce nie przeszkadzały! —
rzekł Teofil.

Marek przez calutki czas ani słowa nie
piął i miał taką minę, jakby to nie o nim
była mowa. A wiem przecież, jak mu o te
rysunki chodziło.

2 lipca.

Dawno do dzienniczka nie zaglądałam, ale
czy to ja mam czas?

Teraz pewno odpocznę sobie trochę, bo Adelcia
z Markiem na wakacje do ciotki jadą —
zawsze roboty w domu będzie mniej.

Staśka ojciec na polowanie obiecał zabrać
na tydzień, w Świętokrzyskie góry. Ma tam
Teofil starego przyjaciela, kolegę jeszcze ze
szkół, który w lasach Świętokrzyskich jest za
leśniczego, tam Staś z ojcem pojedzie, ale to
dopiero w końcu miesiąca, a Marek i Adelcia
już pojutrze jadą i straszny kram w domu
przed tą podróżą, zupełnie jakby na koniec
świata jechać mieli.

Adelcia wszystkie suknie przegląda, a u
szwaczki godzinami wysiaduje. Sprawiała sobie
trzy nowe sukienki, wszystkie jasne i bardzo
niepraktyczne, bo to pełno jakichś falbanek
i „riuszek”; ciekawam, kto je prasować będzie
u ciotki na wsi.

Czwartą suknię, jedwabną czarną z Antosinej Adelcia sobie przerabia. Mówiłam,
tłumaczyłam „po co to”. Ale jak sobie Adelcia
coś do głowy dopuści, to już jej tego nikt nie
wyperswaduje.

— Muszę — powiada — mieć jedwabną czarną
suknię. Ciocia to zawsze zapomina, że ja już
jestem dorosła.

— Nie zapominam, Adelciu, niech Bóg ucho-
wa... Tylko... pomyśl sama, poco ci tyle tych
strojów na wieś zabierać? Kto to nawet zobaczy?
Chyba indyki i prosięta, które siostra
Teofila z zamięłowaniem hoduje?

Adelcia odpowiedziała mi prawie że ze złością:

— Już nie cioci rzecz, dla kogo te suknie. Ciocia myśli, że tam sąsiedztwa nie ma, czy co?

— Wcale nie myślę, tylko co to za sąsiedztwo! Byłam tam całe lato z Mareczkiem, to wiem. Już tylko nie myśl, moja Adelciu, że tam im swoimi sukniami zaimponujesz! Oni nie na ciebie będą patrzyli, ale na twoją kieszeń, a raczej na Teofila kieszeń, bo dzisiejsza młodzież to już taka...

Mój Boże! Mimowoli sobie westchnęłam, mówiąc to, a Adelcia zaraz...

— Eee... i wśród dawniejszej młodzieży się zdarzało, że pannom mąż z przed nosa czmychnął dlatego tylko, że posagu nie miały... Bo *podobno* była tam i szczerą miłość...

Jak ta Adelcia potrafi czasem dokuczyć! Niby nic, a ja czułam wyraźnie, że do mnie było pite.. Pewnie, że pan Kazimierz nienajpiękniej postąpił, że tak bez słowa wyjaśnień, szast prast i już... Ale niechaj to Bóg rozsądzi. Ja do niego żalu nie mam. A za te kilka lat, co tośmy się kochali i czekali na siebie, to mu będę wdzięczna całe życie.

Widać, nie sądzono mi było wyjść za niego ani jemu ze mną się ożenić, ale żeby pieniądze nas miały poróżnić, to nie!

Kochał się on we mnie prawdziwie i nie mógłby tak strasznie kłamać, przez tyle lat...

Pięć lat się kochał we mnie i ja w nim...

Nawet ja dłużej, bo on się potem z wędliarką ożenił, a ja choć czułam, że to grzech, jakoś odrazu miłości do niego z serca wypłenić nie mogłam... Już to kobiety stalsze w miłości bywają przeważnie, chociaż Teofil i Tomek zawsze przeciwnie twierdzą. Jeszcze Tomek mógłby mieć słuszość, bo go ta jego lafirynda pewnie w trąbę puści, jeśli go już teraz z kim nie zdradza, ale Teofil?

Wogóle zauważyłam, że mężczyźni często źle mówią o kobietach, choćby i w duszy czuli inaczej. Już to jest ich jakieś „fasa de parole” jak powiada Adelcia, która szwargoce po francusku i czasem, jak są goście, to się tak popisuje, że co drugie słowo cudzoziemskie do rozmowy wplata.

Z tą Adelcią będzie na pewno kłopot. Ja sama nie wiem, jaka ona jest. Ani rusz rozgryźć jej nie mogę. Czasem wydaje mi się, że ona jest pusta, egoistka, bo tylko o sobie myśli, o swojej zabawie, o przyjemnościach i strojach. Ale czasem znowu myślę, że ja ją za surowo sądzę. Staś, który z Adelcią jest najlepiej, twierdzi, że w Adelci dużo siedzi kobiecości, bo ona ma w sobie kawałek diabła.

Staś miewa czasem poglądy!!! Przecież i Antosi nikt powiedzieć nie mógł, że kobiecości w sobie nie ma, a ona była nie tylko ładna, jak Adelcia (według mnie, to nawet ładniejsza) ale i dobra, jak anioł i uprzejma dla wszystkich i nigdy, nigdy nikomu nie dokuczyła.

Antosia od dziecka już miała takie usposobienie, że nie mogła znieść, aby ktokolwiek miał przykrość, czy zmartwienie. Marek po niej ten charakter odziedziczył, bo on także nie znosi koło siebie żadnych smutków, ani kwasów.

To całe przejście z ojcem przed końcem roku szkolnego zupełnie odchorował. I zmizerniał biedaczysko, aż mi się serce kraje, jak na niego patrzę. Zawsze miał buzię różową i okrągłą jak jabłuszko, a teraz przybladł bardzo i twarz mu się wyciągnęła...

Tomek mówił, że to naturalne, bo on rośnie jak na drożdżach, to nie może być takim różowym dzieckiem, jak wprzód...

Szkoda, że te dzieci tak prędko rosną i dorastają... A jak tylko które z dzieciństwa wyjdzie, to już zaraz jest inne, jakby bardziej obce...

Naprzykład z Markiem. Dawniej, jak był mały, to mu godzinami opowiadałam bajki, a on prosił jeszcze i jeszcze. Nieraz musiałam dobrze w pamięci poszperać, by mu coś nowego opowiedzieć.

Albo przyszedł, jak miałam chwilę czasu i siedziałam z robótką, głowę mi na kolanach położył i tak sobie przemilczał kwadrans, albo i więcej, dopóki rozpędu do jakiej nowej zabawy nie nabrał.

Marek, to było dziwne dziecko. Czasami takie rzeczy mówił, że w głowę zachodziłam, skąd mu się to bierze.

Nieraz, pamiętam, na spacerze w parku, pociągnął mnie za rękaw i powiada ni stąd ni zowąd:

— Ciociu, te chmury to tak biegną po niebie, że się chyba zadyszą.

— Gdzieby się znowu chmury zadyszeć miały, mój Mareczku. Chmury nie mają płuc, jak ludzie, więc się nie mogą zadyszeć. To wiatr je tak pędzi po niebie.

A Marek na to:

— Dzisiaj wiatr jest zielony.

Skąd mu się wziął ten zielony wiatr? Prawda, że to było wiosną i drzewa zieleniały, ale żeby wiatr?

Albo znowu patrzy Marek na wodę i powiada:

— O, drzewa się sobie kłaniają, ale tamte w wodzie są smutniejsze. Pewnie im przykro, że nie mogą wyjść na brzeg i osuszyć się w słońcu.

Kto słyszał coś podobnego? Czasami się o Marka bałam, że to jakiś sensat wyrośnie, ale jak zaczął dokazywać, krzesłami szurać, w ręce klaskać, to myślałam sobie:

— Ot, dziecko, jak wszystkie inne. Niech sobie hałasuje!

Najgorzej, jak się zaczęło z tym malarstwem. Co on mi papieru czystego napsuł, to niech Bóg broni, ale pozwalałam mu zawsze rysować, gdy zechciał, bo wtedy siedział cicho i chłopcom w nauce nie przeszkadzał.

Bywało, że jak zasmarował cały arkusz dokumentnie, to przyszedł do mnie pokazać pochwalić się.

— Widzi ciocia? Tu jest dom. A w domu siedzi rodzina i jest dużo, dużo słońca w pokoju. A przed domem rosną kwiaty, o, tu, widzi ciocia? A w każdym kwiatku siedzi złota mucha, tylko jej tu nie widać, bo ona siedzi głęboko...

I tak potrafił opowiadać z godzinę, a na papierze były same zygzaki.

To ja na wszystko odpowiadałam:

— Dobrze, dobrze!

Albo:

— Widzę, Mareczku, widzę — i robiłam dalej swoje, a Marek promieniał z radości i mówił:

— Ja jeszcze nie to narysuję! Ja narysuję karete, a w karecie będzie zakłeta królewna, ta, która się ukuła w palec wrzecionem... Ona już wyszła za królewicza i mieszka w złotym pałacu, a cztery myszki usługują jej przy stole. Prawda, ciociu?

— Prawda, prawda.

Potem Marek rzucał w kąt papier i mówił na przykład:

— Ciociu, ja teraz będę stangretem, a ciocia niech mię zgodzi, moja ciociu!

— Bądź.

— Jak nie powiedziałam tego „bądź”, jak mu nie dałam pozwolenia, to potrafił godzinę

molestować. Nie raz chodziłam po domu zaferowana, to i uwagi nie zwracałam, co on sobie mamroce, a Marek precz powtarzał:

— Ciociu, ja będę psem! Ciociu, ja będę szczekał i będę pilnował domu! Ciociu, ciociu...

Uprzykrzenie nieraz miałam z tym chłopakiem, ale słodkie to było uprzykrzenie.

Nie raz mi bardzo tęskno do tych czasów...

15 lipca.

Jak oni się czasem kłócą przy obiedzie, to aż przykro słuchać. A wszystko przez tę politykę.

Za dawnych czasów, nawet nie tak bardzo dawnych, bo ja przecież znowu taka stara nie jestem, to dzieciom w głowie nie powstało mieszać się do polityki, a jeszcze krytykować starszych.

Ale teraz na wszystko inna moda.

Staś mówi, że ojciec jest konserwatysta, że ojciec zacofany i że tylko swoich interesów pilnować potrafi, a ojczyzny nie kocha.

— Jakbym ja swojego interesu nie pilnował, to ciekawe, co byście jedli, albo ktoby wam płacił wpis za szkoły! — powiada Teofil.

A Staś na to:

— Żeby wszyscy takie ciasne poglądy mieli, jak ojciec, toby się Polska nigdy odrodzić nie mogła. Ale są, na szczęście, inni ludzie, którzy

rzy dla ojczyzny pracują i o niej głównie myślą. Dlatego będziemy mieli niepodległość.

Ten Staś potrafi czasem być strasznie zułchwały i nieraz z podziwu wyjść nie mogę, że Teofil tak mu do siebie mówić pozwala.

— Ja z ojcem nie myślę dysputować — mówi na przykład Staś — ojciec wyrósł ze starego pokolenia i my zupełnie na innym gruncie стоимy!

— Gdybym ja nie wyrósł ze starego pokolenia — odrzeknie na to Teofil — to tybyś na żadnym gruncie nie stał, boby cię wcale na świecie nie było.

— Niech ojciec nie myśli, że ja tak bardzo cieszę się z tego, że mię ojciec na świat wydał! To już była ojca sprawa, nie moja!

Słyszane rzeczy! A Teofil na to najspokojniej:

— Pewnie! Ale i ja też nie mam się czym chwalić, że mój syn na takiego wyrósł, który rodzicami pomiata.

Strasznie się zawsze tego obiadu obawiam. Niby się zacznie od głupstwa, od drobiazgu, a kończy się na krzyku, waleniu pięścią w stół i trzaskaniu drzwiami.

Tomek i Staś, a nawet Teofil nazywają to „dysputą”, a według mnie to obraza Boska i bardzo Teofilowi mam za złe, że do takiej konfidencji synów dopuszcza; bo przecież ojciec zawsze jest ojcem, a przy tej dyspucie nieraz

ostry słowa padają i takie, których dzieciom wobec starszych mówić nie należy.

Jak Staś ojcu docina, to czuję najwyraźniej, że mi mrówki zaczynają po plecach spacerować. Ale już chyba najgorzej, kiedy zacznie z Teofilem o niepodległości Polski rozprawiać.

— Było za Moskale źle, za Niemców jeszcze gorzej, ale za polskich rządów to już chyba byłoby najgorzej — mówił Teofil, a Staś aż sinieje z gniewu i chleb w palcach kruszy...

— Ojciec tylko o tym myśli, żeby swoją kieszeń dobrze napełnić. Ojcu o nic innego w gruncie nie chodzi. Ojciec nie wierzy w Polskę zmartwychwstałą, bo ojciec nie widzi dobrze, jakby w tej Polsce interesy ojcu poszły...

— Ale zato widzę, jak się pięknie zacząć zaczyna! Bo przecież smak tych rządów to już mamy.

— To nie są polskie, to są beselerowskie rządy! Ale niechno ojciec poczeka trochę, aż wyrzucimy Niemców precz!

Tu się dopiero Teofil śmieje, na Stasia patrzy z politowaniem i kiwając głową, powiada:

— Ciekawym, jak się do tego zabierze, moi wy bohaterowie z gołymi pięściami!

— Jak to będzie, to ojciec sam zobaczy, gdy nadejdzie czas. A czas już bliski.

— Ho, ho! Toś widzę, dobrze poinformowany. Może i ofensywa na zachodzie słabnie, co? Może Francuzi Niemców na łeb pobijają?

— A pobijają, A właśnie, że pobijają i to

wkrótce. A wtedy będzie Polska prawdziwie niepodległa.

— Mój Stasiu, powiedzże mi, kto ci te androny w głowę kładzie?

— Lepsi niż ojciec politycy, to pewne.

— Już ja widzę, żeś ty w politykę wlaźł, jak mysz w śmietanę i pławisz się w niej po uszy. Czekaj, czekaj swoich Francuzów, żeby cię tylko Niemcy pierwsi do kozy nie wpakowali! A ja ci mówię, że Niemcy mają zdrowy rozsądek i dlatego zwyciężyć muszą. Oni nie biją się o żadne jakieś tam ideały, im chodzi o zdobycze, o korzyści realne, materialne, oni mają kopf i umieją zorganizować życie.

— Dlatego ojcu z nimi jak wraju, bo ojciec także ma kopf i potrafi wchodzić z nimi w interesy. Już ja dobrze od dłuższego czasu widzę, jak się ojciec z tym plugastwem brata! Już ja mam oczy.

— Słyszysz, Tomek, co ten smarkacz mi tu gada?

A Tomek, jedząc, mruczy:

— Niech mu ojciec da spokój. Kto widział ze smarkaczami dysputować! A jak zanadto sobie pozwala, to już ojca wina. Daj kurze grzędę...

Wtedy Staś już wytrzymać nie może i woła:

— Ty z ojcem sztamę trzymasz, bo z ciebie jeszcze większy groszorób, karierowicz, który świata po za swoim handelkiem nie widział!

— Słuchaj, Stasiu, dość tego — powiada

Teofil. Ty masz przewrócone w głowie przez te posiedzenia koleżeńskie, przez te zbiórki, skauty i tam dalej. Ja nie stoję o to, co ty sobie w mózgowicy kombinujesz, ale mam dość tego tonu, tego koguciego tonu!

Wtedy Staś porywa się, drzwi za sobą zatraskuje i znika z domu. Kiedyś nawet na noc nie wrócił, tak się straszliwie na ojca obraził. U kolegi nocował, wiem, bo mi tamtejsza służąca, która jest z naszą kucharką w przyjaźni mówiła.

Teofil dlatego tak ze Stasiem delikatnie się obchodzi, że się obawia strasznie tego wojska.

Staś już od roku groził, że do wojska wstąpi, no, a Teofil nawet słyszeć nie chciał o tym. I słusznie, bo Staś ma wszystkiego ośmnaście lat w lutym skończone i powinien się jeszcze dużo uczyć.

I teraz, jak się rozzłości, napomyka Staś o tym wojsku.

— A do jakiego wojska pójdziesz? Do niemieckich ułanów czy do niemieckiej piechoty? — drwi Teofil.

— Do polskiej artylerii wstąpię! — krzyczy Staś, a Tomek się z niego w kulak śmieje.

24 lipca.

Przyszła ze wsi kartka od Mareczka. Jak te poczty funkcjonują teraz, to śmiech powiedzieć. Dawniej z Kopytowa list przychodził na trzeci dzień, a teraz dwa tygodnie wędru-

je. Piechotąby człowiek cztery razy obrócił tam i z powrotem.

Marek pisze, że się poprawił, że jest tłusty, jak gęś strasburska, że konno czasem jeździ na wujkowym ogierze i ani razu nie zleciał. Pisze też, że maluje dużo: „Jak wrócę, to ciocia wszystko zobaczy sama i przekona się ciocia, że ja powinienem zostać malarzem, a nie, jakby ojciec chciał, kupcem albo inżynierem”.

Adelcia się u góry dopisała, nagryzmoliła kilka słów, uściski i prośbę, żebym jej przez okazję rurki przysłała, te nowe, bo je zostawiła w komodzie, w szufladzie. O sąsiedztwie nic nie pisze, ale widać się dobrze bawi, skoro o rurki gwałtuje.

Poślę jej przez sklepikarkę, która czasami w tamte strony jeździ po prowiant. Poślę i ciepłą koszulkę dla Mareczka, bo chociaż niby lato, ale chłodno, jeszcze się przeziębii na tym koniu.

Moje dzieciaki kochane! Strasznie mi za nimi tęskno, zupełnie sobie miejsca znaleźć nie mogę.

Staś pojechał z ojcem w góry Świętokrzyskie do tego leśniczego. Pojechali w wielkiej harmonii, co mię ogromnie dziwi, bo w ostatnich czasach ciągle koty darli, a zwłaszcza o tych Francuzów.

Zostałam więc samiutka jak palec, bo Tomek się prawie nie liczy. Cały dzień za inte-

resami lata, czasem się na obiad godzinę spóźni, albo i więcej, a wieczorami u tej swojej donny przesiaduje.

Że też mu się nie uprzykrzy taka dziewczyna i to pewnie z bardzo marnej sfery. Wystrojona, bo wystrojona! Nieraz ją przelotnie widuję i zawsze w innej sukni, ale o czym oni godzinami rozmawiać mogą?

Korzystając, że dom pusty, zabrałam się do porządków. Podłogi już zaciągnięte i u nas i w tych trzech pokojach donajętych. Firanki dopiero na ostatku zawieszę, bo szkoda tak dla nikogo, żeby się kurzyły. Dziś meble z salonu trzepią. Straszne w tym roku mole i pilnować trzeba bez ustanku, żeby się to plugastwo nie zagnieździło w kanapie między sprężynami.

Tamto mieszkanie jest już prawie gotowe. Ostatni pokój będzie Adelci, a ten, co do jadalni przytyka, to ma być Teofila gabinet. Ciekawe, poco mu ten gabinet? Przecież on nie doktor, a jak ma zapisać jakie rachunki u siebie, siada przy stoliku i kwita.

To także Adelci wymyśl, bo musiała usłyszeć gdzieś, że w każdym przyzwoitym domu jest gabinet pana.

Trzeci pokój pewnie dla Tomasza, ale tam nie ma jeszcze ani jednego mebla. Chciałam dużą szafę z przedpokoju wnieść, ale mi Teofil zakazał jeszcze przed wyjazdem.

— Niech Justysia zostawi wszystko tym-

czasem po dawnemu. Jak przyjedzie ze wsi Adelka, to się razem naradzimy.

Aha! właśnie... Wszystko będzie, jak Adelcia zechce. Już ja to wiem.

Do tego gabinetu sama meble wybierała, jeszcze przed wyjazdem. A jakie niepraktyczne! Fotele z jasnym obiciem, i dywan w kwiaty. Akurat dla Teofila, który cygara pali i popiół strząsa, gdzie popadnie. Będzie kram z czyszczeniem tego wszystkiego! Jest też zamówiona szafka biblioteczna, oszklona, a także, z zasuwaną firanką. Ciekawam, skąd Teofil tyle książek weźmie, bo ich ma wszystkiego ze dwadzieścia, a jakie zatłuszczone, pomięte, poszarpane!

Adelei się te meble podobały, więc Teofil bez namysłu dał zadatek.

Co taki garnitur musi kosztować, a jeszcze teraz! Adelci się całkiem w głowie przewraca, ale żeby Teofil! No no!

Już ja się w to wszystko zupełnie nie wtrącam, tylko się pocichu gryzę i myślę, że gdydy Antosia żyła, to nie dopuściłaby za nic do takich zbytków.

Czerwone mebelki z salonu mają iść do mego pokoju. Adelcia radziła sprzedać, ale temu się stanowczo oparłam. To jeszcze po moich i Antolki rodzicach i za nic nie pozwolę, żeby się po obcych ludziach włóczyły.

Powiedziałam, że już do tych mebli ja mam prawo, bo nawet jako starszej siostrze mnie

się przecież należały. Antolka je wzięła, bo zamaż poszła, bardzo słusznie. Ale na poniewierkę naszych rzeczy nie dam, zwłaszcza, że taka sprzedaż, to nie z żadnej potrzeby, tylko dla kaprysu.

Będą w salonie meble złożone. Ciekawam, jak Walerka ze swoją szczotką sobie teraz poradzi, bo dotychczas jak sprząta, to kijem co i raz o jakiś mebel zatraci... Dobra politura wytrzyma jeszcze, ale takie złożone kanty pewnie się łatwo ukruszą!

30 lipca.

Z porządkami tak jakby koniec. Mam więcej czasu, to sobie zasiadę do tego dzienniczka i będę pisała, co mi do głowy przyjdzie.

Bardzo dziwnie wygląda nasz dom, kiedy jest taki pusty. Czasami, w zimie, jak wszyscy są, to sobie wdycham, żeby odpocząć, wdycham do ciszy, do samotności, do tej odrobiny spokoju. A znowu, jak zostanę sama, zaczynam tęsknić. Taką już mam naturę, że mi zawsze za czymś tęskno.

Pamiętam, że jak pan Kazimierz przychodził dawniej tak często, nieraz wdychałam po cichutku, żeby sobie już poszedł i patrzyłam ukradkiem na zegar. Nie dlatego, żeby mi z nim było źle, czy nieswojo. Nie. Wtedy kochałam go bardzo. Ale jak odszedł, to mogłam dowoli myśleć o nim. Tęskniłam wówczas

strasznie i czasem płakałam z godzinę albo i więcej.

Kiedyś nie przyszedł tydzień, bo miał pilne zajęcie. Rety! miejsca sobie znaleźć nie mogłam. Chodziłam od okna do drzwi, od drzwi do okna i nasłuchiwałam dzwonka. W pracowni mi się kolory myliły, pamiętam, że zrobiłam jedną różę zupełnie na lewą stronę, wszystko z tęsknoty, z niepokoju.

A jak potem przyszedł—myślałam, że umrę z radości, ale się znowu zaczęło to samo. Raz mię pan Kazimierz w rękę pocałował. Tak sobie, czy przez pomyłkę, bo w pokoju były wtedy aż 3 mężatki, to mu się może i pomyliło. To potem, jak mię w tę rękę pocałował, nie mogłam już o niczym innym myśleć, tylko precz w kółko:

— Żeby sobie poszedł! Żeby już sobie poszedł...

Bardzo długo czułam ten pocałunek na ręku i wieczorem zasnąć nie mogłam. Wciąż mi w pamięci stała ta chwila, gdy on moją rękę podniósł i do ust przycisnął.

Potem mię jeszcze trzy razy w rękę pocałował. Dwa razy w ogrodzie botanicznym, a trzeci raz na pożegnaniu, jakeśmy sobie powiedzieli wszystko szczerze. Ale to już nie było to samo, co ten pierwszy raz, taki niespodziewany...

Jakeśmy się żegnali, to ten jego pocałunek

był długi i smutny, a ja miałam oczy pełne łez i jak przez mgłę widziałam wszystko.

Pan Kazimierz, wstając, powiedział:

— Niech pani do mnie, panno Justyno, urazy nie chowa, bo już tak widać sądzone i inaczej nie może być.

To ja tylko głową potakiwałam, że dobrze, bo mi wszystkie słowa w gardle więzły.

Potem sobie nieraz myślałam, że jednakże mogło być inaczej, a zwłaszcza, jak się od ludzi dowiedziałam, że ta żona, masarka, okropnie nim pomiata i że on w tym małżeństwie wielkiego szczęścia nie znalazł.

Urazy do pana Kazimierza nie miałam ani przez chwilę, bo i za co? Że mi powiedział otwarcie: „pobrać się nie możemy, gdyż ja zarabiam za mało, żeby utrzymać dom, a wydatki mogłyby wzrosnąć”. Niby, że mogliśmy mieć dzieci.

Mój Boże! Z tą masarką miał tylko dwoje dzieci (jedno nie żyje), a wydatki nie przez to tak bardzo wzrosły, tylko, że ona się stroiła i na głupstwa pieniądze wydawała, chociaż mu wniosła duży posąg, więc się krzywić i na to nie powinien.

Ta moja miłość była piękna i czysta. Jak sobie teraz wszystko dzień po dniu, zdarzenie po zdarzeniu przypominam, to mi się bardzo słodko na sercu robi, takie to wszystko było jasne i proste, bez żadnych tam przymieszek, bez żadnych myśli ubocznych.

Adelcia, która skądś wywęszyła tę całą historię (może ja jej zresztą wspomniałam coś pokrótce, a ona dośpiewała sobie) często się ze mnie jakby naigrywa. Z mojej naiwności niby. Powiedziała kiedyś, że stworzona byłam na starą pannę.

Może być. Ale już wolę, że zostałam starą panną, niż żebym miała podobne w życiu przygody, jak to często obecnie młodziutkie panienki miewają.

Już dawno, Adelcia była jeszcze w piątej klasie, wpadła mi kiedyś w rękę kartka z jej dziennika. Ani szukałam umyślnie, ani ciekawa byłam, co ona tam wieczorami gryzmoli... Ot, poprostu, Adelcia, roztrzępana, jak zwykle, musiała karteczkę na ziemię upuścić. Rano, zobaczywszy, że Walerka jakiś papier wymiała, z przyzwyczajenia podniosłam, żeby zobaczyć, czy to nie co ważnego.

Jakem przeczytała pierwsze słowa, osłupiałam zupełnie.

Zaczynało się tak:

„Tadziu, Tadziku mój najdroższy, Ty mój... Myślę o tobie po nocach i sypiać nie mogę... Ciągłe mam w oczach twój obraz, a na ustach czuję Twoje wargi wilgotne. Twoje wargi czerwone, jak dojrzały owoc granatu... Kocham cię i pragnę Ciebie i pocałunków twoich... O przyjdź i weź mnie w ramiona, ukochany mój”...

Wzięłabym to za jakiś nieprzyzwoity ustęp,

przepisany z książki, gdyby nie fakt, że Adelcia знаła jednego Tadzika, który był nawet jakimś bardzo dalekim jej kuzynem.

Jakby grom we mnie trafił.

— To to tak? — myślałam — To Adelcia takie rzeczy wypisuje, a pewnie i zamyśla? Chryste Panie! Gdyby to Antosia wiedziała...

I zaraz serce mi się boleśnie ścisnęło, że ona musi widzieć wszystko z tamtego świata i pewnie z żalem patrzy na mnie, że tak źle pilnuję jej córki.

Wzięłam Adelcię w ostrą kuratelę. Na ulicę — ani kroku beze mnie, pilnowałam też, jak ten Tadek przychodził, żeby ani na chwilę nie zostali sami, albo udawałam, że wychodzę, a z za portiery bacznie ich śledziłam.

Niczego się nie dosledziłam. Czy byłam w pokoju, czy nie, rozmawiali o ślizgawce, albo o tenisie, jeżeli to było latem i tyle.

Nigdy żadnej tam mowy o ustach, jak owoc granatu, ani o pocałunkach w ogóle.

Dopiero odetchnęłam trochę, ale tylko trochę, bo chociaż w tej całej pisaninie nie było ani za grosz prawdy, to przecież dosyć zmartwienia, że Adelci pocałunki po głowie chodzą... I jeszcze jakie pocałunki!

Okropnie długo się tym wszystkim gnębiłam i dużo czasu minęło, zanim wytłumaczyłam sobie jakoś, że to nawet nie Adelci taka wyjątkowa natura i że list czy pamiętnik był zupełnie zmyślony. Przekonałam się potem, że nie

tylko Adelcia taka, bo potem nieraz, jak przychodziły jej koleżanki, zasłyszałam niejedno. O czym tam nie było mowy! Zejdą się dwa, trzy podlotki, ledwie że z pieluszek wyrosłe i potrafią parę godzin trajlować, a wszystko o miłości, o chłopcach, o flircie na wieczorach, na ślizgawce, na majówce, wszędzie...

— Ten się kocha w tamtej, a ten w innej...

I szu-szu-szu — na ucho, rozmaite sekreta:

— A wiesz, Stasia, (albo Genia, albo Zosia) to taka szalenie zakochana, że zupełnie nie jada i może nawet suchot dostanie!

Czyż ja nic nie wiem o miłości? Miłość, to takie powszechne uczucie, że go każdy człowiek na świecie, ot, jak słońca, choć troszeczkę, choć odrobinę zazna. Jednym towarzyszy miłość życie całe, innych w pół drogi nagle odbiega, albo muśnie zlekka, ale zawsze tak, że serce zadrża wzruszeniem radosnym: oto ona!

I ja, stara panna, śmieszna, stara ciocia Justysia kochałam i byłam kochana. Ale czy „miłość” to znaczy mieć zaraz sprośne myśli o grzesznych pocałunkach... Pewnie, że słodkie być mogły pocałunki kochanej istoty, ale czy wolno o tym myśleć, kiedy na pocałunki nie pora?

Mnie się zdaje, że głupie, niemoralne książki winne temu zepsuciu dzisiejszej młodzieży.

Co taka młoda dziewczyna, jak Adelcia czytuje? Powieści, tylko powieści. A w każdej piszą o miłości, tylko o miłości, tylko! To i cze-

mu się dziwić, że Adelcia czule dytyramby do wyśnionych bohaterów wypisuje. Ona to wszystko z książek wzięła, bo skądby jakiś owoc granatu? Jestem pewna, że Adelcia nigdy granatu nie widziała, tak jak i ja.

A z tym Tadziem, to się skończyła bardzo prędko nawet jego przychodzenie do nas, bo go rodzice do Lublina wysłali na praktykę aptekarską. Do Adelci nawet jednego listu nie napisał. Pewnie sobie znalazł inną gąskę, która czule za nim wzdychała i marzyła o nim po nocach.

4 sierpnia.

Teofil wrócił, a Staś później przyjedzie, bo się doskonale bawi w Leśniczówce i jego tam strasznie polubili. Leśniczy ma dwóch synów w wieku Stasia i córkę, niewiele co młodszą. Podobno codzień prawie przyjeżdża ktoś z sąsiedztwa, więc sobie młodzi tańczą. Rano chłopcy dzień w dzień na polowanie chodzili, jak był Teofil. Nawet żeby deszcz padał, to szli w pole albo do lasu i czasem z jakąś tam kaczka wrócili, ale z niczym więcej, bo teraz na zające polować nie wolno, dopiero w jesieni.

Staś podobno godzinami do celu strzela i bardzo się wprawił. Tamci dwaj chłopcy (jeden jest w realnej szkole w Warszawie, jeszcze nie skończył) to się także gwałtem do wojska wybierają, a ich ojciec powiada, że nic nie ma naprzeciw, byle tylko była ta Polska.

Jakoś na Stasine wychodzi, bo z Niemcami

zaczyna być coś krucho. Miny mają bardzo butne i ludność gnębią po dawnemu, ale jakoś coraz śmielej gazety nasze przebąkują o tym i owym, niby, że z końcem wojny to na dwoje babka wróżyła.

Daj Boże, daj Boże, niech tych Niemców lichy zabierze jak najprędzej. Ja się tam polityką nie zajmuję, ale o tę Polskę przecież mi tak samo chodzi, jak każdemu z dobrych Polaków.

Tylko ten Staś...

Jak się wojna zaczęła, to Staś był zupełny smyk, do drugiej klasy chodził... Ktoby pomyślał wtedy, że on w wojsku służyć może, a jeszcze w wojsku polskim!

Tomek ma zupełnie inne usposobienie. Wcale się do żadnego wojska nigdy nie wybierał i cała wojna niebardzo go zajmuje. Powiada, że to dla niego nie żadna nowina, bo od początku świata głupi ludzie bili się pomiędzy sobą, a inni, mądrzy, umieli z tego korzystać.

Tomasz pewno sam siebie w duchu do tych mądrych zalicza, którzy siedzą cicho i swoje robią, na nic się nie oglądając.

Już wiem, co to było z tą Łodzią, bo teraz sześć ogromnych pak nadeszło, a wszystko to w Teofila pokoju stoi. Nakupili po tanich cenach barchanu i kortu kilkadziesiąt całych sztuk. Teofil mówi, że już na tym dużo zarobił przez 2 miesiące, chociaż paki stoją jak stały i nikt o sprzedaniu ich ani myśli. Ja się na

tym nie znam i mało co rozumiem, ale skoro Teofil to sam powiedział, to tak być musi.

Tomasz teraz bardzo się zrobił elegancki. Sprawił sobie dwa nowe ubrania, a lakierki z jasnym sukniem nosi na codzień. Jak do prania bieliznę liczę, to chociaż Tomkowe chustki znaków nie mają, zaraz je po zapachu poznam.

Słyszałam, jak sąsiadki mówiły, że Tomek śliczny chłopak. Ja tam tego nie uważam. Twarz ma za szeroką i ramiona szerokie i cały jest taki krępy, choć nie powiem, żeby był niezgrabny. Staś od niego o dwa lata młodszy, a chyba o pół głowy go przerósł. Ale Stasia jeszcze w dzieciństwie nazywali „tyczką”.

Jedno, co według mnie, ma Tomek ładnego, to usta. Nieduże, czerwone, a nad nimi małe wąsiki króciutko przyszyty, jak to teraz moda. Stasiowi się pod nosem pojawia płowy jakiś puch. Ale Staś codzień się goli i powiada, że wąsów nie cierpi i nigdy nie będzie ich nosił.

Dawniej, za moich młodych lat, to mężczyzna bez wąsów był jak bażant bez ogona. Pan Kazimierz długie, sumiaste wąsy nosił, podkreślał je do góry, a moje koleżanki zawsze się zachwycaly, że blond wąsy mogą być takie śliczne.

Mnie tam, coprawda, nie wąsami ujął za serce, tylko swoją wesołością. Już to humor miał pan Kazimierz okazowy.

Bywało, jesienią, na dworze straszna pluchała

cha, szaro, błotniście, wszyscy w domu powro-
rzeni siedzą... aż tu zjawia się pan Kazimierz
i wszyscy odrazu weselsi, zupełnie, jakby słoń-
ca promień wpadł przez okno. A jak on umiał
całe towarzystwo zabawić! Jakie on potrafił
historyjki opowiadać, że wszyscy pokładali się
ze śmiechu i tylko zgadnąć ani rusz nie mogli,
czy to prawda, czy też zmyślane wszystko...

W sekretarzu najdowcipniejsze zdania było
jego, a potrafił i wierszami pisać, co wszyscy
zawsze podziwiali.

Pamiętam, kiedyś w moje imieniny, jak był
goście, to pan Kazimierz całą mowę miał wierszami, a kończyło się tak:

*Więc, panie i panowie,
Wnieśmy toast na zdrowie
Bo to dziś imieniny
Naszej panny Justyny!*

To pamiętam, że wszyscy w ręce klaskali
z zachwytem, aż mi ktoś winem suknię oblał.

Wtedy mi było strasznie przyjemnie ca-
dzień, a najbardziej dlatego, że jak pan Kazi-
mierz powiedział „naszej panny Justyny”, to
w oczy mi patrzył długo i tak, jakby tym spoj-
rzeniem wiele innych rzeczy miał mi powie-
dzieć.

Miałam wówczas dwadzieścia pięć lat i wca-
le nie gorzej wtedy wyglądałam, chociaż już
w rodzinie przebąkiwano, że ja pewnie sta-
nę panną. We dwa lata później Anto-

za Teofila poszła, a ja już wtedy dawno
wszystkie swoje nadzieje opłakałam...

Stara panna... Ludzie kpili dawniej ze sta-
rych panien, jakby to był wstyd i ubliżenie
zamaż nie wyjść, a ja przecież mogłabym męża
mieć, nie koniecznie nawet pana Kazimierza.

Wpierw jeszcze, nim go poznałam, starał
się o mnie jeden młody człowiek, majster ślu-
sarski. Rodzina moja ogromnie nosem kręciła
na tę ślusarkę, choć ja tam nie widzę dobrze,
dlaczego. W kilka lat później rozszerzył za-
kład, potem się ożenił, a teraz dużą pracownię
ma, jest znany w Warszawie, wszyscy go po-
ważają i szanują.

Mnie się on wtedy nawet dosyć podobał i —
kto wie? Możliwym nawet za niego poszła,
tylko że akurat pana Kazimierza poznałam...

Później, jak się już wszystko z panem Ka-
zimierzem skończyło, miałam jeszcze jednego
starającego. Że już przeszłam trzydziestkę,
wszyscy mię namawiali gorąco, nawet Antolka.

Jak się oświadczył, przyszedłam do Teofilów
powiedzieć o tym.

— Ach! chwała Bogu. — zawołali oboje —
To już ci Bóg takiego człowieka zesłał!

A Teofil dorzucił:

— Ja już nawet przepytawałam się o niego.
Uczciwy człowiek i zacny. Karierę zrobisz,
Justynko, choć on majątku nie ma.

Dopiero im powiedziałam, że mu odmó-

wiła. Dopiero wszyscy usta pootwierali, a potem na mnie!

— Taką partię odrzucić! Takiego człowieka! Cóżeś ty najlepszego zrobiła, Justysiu!

A Teofila siostra, Amelka z przekąsem do mnie:

— Justysia chyba na jakiego królewicza czeka?

Wytłumaczyłam im, że wcale na żadnego królewicza nie czekam, tylko zamąż iść nie chcę i nie pójdę.

Wtedy mię, pamiętam, Antolka wzięła na stronę i powiada:

— Ja wiem—powiada—że ty swojego pana Kazimierza zapomnieć nie możesz, ale pomyśl, Justysiu! Tamto już przeszło, a druga taka partia ci się nie trafi. Przecie już lata masz, a pannie w latach, bez posagu, nie łatwo męża znaleźć.

I nawet radziła mi, żebym za tego Stalewskiego wyszła, chociażbym nawet miłości do niego nie czuła wielkiej.

— Bo widzisz, w małżeństwie miłość, to prawie najmniejsza rzecz. Ja sama znam takie małżeństwa, które się bez wielkiej miłości pobrały a są szczęśliwe. W małżeństwie przychodzi przywiązanie, które z latami wzrasta i umacnia się. Przywiązanie pewniejsze jest i trwalsze niż miłość, moja Justysiu. A jeszcze, jak są dzieci...

Tu, pamiętam, Antolka na Staśka, który spał w kołysce, z rozrzwinięciem spojrzała, a potem umilkła i zamysliła się. To było nie długo przed urodzeniem Adelci i musiała Antolka o całej swojej trójce pomyśleć...

Tak mi głowę zakotłowali wówczas, że o mały włos nie zrobiłam głupstwa. Choć kto wie? Ten Stalewski był bardzo zacnym człowiekiem i dotychczas dumna jestem, jak pomyślę, że taki człowiek o mnie się starał—i to bardzo, bardzo się starał.

Miał już wtedy koło lat czterdziestu i był nauczycielem w szkółce miejskiej. Poznałam go na wsi u Teofila siostry. Pan Stalewski na całe lato wtedy do Kopytowa przyjechał, Amelki synka do klas przygotować.

Tośmy nie jeden raz z sobą rozmawiali, a zawsze bardzo poważnie. Pan Stalewski mi różne książki do czytania przynosił, a potem wypytywał, która mi się najlepiej podoba i dlaczego. A ja nieraz umyślnie mówiłam, że mi się coś nie podobało, bo pan Stalewski wtedy tak ślicznie tłumaczył, że nie mam racji, bo książka jest dobra i napisał ją poeta, który kochał ojczyznę i piękno.

Bardzo lubiłam te rozmowy i później nawet żalowałam, że wszystko taki obrót wzięło, bo jakbym straciła przyjaciela.

Ale trudno. Nie mogłam się zdecydować, nie mogłam.

Wtedy, jak mię pan Stalewski ostatni raz o rękę prosił, w Warszawie, w pół roku potem, to się nawet przez chwilę sama wahałam, tak mówił serdecznie i prosto.

— Ja, panno Justyno, kocham panią i kochać nie przestanę i pani o tym wiedzieć powinna, choćbym oddźwięku w pani sercu nie znalazł. Raz się tak w życiu kocha, a ja już nie jestem młodzikiem.

To już wtedy chciałam powiedzieć: „dobrze, zostanę pańską żoną”... Ale mi w oczach stał pan Kazimierz ze swoją jasną czupryną, ze swoim pogodnym wyrazem, ze śmiejącymi oczami i — już Stalewskiemu odpowiedzieć nie mogłam inaczej, jak tylko, że go bardzo lubię i poważam, ale zamąż za niego, ani za nikogo nie pójdę.

Ja wiem, że pan Kazimierz nie był ani taki wykształcony, ani może nawet taki dobry jak Stalewski. Bo to był bardzo dobry i zacy człowiek.

Jakśmy się rozstawali, to mi pan Stalewski raz jeszcze powtórzył, że mię kochać będzie do końca i nigdy nie zapomni.

Pewnie i nie zapomni. Pewnie i zostałam tą jego „największą” miłością, bo wkrótce potem umarł na zapalenie płuc w drodze do Czerichowa.

5 sierpnia.

Chyba się nigdy w życiu tyle nie rozpisałam o sobie, co wczoraj. Zarwałam znów kawałek nocy i dziś chodziłam rozespana po domu, aż się kucharka nadziwić nie mogła.

Ale czasem to tak na człowieka najdzie, niewiadomo co i nie wiadomo skąd.

A głównie, jak w domu pusto, dzieci nie ma, nie ma tych kłopotów i gospodarskich spraw, to sobie nie raz godzinami, z robótką jaką usiadłszy, o przeszłości rozmyślam. Teraz mi niczego nie żal; Bóg dobry sprawił, że od śmierci Antolki jakbym własną rodzinę znalazła, a jej dzieci tak kocham, że chyba swoich bardziej bym nie potrafiła.

Jak już z Antolką było bardzo źle i po księdza posłali, przywołała mię do siebie. Ukłękłam przy niej i ucho przyłożyłam prawie do jej ust, bo już mówiła tak cicho i z trudem, jakby ją każde słowo przyprawiało o duży wysilek. To mię wtedy Antolka, suwając chudymi rączkami po kołdrze, prosiła, żebym zaopekowała się i wychowała sieroty, skoro już jej Bóg nie dozwolił.

— Niech — mówiła — Bóg ci to za zasługę wielką policzy, że tym biedakom matkę zastąpisz...

A potem kazała sobie przynieść Marka, którego w sąsiednim pokoju przewijała akuszerka. Trzymałam dziecko na rękach przed nią, żeby

się napatrzyła. Antolka bardzo długo, bardzo uważnie przypatrywała się maleństwu, a nie zapomnę nigdy tych jej oczu. Zdawały się jeszcze dwa razy większe w sinych obwódkach i takie smutne, jak u Matki Boskiej Bolesnej, co pod krzyżem stoi i na syna spogląda.

Co chciałam zabrać Marka, żeby już sobie Antolka serca nie krwawiła przed śmiercią, to ona głowę na poduszce parę razy z wysiłkiem obróci i szepnie:

— Muszę mu się przypatrzeć, bobym go jeszcze na tamtym świecie nie poznała, jak się kiedyś spotkamy.

Pamiętam jak dziś, do końca życia chyba nie zapomnę, w godzinach śmierci wspominać będę tę chwilę, gdy się Marek gwałtownie rozpłakał na matczyne słowa.

Antolka uśmiechnęła się łagodnie i powiedziała:

— Nie teraz jeszcze, synku, nie. Kiedyś...

Właśnie przyszedł ksiądz z wiatykiem, więc płaczącego Marka zabrałam i potem sama beczałam tak długo, aż mię zawołano, że Antolka wypowiadała się i ostatnie sakramenty przyjmować będzie.

Potem, ile razy Mareczek był chory, pamiętam, drżałam zawsze, czy aby Antolka nie zawołała go do siebie... Ot, nie mogłam się pozbyć tej myśli upartej, że Antolka strasznie Marka ciekawa, jaki wyrósł i że pewnie u Bo-

ga sobie uprosiła, żeby jak najprędzej tego najmłodszego synka zobaczyć...

Znowu zamyśliłam się smutno, czas na głupstwa tracę, a tu dla Teofila trzeba jeszcze herbatę przygotować, bo zapowiedział, że choć późno dziś wróci, to się herbaty szklankę jeszcze napije, byle była gorąca.

12 sierpnia.

Jeszcze teraz, jak sobie tę chwilę przypomnę, serce mi z przerażenia bije...

Zesłam właśnie na dół po cykorię, bo jej do kawy zabrakło. Wychodzę przed bramę, aż tu patrzę, dorożka przed domem stoi, Adelka na chodniku z woreczka pieniądze wydobywa, a w dorożce siedzi Marek z obwiązaną głową.

Chryste Panie! Byłabym go nawet nie poznała, bo z pod tych bandaży ledwie nos wystawał i oczy.

Stałam w miejscu jak wryta, zupełnie, jakby mi w ziemię nogi wrosły, nie mogłam słowa z gardła wydobyć.

Adelka właśnie obróciła się i do mnie:

— A! to ciocia! Dzień dobry, dzień dobry, kochana ciociu! Właśnie Marka odwożę, bo sobie o kamienie głowę rozbił. Co ciocia tak w miejscu stoi, jak słup soli? Markowi nic nie będzie, niech się ciocia uspokoi. Trochę się pokrwawił, a że skórę na głowie porozcinał,

przywiozłam go do Warszawy, żeby mu doktor fryzurę ostrzygł.

Właśnie się Marek sam o własnych siłach wygramolił z dorożki, więc nabrałam trochę otuchy i dopiero pytam:

— Co? Jak? Kiedy?

Adelka śmieje się i odpowiada:

— Wczoraj Marek z konia spadł i trochę się pokiereszował. Nic wielkiego. Byliśmy właśnie w szpitalu, prosto z kolei zajechaliśmy, i doktor Markowi lepetynę obwiązał, jak się patrzy, czego felczer kopytowski zrobić należy nie potrafił.

Przeżegnałam się krzyżem świętym i dopiero do Marka podbiegłam, w ramiona go chwyciłam, aż syknął.

— Niech mię ciocia za rękę nie bierze, bom ją trochę potłukł.

Głos miał jakby zmieniony od tych bandaży. Dopiero się ocknęłam na dobre.

— Jezus, Maryja — wołam — to mogło być straszne nieszczęście!

Ale Marek z fantazją powiada:

— Głupstwo, ciociu.

A Adelcia:

— Powtarzam, głowę trochę rozbił i tyle. Po śniadaniu jesteście? Głodna jestem, jak wilk i strasznie niewyspana, bośmy o czwartej rano wstali, żeby zdążyć na pociąg.

Już i tej cykorii zapomniałam kupić, po-

szliśmy na górę, a po drodze Adelcia opowiadała, jak było:

— Marek strasznie swawolił na tym wujka ogierze, to musiało się tak skończyć. Dobrze, że i tak. Mógł całkiem głowę rozbić o kamienie, bo na strasznie ostre kamienie upadł, pośrodku rzeczułki.

Tak opowiadała Adelcia, a ja zupełnie jakbym Marka widziała leżącego z roztrzaskaną głową, nieruchomego i we krwi. Łzy mi nabiegły do oczu, ale zahamowałam je i pytam Marka:

— Boli cię bardzo?

— Pewnie, że trochę boli. Ale mi najbardziej żal, że już pewnie z tym ogierem skończone.

— O, co to, to napewno! — zawołała Adelka. — Ciocia Amelka o mało nie zemdląła, jak zobaczyła Marka, a potem wujowi scenę zrobiła, że Markowi narowistego konia dał do tej jazdy.

— On wcale nie jest narowisty, tylko strasznie miękki w pysku, a ja go za nadto za udeściągnęłam i to przez to...

— Przez to, czy nie przez to, dość, że cię wyrzucił z siodła i że wszyscy przeżyliśmy przez ciebie miłą chwilę.

Na gorze chłopcy siedzieli przy śniadaniu. Zaczęło się nowe opowiadanie, tylko z dodatkami Adelci!

— Wyobraźcie sobie — powiada — jutro miał być wieczorek u wujostwa, specjalnie dla mnie

gości sprosili, zaproszenia rozesłali, a tu przez tego Marka wszystko przepadło.

— Możesz choćby dziś wrócić — wtrącił Marek.

— Mogę? A właśnie, że nie mogę, bo z nóg lecę ze zmęczenia. Wiesz, Stasiu, całą drogę staliśmy w przedziale i jeszcze ktoś mi pod bokiem kufrzysko ustawił, że zupełnie plecy obilał sobie o żelazne okucia.

Staś na Marka patrzył i co raz dogadywał:

— Wyglądasz, jak baba w tych powijkach, Albo:

— Nie wstyd ci, że to nie na wojnie, tylko tak, po prostu z konia i to jeszcze przez niedośledstwo.

— A właśnie że nie! Wcale nie! Ja zupełnie dobrze jeżdżę i wujaszek mówił, że się doskonale trzymam na koniu.

— O, widzę, widzę, jakieś się pięknie utrzymał, aż głową porozbijaleś kamienie.

Widziałam, że Marek strasznie był zły na Stasia, chociaż Staś mu nienaumyślnie dokuczył. Staś już ma taki język, że wytrzymać nic może i zawsze się z kogoś wyśmiewa.

Z Teofilem jakoś nie zaczyna, ale to pewnie dlatego, że dopiero przedwcześniej wrócił z tej Leśniczówki. Bardzo go tam zatrzymywały, ale się uparł wracać do Warszawy.

Ciekawam, poco się tak śpieszył, przecież politechnika zacznie się dopiero na jesieni, to jeszcze moc czasu.

Oho, ja już się trochę domyślam, że Stasia ta polityka i to wojsko ciągnie do Warszawy.

Ledwie przyjechał, naschodziło się do niego kolegów i do późnej nocy siedzieli. Niedopałków papierosowych rano pełniutką popielniczkę znalazłam, a jeszcze powtykali, jak mogli, w doniczki od kwiatów, w futrynę okna, gdzie któremu było najbliżej...

Chwała Bogu, że się z tym Markiem dobrze skończyło, ale co ja przeżyłam, co ja przeżyłam wtedy, jakem go zobaczyła!

15 sierpnia.

Adelcia pojechała znów do Kopytowa. Musiałam nagwałt prasować najstrojniejszą sukienkę, tę różową z falbanami, bo Adelcia powiada, że jej najlepiej do twarzy, a na ten wieczorek tańczący cała okolica podobno miała się zjechać.

Marek nie wychodzi z domu, bo się wstydzi swojej owiązanej głowy, tylko na opatrunek rano jeździ dorożką do szpitala. Dziś pierwszy raz z nim byłam, żeby zobaczyć, jakie to te rany.

Kiedy mu doktor bandaż odwinął, myślałam, że krzyknę. Włosy nad prawem uchem wygolone do cna, a na głowie szrama czerwona, długa jak palec. Prócz tego dwa sińce na czole i policzek zadrapany, ale doktor powiada, że z tego nie będzie ani znaku za kilka tygodni.

Jak to nieszczęście czyha na każdym kroku, a człowiek ani się spodziewa! Ot, mógł

ten kamień drasnąć go o cal wyżej i byłoby po oku.

Marek całymi dniami teraz w moim pokoju siedzi przy oknie i rysuje—powiada, że światło najlepsze. Niech sobie rysuje, biedaczek. Już i tak niedługo tych wakacyj, a jak się zacznie szkoła...

Biedny Marek! Aż się cały na to wspomnienie otrząsa.

Wczoraj wieczorem, jakem przyszła zapełnić go do łóżka, pokazał mi cały stos rozmaitych swoich rysunków. Czego tam nie było! Ptactwo domowe, dom kopytowski z boku, z przodu, od tyłu, czarny i kolorowy, nawet taki kolorowy, że aż się nadziwić nie mogłam.

Mówię do Marka:

— Bardzo mi się podoba, ale czemu te ściany takie niebieskie, kiedy pamiętam, że dom wymalowany na białe, bo go ostatnim razem przy mnie odnawiali.

— Bo widzi ciocia, malowałem dom w słońcu.

— W słońcu—powiadam—czy nie w słońcu, koloru przecie nie zmienił, a jeszcze na niebiesko. Niebo jest niebieskie i woda, ale do mu nie widziałam.

— Aha, ciocia powiada, że woda jest niebieska? A kiedy woda jest bez koloru, moja ciociu!

Zbił mię nieco z tropu.

— Bo to niebo się w niej odbija, jak w lustrze — odparłam.

Marek się uśmiechnął i nagle zawołał:

— Niech ciocia wyjrzy przez okno, prędko, moja ciociu!

Wysuwam głowę, patrzę, nic, ulica jak zwykle, a po niej ludzie chodzą.

— Cóż takiego? — pytam Marka.

— Niechno ciocia popatrzy na tę panienkę w białej bluzce, widzi ją ciocia?

— Widzę. Więc co?

— Niech się ciocia dobrze przypatrzy—jakiego koloru jest ta bluzka?

— No... biała przecież.

A na to Marek:

— Ależ, ciociu, ona jest zupełnie niebieska, niech się ciocia uważnie przypatrzy, o, biała bluzka w załamaniach jest zupełnie niebieska, taka, jak niebo.

Panienka znikła nam z oczu na zakręcie, a ja powiadam do Marka,

— Nic podobnego nie widziałam, moje dziecko. Ubrdało ci się i tyle. A to coś mi pokazał to był cień...

Dopiero Marek się ze mnie zaczyna śmiać, jak szalony. Potem, gdy się już dosyć naśmiał, uściskał mię na przeprosiny, mówiąc:

— Niech ciocia wybaczy, ale... ale ciocia to nie ma *prymitywnego* poczucia w malarstwie.

Trochę mi było przykro i powiedziałam Markowi z lekką urazą:

— Może być, że jakiegoś *prymitywnego* po-

czucia nie mam, ale mam jeszcze zdrowe oczy i kolory wyraźnie widzę, Bogu dzięki.

Pierwszy to raz Marek śmiał się ze mnie i dlatego było mi bardzo nie mile. Już to obecne dzieci wszystkie rozumy pojadły. Wszystko wiedzą, co i jak. Zupełnie, jakby przed tym nie było na świecie ani obrazów, ani książek i jakby one dopiero odkryły ich istnienie.

A przecież za mojego jeszcze dzieciństwa żył Matejko, największy malarz polski, a przed tym, dużo przed tym byli ciągle rozmaici słynni artyści, jak na przykład ten Rafael, którego Matka Boska z dzieciątkiem wisi nad moim łóżkiem w dębowej ramce.

Ja się tam na obrazach nie znam, ale znowu nie powiem, żeby tak nic zupełnie. Zawsze poznam, co jest namalowane, żeby tylko było namalowane, prawdziwie, z podobieństwem. Takich obrazów, co to nawet niewiadomo, jak je wieszać, bo i sam malarz pomylić się może, gdzie góra a gdzie dół, to ja zupełnie nie pochwalam.

Pani Klimaszewska miała dalekiego kuzyna, malarza. Kazała mu się sportretować (mieszkał u nich za to przez cztery tygodnie i tłusto jadał). To jakem spojrzała później na ten obraz, o mało śmiechem nie parsknęłam. Włosy jej zrobił granatowe (ona była silną brunetką), a policzki jakby kto burakiem posmarował.

Patrzę, patrzę, a pani Klimaszewska do mnie,
— I cóż pani na to, moja panno Justyno?

Bąknęłam coś piąte przez dziesiąte pod nosem, a pani Klimaszewska prosto z mostu powiada:

— Dawniej, jak się malarz podjął portret zrobić, to wszystko było na miejscu i takie, że dzieckoby poznało. Nie to nawet, moja pani! Był u pierwszego mego męża (świeć Panie nad jego duszą, nazywał się Jacuński) obraz duży, olejny, przedstawiający przekupkę z koszem śledzi. Temat nie bardzo, ale jak te śledzie namalowane były! Miałam wtedy kota... To, powiadam pani, kot godzinami przed tym obrazem wysiadywał i oblizywał pyszczek. Tak wyglądały te śledzie, jak żywe.

Spojrzała znowu na obraz i westchnawszy, ciągnęła dalej:

— Teraz się lada pacykarz do portretów bierze, a jakie to zarozumiałe! Temu chłystkowi mojemu kuzynowi, powiedziałam tylko i to bardzo delikatnie: „pochlebiam sobie, że taką maskarą nie jestem”, a on się obraził z punktu i nagadał mi zaraz, że jestem filisterka, czy jak tam, że mam pojęcia ciasne, że się na sztuce nie znam, a głos chcę zabierać. Tak, moja pani... Kiedyś mi Klimaszewski (świeć Panie nad jego duszą) przyjemność chciał zrobić na gwiazdkę i kazał z fotografii portret namalować. Ani razu nie pozowałam nawet, a tamten i podobieństwo uchwycił i, powiadam pani, koronkę przy sukni tak odrobił, że moż-

na było nosem po obrazie wodzić, a jeszczeby nie wiedział człowiek, że to malowidło. Koń-
nierz miałam spięty broszką, to on mi w tę
broszkę perlę taką wstawił, że za nią chyba
pół Warszawy dostaćby można. To wszystko
kosztowało raptem 25 rubli, a portret na wsi
wisi dotychczas i wszyscy się nim zachwycają.
Tak, moja pani, dawniej wszystko było tańsze
i w dobrym gatunku: jak kupiłeś funt maki,
to był funt maki, a nie pół funta gipsu i pół
otrębów. Jak kazałeś zrobić portret, to był
portret, a nie jakaś maskara na płótnie roz-
plabzdrana...

Bardzo się Klimaszewska przejęła swoją
przemową, bo aż oddech straciła i sapała z do-
brą minutę. Teraz już wiem, że to było nie
bez kozery: malarz, którego przez cztery tygo-
dnie trzymała z wiktem i opierunkiem, głupstw
jej nagadał, a jak mu dom wymówiła, razem
z nim ulotnił się bardzo ładny, brązowy zegar
z konsolki.

Tacy to teraz ludzie, ale ci malarze, to już
chyba największa hołota, bo dla nich kradzież,
to nawet żaden wstyd ani grzech i jawnie się
do tego przyznają.

Byłam kiedyś z Markiem na wystawie i sły-
szałam na własne uszy, jak jeden peleryniarz
mówił do drugiego:

— Tobym, psiakrew, świsnął.

Strasznym oni językiem mówią. Co minuta
jakieś grubiańskie słowo z ust wypadnie.

I pomyśleć, że Mareczek chce być takim sa-

nym malarzem i może gotów także kłać, pić
wódkę i zegarki z cudzych domów wynosić...

Nie, już mój Marek taki nie będzie, choćby
i został tym malarzem.

28 sierpnia.

Słyszane rzeczy! Słyszane rzeczy!

Jeszcze się cała z oburzenia trzęsę, nietyle
nawet na Tomka, co na Teofila.

Tomasz młody, nie dziw, że pomysły się
głowy czepiają, ale Teofil rozsądny człowiek
i starszy.

Już ja co prawda nic a nic nie rozumiem,
jakie oni tam kalkulacje prowadzą.

Dziś, po obiedzie (zbierałam właśnie filiżan-
ki po tej czarnej kawie, co ją teraz chłopcy
raz po raz popijają) aż tu Tomasz podchodzi
do mnie, w rękę mnie cmok i powiada:

— Moja ciociu... Żeby ciocia znalazła tro-
chę czasu i pomogła mi rzeczy przebrać, bo ja
się za tydzień wyprowadzam.

Uszom nie chciałam wierzyć.

— Co takiego?

— Wyprowadzam się.

— Skąd?

— Z domu, no, z domu się wyprowadzam.
Do innego mieszkania, rozumie ciocia?

Naturalnie, nie mogłam nie zrozumieć, jak
mi tak dokumentnie słowo po słowie powtó-
rzył. Więc powiadam:

— Tak?

A Tomasz na to:

— Mieszkanie mam już najęte i zaraz po pierwszym rzeczy przewiozę.

— Cóż to — mówię — żenisz się chyba, że ci osobne mieszkanie potrzebne?

On się na to uśmiechnął pod tym swoim małym wąsikiem.

— A kto wie, ciociu, kto wie... może się i ożeni. Ale to jeszcze nie tak zaraz.

Dopiero mi przez głowę przemknęło... Jezus Maryja... pewnie się Tomek ożeni z tą... A Teofil może nic nie wie!

Aż się w język ugryzłam, żeby Tomkowi od razu w oczy nie rąbnąć, że wiem, i co ja o tym wszystkim myślę.

Jak tylko Tomasz wyszedł, zastukałam do Teofila. Zdziwiony był i zły, bom mu drzemkę poobiednią przerwała, ale nie widziałam innej rady, tylko Teofilowi od razu oczy otworzyć. Ojciec przecież.

Mówię mu, co słyszałam od Tomka a Teofil na to krótko:

— Wiem.

Wtedy wytrzymać nie mogłam. Opowiedziałam mu wszystko, co Tomek wyprawia, że po nocach w domu nie bywa, że się z podejrzaną dziewczyną zadaje, opowiedziałam o szarych pończochach, o perfumach Tomka, o tym „tykaniu”, co na własne uszy usłyszałam wtedy przed bramą. Wszystko.

Teofil zbył mię krótko:

— Co do mieszkania, to już między nami oddawna ułożone. Tomkowi z pozycji i z interesów wypada, aby mieszkał osobno. A co do innych spraw, które Justysia peruszyła, to już Tomasza sprawa, żeby się z tego wykarskał. Zresztą ja z nim jeszcze pomówię.

Tyle wskórałam. Do wieczora chodziłam, jak struta i wyczekiwałam Tomka. Chciałam się z nim rozmówić szczerze, serdecznie, że przecież i tego mieszkania szkoda, co Teofil donajął i że na kawalerskiej gospodarce nikt mu zanadto nie dogodzi, a Tomek przyzwyczajony, żeby skakać koło niego. Może jakiego ubrania nie włożyć tydzień, albo na obiad spóźnić się godzinę — głupstwo. Ale niech raz ubranie będzie nie wyczyszczone, albo się z obiadem Walerka pięć minut spóźni, zaraz awantura, narzekanie, że w tym domu nikt czasu szanować nie potrafi.

Do wieczora czekałam na Tomka, ale nie przyszedł wcale. I teraz jeszcze go nie ma, choć już chyba po północy. Pewnie znowu zasiedział się ze swoją biuralistką. Skaranie Boskie, jak kobieta na mężczyznę parol zagnie. Jestem pewna, że ona sobie parol oddawna zagięła na Tomka i tylko czeka stosownej pory, żeby swoje przeprowadzić.

30 sierpnia.

Mój Boże, dawno nie miałam tylu przykrości, co wczoraj. Przede wszystkim — przyje-

chała Adelcia ze wsi i od razu wsiadła na mnie, że się kwiaty w salonie pomarnowały.

— Tak prosiłam, żeby ciocia dopilnowała chociaż tego fikusa! Co wyście z nim wyrabiali, że tak zmarniał?

Rzeczywiście fikus zmarniał, ale to na pewno nie przez brak dozoru, tylko przez ten remont w mieszkaniu. Jeszcze dziś w salonie czuć terpentynę, jakieś kleje, farby, Bóg wie co. Człowiekby zmarniał w takim powietrzu, cóż dopiero kwiat.

To był początek dnia, bo Adelka przyjechała rano, potem się Teofil ze Stasiem przy obiedzie pozarli o politykę i to tak, że myślałam — talerze zaczął fruwać. Adelcia ich godziła, a Marek męki cierpiał, widziałam. Czasem to już tę politykę ja sama klnę od ostatnich słów, bo tylko w porządnym domu męt wprowadza.

Po obiedzie porozchodzili się wszyscy skwaszeni, a ja siadłam sobie przy oknie i myślałam: wypocznę trochę.

Aż tu przychodzi Tomek. Na obiad pięć kwadransów się spóźnił, a od wczoraj wcale go nie widziałam. Wchodzi Tomek i od razu na mnie:

— Miła jest ciocia! Nie ma co! Już ja cioci tego nie zapomnę!

Od razu mię w sercu zakłuło. Myślałam sobie wczoraj cały wieczór, jak to ja z Tomkiem porozmawiam, jak mu, jeśli nie do rozsądku, to do serca przemówię... Ułożyłam sobie wszystko

i tylko modliłam się, żeby Pan Bóg wysłuchał mojej prośby i Tomka opamiętał. I teraz czekałam, aż Tomek wróci, żeby się z nim rozmówić serdecznie, a tu taki początek!

— Czego mi nie zapomnisz, Tomeczku? — pytam.

— A tych plotek, co ciocia narobiła. Czemu się ciocia w nieswoje sprawy wtrąca, prosił kto ciocię?

Zmiarkowałam odrazu, że Teofil z Tomkiem musiał mieć rozmowę w kantorze.

— Nie gniewaj się na mnie, Tomeczku — powiadam — posłuchaj mnie... Może i źle zrobiłam, że Teofilowi wczoraj... Ale ja już sama nie wiem, jak postępować, żebyś ty się opamiętał, Tomku.

Dopiero się Tomasz zachnął:

— Co opamiętał? Z czego opamiętał? Czy ciocia źle ma w głowie? (Dosłownie tak powiedział!) Niech ciocia raz się odczepi od nieswoich spraw, ja bardzo ciocię o to proszę... Ciocia się na tym wszystkim akurat tyle zna, co kura na pieprzu...

Biegał po pokoju jak fryga i raz po raz dorzucał:

— Przez cioci gadanie ja mam teraz nieprzyjemności, bo musiałem ojcu tłumaczyć, przekonywać go... Skąd ciocia wzięła tyle plotek... Z palca ciocia wyssała?

— Tomeczku, nie rzucaj się tak... jak widziałam... ja słyszałam na własne uszy...

— O! właśnie! słyszała ciocia że dzwonią, tylko niewiedomo w którym kościele!

Mój Boże... rozplakałam się, jak chyba nigdy w życiu. Już to ludzie bywają na ogół niesprawiedliwi, ale nic tak nie boli, jak niesprawiedliwość najbliższych, ukochanych istot. Tomek powinien był przecież wiedzieć, że to z dobrego serca troskam się o niego, a nie przez nieżyczliwość... A on tak od razu napadł na mnie i tyle niemiłych rzeczy mi nagadał..

Dopiero, jak Tomek zobaczył, że płaczę, serce w nim zmiękło.

— Z ciocią — mówi — to do ładu dojść nie można. Sama ciocia nawarzyła tego piwa, a teraz w płacz. Et, z babami, to zawsze jedno...

Mruczał jeszcze, ale się już uspokajał. Widziałam, że gniew na mnie przeminął, więc zebrałam się na odwagę, otarłam oczy i mówię:

— Mój Tomeczku... mój złoty.. Zrób ty jedno dla swojej starej ciotki... Przynajmniej, póki ja żyję... i Teofil... nie żęń się z tą..

— Z kim?

— Z tą... z tą panną, co mieszka na Żurawiej. Mój Tomku, zobaczysz, że nie pożałujesz, przekonasz się kiedyś sam, kto ci dobrze życzył..

Tomek patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, a w tych oczach wszystkie uczucia odbijały się, jak na wodzie. Widziałam dobrze. Najpierw mignęło zdziwienie, potem jak-

by przestraszył, potem znowu jakby ogromne zdziwienie, a wreszcie niepomierna wesołość...

Chwilę mu się oczy śmiały same, aż dopiero wybuchnął wesoło!

— Ha ha! Słowo daję, pyszna ciocia! A jak ciocia wszystko wypatrzyła, wykombinowała! Ha ha! Bo się pod ziemię zapadnę ze śmiechu! To ciocia tak ze strachu, że Tomeczek głupstwo palnie, poleciała do ojca? Pyszne, słowo daję!

Pocałował mię w jedną rękę, w drugą i w oba policzki.

— Paradna jest ciocia, słowo daję, paradna... No no, niech się ciocia nie boi! Ja nie mam pięciu latek i krótkiej sukienki.. A... a., tamto, tamto, co ciocia wysledziła, to jest głupstewko... Ha ha! strach ciocię obleciał, że ja się z *demimondką* ożenię i dyshonor na rodzinę sprowadzę... No no, nie ma głupich! Jeszcze Tomeczek główkę na karku ma, jak ojciec powiada...

Niby się ta nasza rozmowa zakończyła serdecznie, bo i Tomek mię uściskał i tamte moje obawy zniknęły — a przecież na sercu mi ciężko, bodaj, czy nie ciężiej, niż przedtem.

Całą historię z tą panną to wcale nie ja wysledziłam, mogłabym przy skonaniu przyznać, że nie ja. Wcale nawet zamiaru nie miałam dowiadywać się, kto to taki, ani gdzie mieszka. Ot, przypadek zdarzył, że mi te szczegóły same w ręce wpadły...

Nawet myśli tym zaprzętać nie chciałam i nie zapisałam w dzienniczku. Myślałam sobie: — Może ja się mylę, a może to wszystko samo się rozpełźnie, poco gwałt robić i niepokoić się.

Ta znajoma Tomka nazywa się Janina Łuczakówna i ona naprawdę pracowała w biurze jako maszynistka, dopóki nie poznała się z jednym takim, który ją na złe drogi wprowadził. Tomek ją dopiero przed rokiem poznał, właśnie u swego kolegi, na którego utrzymaniu była ta Janinka...

Że mi takie historie przez usta przechodzą...

Wszystkiego tego dowiedziałam się przypadkiem, a to było tak: Chodziłam na Żurawią oddawać kolnierzyki Adelci do rurkowania, bo to musi być drobnutko i równo, w domu się zrobić nie da. Nie pamiętam już, kto mi poradził tę Łuczakową, że tanio i starannie wykończy robotę.

Byłam u niej raz i drugi, tośmy się nieco zaprzyjaźniły i zgadzało się o tym i owym.

Ta Łuczakowa miała bardzo ciężkie życie, co się nawet na jej wyglądzie odbiło, bo choć pewnie o kilka lat młodsza ode mnie, siwa zupełnie, a oczy ma wybladłe w zaczerwienionych powiekach, pewnie od łez, co je przez tę swoją córuchnę wylała...

Ta Łuczakowa bardzo porządna kobieta, a nawet pewnie kiedyś lepiej się miała, bo to od razu widać, choćby po meblach. Nie dużo

tam tego, pewnie się wyprzedzała po trochu, ale widziałam fotelik, zielonym pluszem obity i kilka obrazków w ładnych ramkach. Opowiadała mi, że mąż ją wcześniej odumareł i została sama z małą córeczką, z tą Janinką właśnie.

Musiała się kobieta dobrze nabarować, żeby córce takie dać wykształcenie... Bo ta Janinka i sześć klas skończyła i kursa na maszynie, że jej zaraz posadę dali w biurze, nawet nieźle płatną.

— Myślałam — powiada Łuczakowa — że choć na stare lata odpocznę sobie, pociechy z córki zaznam, a tu nieszczęście takie...

Jak to mówiła do mnie, to jej łzy puściły się z oczu i płynęły wolniutko głębokimi bruzdami po policzkach. Wyżłobiły sobie drogę od dawna, bo Janinka od dwóch lat w domu nie mieszka i takie życie prowadzi, że zgroza bierze...

Musiała to być nawet niezła dziewczyna, tylko, ot, zawrócił jej w głowie jakiś nic dobrego, na złą drogę namówił i tyle...

— Nie mogła to jej pani lepiej pilnować? — powiadam do Łuczakowej.

Swoje smutne, zaczerwienione oczy podniosła na mnie z zadziwieniem:

— Jakże ja ją pilnować mogłam? Rano sama do biura, po południu sama z biura. Ledwie obiad przelknęła, już jej w domu nie było znowu. A to z wizytą do koleżanki, a to do kina, a to do teatru... Nawet jej mówić nie

miałam serca, żeby w domu posiedziała. Jakże? napracowała się, nabębniła na tej klekoczącej maszynie,—to potem na moje żelazko patrzeć miała, jak prasuję? Młody tak nie wytrzyma! A już Janinka to specjalnie lubiła zabawę, ładną sukienkę, dobry obiad... Chodziłyśmy dawniej razem w niedzielę do kościoła, to moja Janinka później do mnie w domu: Pamięta mama, jaki ta pani, co we drzwiach stała, miała pęk piór na kapeluszu? Wszystko zauważyła, zapamiętała sobie: suknię, buciki... Kiedyś jej kołnierz jakiś skunksowy chyba przez tydzień spokoju nie dawał.

— Gdybym to ja, mamu, taki kołnierz miała... Mnieby w nim było lepiej do twarzy, niż tamtej pani, bo ja mam jasne włosy, to ładnie odbija od futra...

Czasem coś jej się zrobiło, że przesiedziała w domu całe popołudnie. Ja się krzątałam po pokoju przy swojej robocie, a ona siedzi na niskim stołeczku, rękami kolana obejmie i tak kołysząc się na boki, głośno sobie rozmysla:

— Żebym była bogata, nosiłabym zawsze jedwabne suknie, a pantofle z zamszu.. Muszę wyjść za jakiego bankiera... on mię będzie strasznie kochał i brylanty znosił... Miałabym cały naszyjnik z brylantów i perły... Mamu, co mamaby wołała—brylanty czy perły?

— Nie zawracałabyś sobie i mnie głowy po próżnicy, Janinko...

To ona zaraz zmarszczyła brwi, twarz jej się skurczyła, wykrzywiła jakimś grymasem...

— Pewnie... — powiada — pewnie!

Opowiadała mi potem pani Łuczakowa, jak to było z tym jegomościem, który Janinkę zbalamucił.

— Już od jakiegoś czasu Janinka wpadała do domu jak po ogień. Czasem wracała późno, ale zawsze przed zamknięciem bramy. Aż tu kiedyś czekam... czekam.. Dwunasta bije... Co ja w tej godzinie przeżyłam... Chrystusa na krzyżu łotry przybili, ale niejedną matkę ukrzyżują własne dzieci... Pani Bóg dziećmi nie obdarzył, to pani wiedzieć nie może, ile matka nieraz przeżyć musi, naciерpieć się... Nie położyłam się spać, nie rozebrałam się, tylko czekałam. Aż tu, było już dobrze koło pierwszej w nocy, ktoś do bramy dzwoni. Od razu mię tknęło, że to Janinka... Mój Jezus! jak weszła wtedy, to nie wiedziałam, co mówić mam do niej... Rozebrała się z palta i przeszła zataczając się przez pokój...

— Przepraszam — powiada do mnie — że mama czekała... Zasiadziałam się w towarzystwie... Ani spostrzegłam, że tak późno.

Za każdym słowem wiało od niej alkoholem... winem, wódką, czy ja wiem, jakim tam trunkiem?

Wtedy się pierwszy raz zebrałam na odwagę i krzyknęłam na nią:

— Gdzieś była?

A Janinka patrzy na mnie błyszczącymi oczami i spokojnie mówi:

— Na zebraniu koleżeńskim byłam, cóż mamie znowu?

O, nic mi nie było, nic. Tylko już wtedy oczy mi się otworzyły, że ona tak gładko kłamać potrafi.

8 września.

Nie mogłam dokończyć, co wtedy pani Łuczakowa naopowiadała. Nafta mi się w lampie wypaliła, a w domu nie było już ani kropki. Nawet może i dobrze się stało, bo teraz strasznie po nocach siedzę nad tym dziennikiem, a potem chodzę roztargniona. W tym tygodniu skończą elektryczność w całym mieszkaniu zakładać, nie będę miała kramu z naftą.

Tak się już przyzwyczaiłam do tej pisaniny, że jak parę dni minie, to mi zupełnie nieswojo. Ot, przywykłam, że jak się wszyscy spać położyć, to ja sobie gadu-gadu sama ze sobą.

Czasem nie rozumiem, poco ja to wszystko zapisuję. Naprzykład o tej Janince Łuczak. Jest taka — niech sobie będzie! Zadaje się z Tomkiem... a niech tam! Mnie nic do tego. Już mi nieraz Tomek, Staś, Adelcia, ba! nawet Marek, dali do zrozumienia, że mają własny rozum i wedle swojej woli sobą rządzą...

Coraz mniej mam śmiałości nawet uwagi im robić. Zaraz się które obrazi, oburknie...

Jak byli mali, ho, ho! Nieraz do kąta po-

trafiłam postawić, a Tomek nawet dostawał klapsy, aż miło, bo zawsze w kredensie lasował.

Wieczorem, jak dzieci marudziły, zaganiałam do łóżka, a oni, zwłaszcza Tomek i Adelcia, napraszali się:

— Ciociu! jeszcze minutkę! tylko do kropki doczytam, moja ciociu, naprawdę, tylko do kropki.

Do tej kropki bywało nieraz bardzo daleko, czasem i kilka stron, więc musiałam lampę zdmuchiwać, a wtedy wołali jedno przez drugie:

— O, jaka ciocia niedobra! o, ciocia jest niegodziwa!

Ale koniec z końcem szli spać, wyspali się aż miło i byli zdrowi i weseli.

Teraz Adelcia wieczorami w łóżku często czyta, a jak jej wspomnę, że już późno, powiada:

— Niech się ciocia do ściany obróci.

I przysłania lampę gazetą.

Albo coś napomyka, że już niedługo, bo wkrótce będzie miała osobny pokój, to ani ona nikomu, ani jej nikt nie przeszkodzi...

Tak mi się te kochane dzieciaki z rąk wymknęły, sama nie wiem, kiedy...

Dziesięć dni nie pisałam, choć czasu znalazłabym trochę. A to wszystko przez tego Stasia. Zawstydził mnie i tyle. Siedziałam właśnie nad tym dzienniczkiem, wtem otwierają się drzwi od pokoju chłopców. Stasia zabólął, poszedł do łazienki po jodynę. Bardzo się zdziwił, jak mnie siedzącą w jadalni zoba-

czył, ale nic. Dopiero nazajutrz przy śniadaniu powiada do Adelci:

— Nie wiesz, co ciocia Juścia wieczorami robi, że tak po nocy wysiaduje?

A Adelcia na to z chytrą miną:

— Pss! nie wiesz? Ciocia Juścia powieść pisze.

I śmieje się. Nieznośna ta Adelcia, we wszystko wglądnie. Teraz już dzienniczek na cztery spusty zamykam; gotowa kiedy podpatrzyć, a nie daj Boże, coś przeczytać — dopiero byłby śmiech i naigrawanie!

A ja naprawdę powieść chyba piszę. O tych moich dzieciakach i o sobie. Tacy ludzie, co książki piszą, pewnieby to zrobili lepiej i mądrzej — ale przecież to, co ja piszę, to dla samej siebie, a dla mnie wystarcza. Jak ten kajet czasem przerzucam kartka po kartce, to mi wszystko w oczach staje zupełnie, jakgdybym drugi raz przeżyła szmat swego życia.

Czasem ciekawość mię zbiera: długo tego jeszcze? Może do końca wszystkie kartki zapiszę, a może to, com dziś zapisała, jest ostatnie... Bo nie wiesz dnia, ani godziny.

Ludzie przez to najczęściej grzeszą, że za mało pamiętają o śmierci. Pewnieby złodziej nie ukradł, gdyby mu przez myśl przemknęło, że jutro będzie zamknięty w więzieniu, albo że go tramwaj przejedzie...

Tak to jest.

Muszę jednak dokończyć tego opowiadania

o Łuczakowej, bo co jak co, ale cała ta historia jest zupełnie, jak z powieści.

Słucham wszystkiego, ot, zwyczajnie, jak się słucha o każdej ludzkiej biedzie... Ani mi wówczas przez myśl nie przemknęło, że Janinka to ta sama panna, którą z Tomkiem pod rękę wtedy przed bramą widziałam, a i potem na spacerze kilka razy.

Ot, wszystko to był traf. Wtedy, jak Adelcia z Markiem do doktora przyjechała, poszłam zaraz po południu z Adelciną sukienką do Łuczakowej. Zastałam ją z żelazkiem — ją zresztą nie łatwo inaczej zastać. Zamęcza się pracą, a to wszystko dlatego, że grosza od córki nie przyjmie.

— Ja tych pieniędzy nie chcę — powiedziała kiedyś do mnie — choć wiem, że mi Janinka z serca ofiaruje... Niedawno zobaczyła, że mam dziurawe trzewiki, a tu jesień za pasem, więc w prośby do mnie... Bo ona, chociaż mieszka teraz osobno, nieraz do mnie zabiegnie... Niektórych to nawet dziwi, że nie zerwałam z nią, ale czy ja mogę? Córka przecież, jedynaczka, a do tego wiem, że dobre ma serce... Ot, po prostu, nieszczęście i już... A może i moja wina, że jej wychować w bojaźni Bożej nie potrafiła... Janinki nie winię, ale tego draba, co jej w głowie zawrócił, tobym na miejscu utrupiła. Przez niego Janinka w poniewierkę zeszła, przez to, że zamiast się z nią uczciwie ożenić, porzucił ją...

Kaczęta.

Pani Łuczakowa dużo mówić lubi. I wtedy, jak przyszedłam, nim jeszcze wyluszczyłam, co z tą sukienką i że pilna—powiada do mnie:

— Wie pani, Janinka ma starającego... Ona teraz zupełnie zmieniła życie—do kawiarni, do teatru rzadko chodzi, a jak pójdzie, to już tylko z nim. Bardzo przystojny młody człowiek. Janinka nie chciała mi jeszcze nazwiska powiedzieć. Mówi, że dopiero jak się upewni, że on ją naprawdę kocha, to wtedy... Pokocha ją, musi on ją pokochać, bo Janinka nie żadna pospolita dziewczyna! Jaką ona ma inteligencję! Jak dużo czyta! Na pensji wszystkie koleżanki zawsze jej zazdrościły stopni!

Rozgadała się pani Łuczakowa, ale ona tak zawsze, jak o tej swojej córeczce zaczęła mówić. Matka, to zaślepiona: nie dziwo. Ja słucham, jak o żelaznym wilku, aż tu moja Łuczakowa do okna i w krzyk.

— Proszę pani, prędko, prędko!

Podchodzę, a ona woła:

— Widzi pani, ta, co idzie przez podwórze! To moja córka! To Janinka...

Twarzy nie widziałam, ale poznałam po nogach, po tych wysokich szczupłych nogach. Pannie święty! więc to ona! więc Tomek z nią...

Jak mi nie zaczęła świszczuć w uszach wszystko co Łuczakowa mówiła... I to, że Janinka ma konkurenta... Juści, ten konkurent, to widać Tomek... juści...

A Łuczakowa nic, tylko w okno patrzy i cały czas trajkuje:

— Jaka ona szykowna! Może nie? Jak chodzi zgrabnie, o wie pani, ona tak chodzi, jakby ledwie, ledwie dotykała ziemi... Żelówek prawie nie zdziera! Wierzch zniszczony od wilgoci, od kurzu, a żelówka cała... Janinka moja! Pewnie teraz do krawcowej idzie, na pierwsze piętro. Śliczny sobie kostium zamówiła, widziałam próbkę. Materiał jesienny, ale jasny, jasny popielaty...

„Kostium” — myślę — „jesienny!... A wszystko za Tomkowe pieniądze... Oj, gdybyś ty widziała, moja pani Łuczakowa, co ja wiem”...

Ale nie powiedziałam jej ani słowa. Po co? Żeby Tomek skompromitować! Ma jeszcze takt ta Janinka, że po Nowym Świecie o swoim „konkurencie” nie trąbi...

Ładny konkurent! Gdyby wiedziała, co Tomek trzyma o niej i o całej tej miłości! Rany Boskie! Co to za świat, co to za świat przewrotny...

I tej dziewczyny mi żal, bo że się z nią Tomek nie ożeni, to więcej niż pewne. Ale dobrze jej tak. Po co bałamuci chłopaka i jeszcze swojego Tomka!

Od Łuczakowej zabrałam się wtedy raz dwa — piąte przez dziesiąte napomknawszy o sukience. Źle zrobiłam, bo ukarbowiła za płasko, a Adelcia dwa razy powtarzała, żeby było drobniauchno i gęsto. Po sukienkę Waler-

kę posłałam, niby że sama jestem zajęta. Nie chcę tam chodzić, nie chcę o tej Janince słuchać...

Przy tym, prawdę powiedziawszy, to mi trochę jakby wstyd.

15 września.

Marek już zaczął chodzić do szkoły od ósmego, a Tomasz wyprowadził się dziesiątego. Na obiady do domu przychodzi i po dawnemu się spóźnia.

Jak przyjdzie, to zaraz od progu woła:

— Jeść, ciociu!

Niechby wtedy nie było w mig podane, miałybyśmy się z pyszna, ja i Walerka.

Mówiłam Tomaszowi ze trzy razy: „obiad jest punkt o trzeciej, mógłbyś pamiętać i pory się pilnować”.

— Ja swoich interesów muszę przede wszystkim pilnować, moja ciociu — odpowiada mi zawsze.

Ciekawam, co to za interesy, że czasem Tomek wpadnie o trzy na czwartą, a o czwartej już chwyta za kapelusz i biegnie.

— Do kantoru? — pyta Teofil.

— Na kolej! Furda kantor, kantem go puszcze niedługo, zobaczy ojciec.

Teofil śmieje się i mówi:

— Nie leć tak ekstracugiem, nie bądź taki pewny, bo ci się noga podwinie.

— Co mi się noga ma podwinąć! Sam ojciec

wie, że interes brylantowy! Brylant nie papier na giełdzie wartości nie straci!

Był tu kiedyś Radkiewicz, Tomka szef. Do Teofila przyszedł z interesem. Teofil jeszcze nie wrócił, więc Radkiewicz chwilę ze mną gadu-gadu, naturalnie o Tomku.

— Jabył go dawno z kantoru fiut! — powiada — ale to zdolny chłopak i obrotna sztuka! Jak z robotą zwlecze, to ją potem raz, dwa odrobi. Póki moja firma nie cierpi na tym, niech sobie ubija na boku własne interesy.

Staś się coraz częściej o Tomku pogardliwie wyraża.

— Dorobkiewicz, burżuj — powiada o nim — paskarz!

— Skądże znowu paskarz? Paskarze, to z ludzi krew ssą jak pijawki i drożyznę umyślnie podnoszą, żeby więcej zarobić. A Tomek nawet sklepu nie ma, więc skąd znowu paskarz? — tłumaczę Stasiowi.

— Eee... ciocia się tam dużo pozna, kto paskarz. A ja cioci mówię, że Tomek paskarz i solidny paskarz, bawełniany.

Nic nie rozumiem. Niby, że bawełną paskuje? Prawda, sprowadzili te skrzynie; cztery jeszcze stoją w Teofila pokoju. Ale te skrzynie to przecież Tomek w Łodzi kupił kilka miesięcy temu na Teofila rachunek, a Teofil gotówką zapłacił, sama słyszałam od niego.

Zresztą — wszystko to nie moja sprawa. Nieuczciwego w tym nic nie ma, za tobym gło-

wę dała, bo przecież Teofil zawsze sumiennie swój sklep prowadził i zaufanie miał u ludzi.

Była znowu z Markiem mała awanturka o szkołę. Przed samym rozpoczęciem lekcji w przeszłą sobotę Marek nagle do Teofila w prośby:

— Tatusiu! Jabym nie szedł do szkoły! Niech mię tatuś do akademii zapisze, na rysunki, mój tatusiu! Ja się w szkole nic nie nauczę, bo ja tej matematyki nie cierpię i łaciny także!

Naturalnie, że go Teofil ofuknął — i słusznie, ale nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby Marek tak o co prosił. On świata nie widzi poza rysunkami, ciągle nad papierem siedzi. Teraz widoki z naszych okien maluje — same dachy! Także ma ciekawość do tego. Innyby ani spojrział, a Marek już z trzech okien namalował, ode mnie z saloniku i z jadalni.

Kiedys już zmierzch był, mówię mu:

— Zostaw to do jutra, oczy zepsujesz.

A Marek:

— Ciocia nie widzi, jakie to śliczne? Jak się te dymy różowe snują nisko i giną w ciemnych zaułkach? A tamto okienko oświetlone wygląda zupełnie, jak gdyby kto mrugał wesołym okiem...

Wtedy to nie na dymy patrzyłam, tylko na niego. Twarz miał zupełnie przezroczystą i różową od tego zachodu, a w oczach tyle zachwyty i powagi. Zawsze mi Antolka w pamięć

ci staje, gdy tylko Marek tak przed siebie patrzy z zachwytem, ale jakoś smutno.

Już on jest taki, że jak mu się coś bardzo podoba, to się nigdy nie uśmiechnie...

21 września.

Znowu z rzadka tylko do pisania zasiadam, ale czasu mi brak, przy tym zmęczona jestem. Od trzech dni deszcze się rozpadały, a ja je dobrze we wszystkich kościach czułam jeszcze przedtem.

Punktualnie od czterech lat ten reumatyzm na jesieni mi się odnawia i męczy.

Niby w domu wszystko tak samo, a jest właściwie zupełnie inaczej. Stasia po całych dniach nie ma, Tomka także, Marek, kiedy ze szkoły wróci, to też jakby go nie było...

Adelcia do koleżanek lata, jak się z nowym mieszkaniem uwinęła. Teraz wszystko uporządkowane, pierwszego października ma być u nas „wielki raut inauguracyjny”, jak powiada Adelcia.

Więc tak. Mamy dwa salony, bibliotekę, jadalnię... W tym nowym salonie mebelki na cienkich nóżkach, złoczone, a kruchel... Człowiek usiąść się boi, bo zaraz coś trzaśnie. Pokryte są atlaskiem w pasy kremowe i zielone. Jedno przeforsowałam, żeby chociaż sprawili pokrowce, ale czuję, że jak pokrowce do prania pójdą, to jednej chwili spokojnej nie będę miała. Niech Walerka, co się może zdarzyć,

beze mnie kiedy tam posprząta, to już z pewnością będzie jakaś szkoda. Walerka ma specjalny dar, że nawet tam stłuc coś potrafi, gdzie nic do stłuczenia nie stoi. A w salonie stoją dwa wazony na podstawkach z drzewa, cienkich jak grochowe tyczki. U sufitu wisi żyrandol na dwadzieścia świec, na końcu każdej świecy zrobionej ze szkła jest lampka elektryczna.

A co tam gracików! A co drobiazgów wszędzie porozkładane! We drzwiach portiery do ziemi, na stole ciężka serweta pluszowa, haftowana, bordo ze złotem. Adelcia poukładała na niej książki i albumy, co tylko było w domu oprawne i nie zniszczone. Kilka ogromnych książek kupiła, coś trzy francuskie, a jedną po angielsku z ilustracjami. Poco to, kiedy nikt u nas w domu po angielsku nie rozumie?

Adelcia wprawdzie zapowiada, że się zacznie angielskiego uczyć tej zimy. I śpiewu także. Już jej Teofil obiecał, a płacić będzie za te lekcje ze trzystu marek miesięcznie.

Dziwią się potem, że ja na to wszystko trochę krzywym okiem patrzę. Co prawda, to i prawda. Nie lubię, jak się pieniądze za okno wyrzuca, a cała ta nauka, zwłaszcza śpiew, to, według mnie, wyrzucanie pieniędzy i tyle.

— Ciocia jest zupełnie zacofana! Ciocia ma jakieś średniowieczne poglądy! Ciocia by każdą kobietę posadziła z igłą, przy robótce... Ciocia nie rozumie ducha czasu i że teraz kobiety

mają pole otwarte do pracy nad kształceniem swoich umiłowań! — wyrzeka na mnie Adelka.

Może i jestem zacofana. Chciałam wprawdzie Adelce pokazać śliczne pole pracy nad stosem dziurawych pończoch, które leżą w jej szafie, ale się w język ugryzłam i dobrze zrobiłam, bo Adelcia nie znosi, jak jej o takich drobiazgach przypominać. Woli rano, po wstaniu, „na gorąco” cerować dziury. Zawsze się wtedy śpieszy i byle jak je ześciubia, aż na to patrzeć nie mogę i naprawiam cichaczem, choć ja sama z bielizną chłopców mam chyba dosyć kłopotu.

Oj, ta Adelcia!

Każde przypomnienie o powszednim obowiązkowi zaraz ją nudzi i złości.

Nieraz starałam się wpłynąć na nią, żeby chociaż najprostsze rzeczy wykonywała w gospodarstwie... Nauczyłam ją szyc i trochę gotować, bo jakże kobiecie bez tego? Trzeba było widzieć, jak ona się wykrzywiła, jakie miny pokazywała mnie, albo kucharce.

— Nie znoszę kuchni, nie znoszę! Nigdy jak tylko dorosnę, nie wezmę igły do ręki, zobacz ciocia.

Tak mówiła dawniej, a ja jej na to:

— To ciekawam, jak zrobisz, jak ci własny dom przyjdzie prowadzić?

— Będę miała dużo służby. Ja się niczego nie dotknę, oni wszystko sami zrobią...

— A skąd wiesz, że będziesz miała służbę na zawołanie, moja Adelko?

— Bo ja tylko bogato zamąż wyjdę—odpowiadała zawsze, i to się w niej chyba nic a nic nie odmieniło.

Mnie się zdaje, że Adelcia dużo w siebie wmawia i jestem przekonana, że gdy tylko założy własne ognisko, będzie z niej wcale dobra żona i matka. Obecnie dziewczęta bardzo często wygłaszają pogardliwe zdania o gospodarstwie domowym, jakby to było poniżenie potrafić smacznie coś ugotować czy upiec.

Dlatego się trochę cieszę z tych gości u nas, że się Adelcia z robotą koło domu otrząska. Ja już zapowiedziałam, że sama rady nie dam i jeżeli ma być „wystąpe” jak powiada Staś, to musi Adelcia swoich rączek nie żałować.

27 września.

Piekę ciasta, a jednocześnie sobie ten dzienniczek przyniosłam do kuchni; bab i placków doglądam i piszę.

Zupełnie u nas przed tym przyjęciem, jak przed Wielkanocą. Musiałam na Adelki prosićby ciastek kruchych napiec dwie tace, a teraz znowu te baby.

Mąki wyszło od razu z pół puda. Nie byłabym pozwoliła na to, ale mi Teofil obiecał, że dwa worki pszennej krupczatki z Kopytowa przysła, więc niech tam.

Adelcia rozgorączkowana o niczym innym

myśleć nie może, jak o tym naszym fiksie, ale ja to widzę i wszystko inne, co się dzieje wokół.

Staś się na politechnikę już zapisał i chodzi w czapce studenckiej. Też wymyślili nakrycie głowy! *Idzie taki student z głową zadartą, a za nim jakaś brązowa mycka o pół mili się wlecze.* Jeszcze to każdy umyślnie wyciąga jak najdalej, żeby powietrza naszło jak w balon.

Staś ze swojej czapki i ze studentostwa dumny strasznie, ale udaje że nic. Jak przyszedł w tej czapce do domu, chwaliłam bardzo, choć z przymusem, że ładna, że mu w niej do twarzy. (W czym by zresztą Stasiowi nie było do twarzy?) a on głową potrząsa i mówi:

— To nie to, co legionowa!

Jeszcze mu to wojsko w głowie. A ja wiem, jestem pewna, że mu ani na chwilę nie wywie-trzało i że ta cisza jest tylko pozorna. Niech się Teofil cieszy, że Staś się ustatkował. Już ja wiem, co o tym myśleć. Albo to nie widzę tych ciągłych konszachtów z kolegami? Naschodzi się tego — i do późnej nocy radzą, a wszystko nad oswobodzeniem Polski. Daj Boże... Ale nie daj także Boże nieszczęścia! Już się tu jakiś Niemiec przewiadywał, a jakże, o Stasia. Tylko że na mnie akurat natrafił, a ja mu najgrzeczniej odpowiadam, że Staś w politechnice, a jak ma wolny czas, to w bilard grywa z kolegami.

— Ja, ja, so... szon gut!—powiedział mi ten

szwab na pożegnanie i coś jeszcze zaszwargotał, z czego tylko zrozumiałam, żeby się Staś w „kajne politiken” nie wdawał, bo może być „ganc szlecht”...

Myślałam czy mu mówić o tej wizycie? A nuż się Staś rozzłości, że się w nieswoje sprawy mieszam...

A jeżeli ten Niemiec przysłany tu został z rozkazu jakichś wyższych władz? A jeżeli oni o Stasiu co wiedzą... To może lepiej go i ostrzec?

Ech, powiem mu dziś, niech się nawet i rozzłości...

W tę Polskę, to i ja już teraz zupełnie mocno wierzę, a Staś mówi, że już bardzo, bardzo niedługie panowanie niemieckie na polskiej ziemi. Twarz ma przy tym taką rozpromienioną, że mu jej nawet Teofila drwiąca mina nie zasępi...

Francuzi wygrywają, Anglicy wygrywają... W gazetach już zupełnie jawnie na Niemców takie rzeczy piszą u nas, za któreby dawniej redaktorowie kozę odsiadawali.

W niedzielę, czy jak święto jakie wypadnie tłum się zbiera i ulicami chodzi. Zawsze z kościoła wychodząc, nim się przez ciżbę ludzką przedostanę, słyszę, jak krzyczą: Niech żyje wojsko polskie! niech żyje Polska! precz z okupacją!

Niemcy w oknach siedzą, patrzą na gawiedź,

a niektórzy śmieją się i różne rzeczy dogadują ale po swojemu, więc nie rozumiem.

Ej, pewnie im tego śmiechu nie długo! Kto wie, czy oni tacy silni i niezwycześni, jak to Teofil zwykł powtarzać. Teraz i Teofil cicho siedzi, a Staś triumfuje. Daj Boże, żeby się te przepowiednie Stasia sprawdziły... Daj Boże, żebyśmy odzyskali niepodległość! Już to Antolka ani spodziewała się pewnie, że jej dzieci i ja takich czasów doczekamy, kiedy o Polsce od morza do morza znów mówić będą na wiecach, publicznie...

Jeszcze to wszystko może być — Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy...

Muszę do mojego ciasta zajrzeć, już Walerka wstawiła do pieca, a ona zajęta obiadem, gotowa nie dopilnować i baby mi się przypala.

3 października.

Jeszcze domu do porządku doprowadzić nie mogę po tych gościach. Naschodziło się, bo naschodziło. Ani wiedziałam, że Adelfia tylu ma znajomych... A jakie to wszystko postrojone, a jak po francusku parluje! Przyszłam i ja do salonu, tylko się w popielatą suknię przebrałam, bo Adelfia od rana molestowała mnie, żebym godnie wystąpiła.

— Moja ciociu złota! — mówiła mi Adelfia, a takim słodkim głosem i z taką minką, że z podziwu wyjść nie mogłam. — Już niech ciociu odżałuje fatygi i tę swoją jedwabną suknię

z kufra wyjmie! Ja cioci sama koronki do niej przyszyję, te kremowe, po mamie. Niech ciocia pamięta, jak się goście zejdą, żeby ciocia w salonie wszystkich witała i każdemu powiedziała co miłego! Już ja ciocię jeszcze więcej kochać będę, tylko niech ciocia się postara, żeby zrobić dobre wrażenie na gościach, moja ciociu!

Chciałam jej odpalić, że mi o tych gości tyle co o zeszłoroczny śnieg chodzi, co o mnie pomyślą, ale ugryzłam się w język. Adelcia to umie się przymilić! Dlatego jej Teofil nigdy niczego nie odmówi, a chłopcy przed nią mores znają. Ugryzłam się w język i powiedziałam tylko:

— Coż ty sobie myślisz, moja Adelciu, że ja dwóch słów skleić nie potrafię? Nie w jednym ja towarzystwie bywałam, a w młodości potrafiłam ze starszymi taką rozmowę prowadzić, że mówili ze mną, jak z równą. Już się nie bój, że twoim gościom głupstwo jakie palnę, albo niegrzeczność powiem. Niebardzo im w duszy rada jestem, bo subiekcja przez nich w domu, ale już niech tam.

— Ja wiem — powiada Adelcia — że ciocia dużo zachodu miała z tym przyjęciem, ale niech ciocia pomyśli, jak to przyjemnie, że w naszym domu odbędzie się liczne zebranie! Wkrótce w całej Warszawie mówić będą, jakie się u nas w niedzielę towarzystwo zbiera!

To mi dopiero uciecha! Niech ręka Boska broni, żeby o nas mówić zaczęto! Już lepiej, żeby nic nie mówiono, bo jak raz ludzie na języki kogo wezmą, to suchej nitki na nim nie zostawia.

Adelcia w bardzo dobrym była humorze cały ranek i słodsza od miodu. Co prawda wyłożyła mi rad i wskazówek z pół kopy ale udawałam, że uważnie słucham, choć w duszy się tylko nadziwić nie mogłam, gdzie ona takiej oglady towarzyskiej nabrała.

Bywali u nas, prawda, goście i przedtem, ale to sami tacy swojscy. Teofila znajomi bliscy, albo moich przyjaciół trochę. Ot, pani Klimaszewska przez kilka lat co niedzielę po mszy zachodziła na pogawędkę. Czasem i na obiad dała się uprosić. Dopiero, jak sprawy majątkowe na wieś ją odwołały, przestała nas tak często odwiedzać. Ot, i teraz — nie widziałam jej chyba z pół roku, ale ona zwykle do późnej jesieni na wsi siedzi w tym mająteczku, co jej Klimaszewski pod Kielcami zostawił.

Pani Klimaszewska z ziemiańskiej pochodzi rodziny i zawsze się z tym obnosi.

— Szczurkiewiczówna z domu jestem, z tych Szczurkiewiczów, co dotychczas na roli siedzą w Suwalszczyźnie — rekomenduje się zawsze, jak ją kto o panięńskie nazwisko zapyta. Ludzie bo się połapać nie mogą nigdy jak tam z jej parantelą. Nie dziw — trzech mężów nazwisko nosiła, ale wszyscy, zwłaszcza Urbanik,

tyle że pieniądze mieli, bo ród niebardzo znamienny.

— Urbanik herbu nie miał—mawiała o swoim drugim mężu Klimaszewska — ale miał kamienicę. Nauczyło mnie życie, że lepsza kamienica bez herbu, niż goły herb bez kamienicy.

Potem się za Klimaszewskiego wydała; ma teraz i kamienicę i mająteczek niezgorszy w kieleckim i trochę grosza w gotowiźnie.

Adelcia Klimaszewskiej nie lubi i mówi, że ordynarna baba. Pewnie, że trochę ona szorstka i czasem tak coś powie, że człowiekowi w piętę pójdziesz, ale dobra to kobieta i rozum duży ma, doświadczenie życiowe. Dużo się już z tego sprawdziło, co ona przepowiadała. Pierwsze—to z Antosią, że starości nie doczeka i dzieci nie wychowa. Potem nieraz co do Adelci dawała mi rady, bardzo słuszne, dobrze to teraz widzę.

— Trzymajcie krótko Adelcię — mówiła — bo inaczej ona was wszystkich za łeb weźmie.

I wzięła. Teofila zawojowała zupełnie, a teraz i ja sama spostrzegam, że w domu wszystko się tak dzieje, jak chce Adelcia.

Na przykład z tymi gośćmi! Kogo tu nie było onegdaj! Oba salony pełne, a w gabinecie (jak pomyśle, że Teofil ma teraz gabinet i dwie szafy z książkami, śmiech mię zbiera!) czarno było od dymu, bo przez trzy godziny panowie tam cygara Teofila wypalali.

Panie starsze porozsiadały się na otomanie i fotelach, z których pozdejmowałam pokrowce. Młodzież myszkowała po kątach — a jedli! Zupełnie jakby stado zgłodniałych wilków, połknęły obie tace z ciastkami.

Póki częstowałyśmy z Adelcią, każdy dziękował uprzejmie i na talerzyk coś tam z boczku położył, a potem wszystko znikło, jak kamfora, że nawet i tej „polskiej ceremonii” nie zostało.

Adelci strasznie młodzież nadskakiwała, ale to wszystko, pozał się Boże, gołowasy: ani jeden na mężaby się nie zdał. Z tej maki chleba nie będzie.—Adelcia przecież zapowiedziała, że chce za męża iść i to bogato, ale gdzie tam się pośród nich taki znajdzie coby i pieniądze miał i usposobienie stateczne!

Wszystkim w głowie fiu-fiu... Już nie mnie oczy zamydlać. I to francuskie parlowanie wcale mi się nie podoba. Cóż to, po polsku brak im słów, żeby się u obcego języka zapożyczać musieli?

Wiem, że w różnych tam wielkich domach taka moda. Ale tu u nas nikt pretensji do takich wysokich progów nie ma i chybaby Adelcia oszalała ze wszystkim, żeby jej do głowy przyszło piąć się tam, gdzie jej nie proszą.

Z całego tego balu Marek dostał anginy. W gardle ma plamy i leży w gorączce. Na pewno od tego dymu. Najzdrowszy człowiek—

Kaczęta

był nie wytrzymał w takim zaduchu, a jeszcze Marek ze swoim delikatnym zdrowiem!

18 października.

Znów dawno nie pisałam. Z Markiem miałam biedę. Wszyscy się nastraszyli, bo zaraz na drugi dzień po tym zebraniu, w nocy, gorączka podskoczyła aż do czterdziestu stopni. Przyszedł doktor, zbadał gardło, powiada:

— Dyfteryt.

Jezus! Jakby mi nogi kto szpicrutą podciął. Braciszek mój i Antolki, Janek, na dyfteryt umarł, to samo znajomych naszych dwoje dzieci. Całą noc oka nie zmrużyłam, siedziałam przy Marku i modliłam się, modliłam...

Nie mogłam ani rusz opędzić się strasznej myśli, że to już Antolka po Marka przyszła, że go zabierze... Całą noc tak przesiedziałam we łzach, aż mi oczy popuchły. Co godzina Markowi jakieś płókanie dawałam i proszki, które doktor przepisał. Z tym płukaniem była bieda, bo Marek widać przytomność od gorączki stracił, ciągle coś bredził o kwiatach albo obracał ku mnie takie oczy dziwne, niepatrzące.

Jeżeli mam więcej siwych włosów na głowie, to mi przez tę noc chyba osiwały. Nad ranem zdrzemnęłam się trochę w fotelu. Budzę się — szaro, a Marek nie śpi i na mnie patrzy, ale jakby przytomniej.

— Co Mareczku — pytam — co? Może pić?...

— Pić — wyszeptał, a we mnie otucha zaraz wstąpiła.

Były jeszcze bardzo ciężkie dni, ale szło ku poprawie. Doktor nadziwić się nie mógł. Przyszedł nazajutrz, od progu już pyta:

— No — jak tam?

— Nie wiem, panie doktorze, zdaje mi się że lepiej... — odpowiedziałam nieśmiało, bo jeszcze nie byłam pewna, czy się nie mylę.

Dopiero, jak doktor wyszedł od Marka z wesołą twarzą, odetchnęłam.

— Zuch chłopak! Zdaje się, że cało się wymiga z tej historii!

Mój Boże, mój Boże... Pobiegłam do swojego pokoju i dziękowałam Panu Jezusowi, dziękowałam Antolce, że Marek zdrowszy. Dopiero od tej choroby zrozumiałam, jak ją go kocham, i że ani Tomek, ani Adelcia, ani nawet Stas nie są mi tacy drodzy, jak on.

Aż mi dziwnie powiedzieć, aż mi się dziwnie przyznać, ale te dwa tygodnie Marka choroby to był dla mnie jakiś cudny sen. Jaki to człowiek jest ułomny! Musiałam gwałt sobie dawać, by nie dziękować Bogu, że na Marka chorobę zesłał... A to przecież w głowie się nie mieści...

Wszystko dlatego, żeśmy się przez ten czas żyli z Markiem, zupełnie jak za dawnych lat. Teraz już zdrowszy, siedzi na łóżku całymi godzinami rysuje sobie ale przedtem, a zwłaszcza,

gdy minęła ta pierwsza gorączka, to się ani chwili beze mnie obejść nie mógł. Strasznie się rozkaprysił, rozpuścił się na nic... Taki się zrobił, jakby mu z dziesięć lat ubyło... zupełnie dawny Mareczek!

I ciągle do mnie: „a ciociu to, a ciociu tamto” ciągle się czegoś napierał i musiałam perswadować, jak małemu dziecku.

Albo znowu opowiadał mi, jak dawniej, co to on robi.

— Najpierw, ciociu, jak wyzdrowieję, zapiszę się na lekcje rysunków. Ojciec nie będzie już chyba bronił co, ciociu?

— Pewnie... chyba, że nie...—mówiłam, żeby go nie rozdrażniać.

A on wtedy:

— Przecież do szkoły i tak już chodzić nie warto! Tyle opuściłem, tyle jeszcze opuszczę... Nie dałbym sobie rady, prawda, ciociu?

— Prawda, Mareczku.

Ale zaraz dodałam:

— Chociaż, gdybyś tylko chciał, to byś kolegów dogonił, Marku, ba, nawet ich prześcignął...

— E, ja wcale nie chcę! — skrzywił się na to.—Nie chcę! Dość mam szkoły. Ze mnie nie będzie nigdy żaden kupiec, ani inżynier, jak chce ojciec. Ja mogę zostać tylko malarzem, albo...

Tu się zaciął, a potem powiedział cicho, ale strasznie stanowczo:

— Albo umrę.

Nie lubię, jak Marek takie rzeczy wypłata. Zawsze mi mróz po kościach przelatuje i prawie złość mam do Antolki, że taka smutna z Markiem chodziła. Przez to Marek taki sensat.

Ależ mu to malarstwo w głowę zajechało! Nic i nic, tylko o jednym wkółko rozprawia. Dobrze, że Teofil i połowy tego nie słyszy, bo by się chyba wściekł. Teofil tak przez Marka malarzy znienawidził, że jak mu Adalcia przypominała, żeby jednemu panu, co był u nas, wizytę oddał, to krzyczał na cały dom:

— Nie pójde! Nie pójde!

— Ależ, papo... on się obrazi i już więcej do nas nie przyjdzie! — chodziła za Teofilem Adalcia, przekładając.

— To niech! Właśnie mi na rękę! Artysty tu niepotrzebni! Dość mam z tym gamoniem zmartwienia!

Gamoń, to niby Marek.

Teraz Teofil trochę zmiekkł, bo się skądeś dowiedział, że ten pan to jest znany malarz i duże pieniądze swoimi obrazami zarabia. Wizytę mu złożył, a jakże, i jeszcze do nas na niedzielę zaprosił, tylko że właśnie Marka choroba wypadła.

Adalcia w Kopytowie kwarantannę z powodu Marka odprawia. A zła była! Nawet żał mam do niej o to, bo trzeba chyba nie mieć serca, żeby w takiej chwili o sobie i o swoich przyjemnościach myśleć.

Marek leży bez przytomności, doktor głową

kiwa, a ona do mnie jakby z pretensją w głosie:

— Też się Marek wybrał z chorowaniem! I jeszcze cały dom zapowietrzony, przez parę tygodni ani kogo przyjąć, nim się dezynfekcję zrobił!

Jak się doktor dowiedział, że Adalcia dyfterytu nie miała, zaraz ją kazał z domu wyprowadzić.

Z początku uparła się, że do Tomka mieszkania pojedzie. Próżno przekładałam, tłumaczyłam, że nie wypada, że Tomek po kawalersku mieszka. Adalcia nic.

— To mój brat — powiada — więc żadnej nieprzyzwoitości nie ma.

Przyszedł na to Teofil z Tomkiem i byłoby na Adalcinym stanęło, jak zawsze, tylko że Tomek sprawę przeciął odrazu:

— U mnie mieszkać nie będziesz.

— A dlaczego?

— Dlatego — że! Zresztą ja dużo interesantów przyjmuje, moje mieszkanie ma niewygodny rozkład. Słowem nie — i koniec.

Dopiero Adalcia w złość. Prawie się z pięściami na Tomka rzuciła:

— Ty taki! Ty owaki! Ty nieużytku!

Posypały się przezwiska, wymysły, w końcu rozplakała się, rzuciła na krzesło i aż nogami tupiała z irytacji!

— Jęczał — dogadywał — Tomek — histeryczka! Z godzinę trwała ta awantura, nim się Adel-

cia uspokoiła i do rozsądku doszła. A Marek przez ten czas leżał nieprzytomny, w gorączce i ani się domyślał, jak siostruni swojej plany pokrzyżował.

Rano pojechała Adalcia do Kopytowa. Staś ją odwiózł. Nadąsana była jeszcze i na Tomka śmiertelnie obrażona, ale już widzieć jaśniejsze strony tego medalu odkryła, bo żegnała się ze mną dość mile i jeszcze polecenia dawała:

— A jak listy jakie będą, to niech mi ciocia do Kopytowa przez okazję odeśle!

Dopiero sobie przypomniała od progu:

— I o zdrowiu Marka niech ciocia napisze, moja ciociu.

Pewnie, że ona Marka kocha po swojemu, ale już nikogo chyba tak, jak siebie. Może i słusznie powiedział Tomek, że z Adelci straszna egoistka.

Tomek się bardzo pocziwie zachował. Najpierw po doktora latał na miasto, a później dzień w dzień dowiadywał się, jak tam Markowi.

Tak mię za serce ujął, że już mu tę Janinkę prawie wybaczyłam i różne inne jego sprawy.

Przychodzi i teraz chociaż obiady od choroby Marka na mieście jada. Rozmawiamy przez próg, bo Tomek do mieszkania nie wchodzi, żeby zarazy nie przenosić.

— No, jakże tam, Tomeczku — pytam — obiady z garkuchni smakuja?

— Iii... Ciocia lepiej jeść dajel — roześmiał

się. — Jak się będę żenił, to muszę przed ślubem żonę wyegzaminować, czy dobrze się zna na kuchni.

Swojej Janinki pewnie o to nie pytał, ale też ani mu w głowie ożenić się z nią. I chwala Bogu — i zarazem przykro jakoś. A Tomek wesół, w świetnym humorze, jakgdyby nigdy nic. Ciągłe dowcipkuje, ręce zaciera, Teofila po ramieniu klepie i mówi:

— Cóż, papo? Tomek główkę na karku ma? he?

Nie podoba mi się taka konfidencja z ojcem. Niby oni teraz dwaj współnicy, ale zawsze...

25 października.

Marek już prawie dobrze. Wstaje na parę godzin z łóżka, ale taki osłabiony po chorobie, że chętnie do niego wraca. W tych dniach ma być dezynfekcja, a my się przeniesiemy na ten czas do obu salonów. Ot, i na coś się przydało takie duże mieszkanie! Przynajmniej teraz widzę jakąś korzyść, bo przedtem pusiką to stało, tylko dla gości. Najczęściej to jeszcze Adelcia w salonie przesiaduje bo tam jest duże tremo, a ona lubi godzinki przed lustrem odprawiać.

Żadnego listu do Adelci nie było, ale zato niedawno przyszedł jakiś wysoki drab, w wojskowym ubraniu. Uchyliłam tylko drzwi na łańcuchu i patrzę, a on mówi:

— Czy jest panna Ada?

— Kto?

— Panna Ada.

Myślę sobie: co to znowu? Udaję jednak, że nic nie rozumiem i pytam:

— Kto taki?

— Czy tu mieszka panna Ada Łebkowska?

— Panna Łebkowska tu mieszka, ale jej nie ma w Warszawie — odparłam i trzask mu drzwi przed nosem.

Patrzcie, co za poufałość — i jeszcze jakaś Ada! Cóż to, Adelcia, chrześcijańskiego imienia nie nosi, żeby ją wołać jak papugę! Ada! Ada!

Ciekawam, co to za typ taki i gdzie go Adelcia zdybała? Już to ona ma teraz tych znajomości! Ani się połapać nie mogę, tylko wiem, że za moich czasów nikt taki do domu nie wszedł, o kimby nie wiadziło, co za jeden, skąd pochodzi, czym się zajmuje. Teraz i na to inna moda. Tempora mutantur! (wiem to z łaciny, nie darmo już trzeci — Marek — łacinę obkuwa). Dawniej taki pierwszy lepszy poznany młody człowiek musiał się dobrze nagłować, nakręcić, żeby do jakiego domu wstęp uzyskać.

Pamiętam, że jak pan Kazimierz się ze mną u koleżanki mojej zaznajomił, to chyba z miśsiac szukał sposobności, żeby mię odwiedzić. Nie miałam już wtedy rodziców i mieszkałyśmy u wujostwa z Antolką.

Antolka uczyła się jeszcze, a ja chodziłam

do pracowni ciotki na cały ranek. Dopiero pan Kazimierz znalazł fortel. Przychodzi do magazynu raz — ciotki nie było. Kupił wiązankę z różyczek polnych i poszedł. Przychodzi drugi raz, wybrał kilka bratków, porozmawiał ze mną. Przedstawiłam go ciotce. Dopiero przyszedł trzeci raz, czwarty, piąty. Dopiero ciotka zauważyła te wizyty — dopiero nóż wypytować kto taki — a czy go można do domu wprowadzić. Dobrze mówiłam, że sześć tygodni trwały te ceregiele, aż któreś niedzieli pan Kazimierz przyszedł z kolegą, a ciotka zatrzymała go na herbatę. Odtąd już stale przychodził... I potem, jak ciotka umarła, a ja objęłam magazyn, przychodził do nas, już jako dobry znajomy, przyjaciel... Wtedy się okazało, że ja posagu nie mam i że wujostwo, chociaż bezdzietni, nic dla mnie, ani dla Antolki nie zostawili, prócz mebli, które w połowie były jeszcze moich rodziców... Ja wiem, że pan Kazimierz nie na mój posąg jedynie liczył, jak sądziły złe ludzkie języki. Miał on do mnie przywiązanie prawdziwe i długo jeszcze walczył ze sobą, długo po tym do nas przychodził, jeszcze częściej, prawie codziennie wpadał... Aż nareszcie przetłumaczył sobie, że takim małżeństwem, karierę zwicznie, a on był bardzo ambitny.

Nieraz myślałam, co on z tymi sztucznymi kwiatami zrobił, co ich tyle nakupował u nas

bez potrzeby... Nawet kiedyś wzięłam się na odwagę i zapytałam go.

A pan Kazimierz na to:

— Ubrałam nimi fotografię pani, co wisi u mnie na ścianie już trzeci rok.

Dałam mu kiedyś tę fotografię, bo o nią bardzo prosił. Potem mi ją odesłał, ale bez kwiatów. Może je schował na pamiątkę, a może do śmieci wyrzucił? Tego już nie wiem...

Ot, przeszłość się przypominała. Znowu wszystko stanęło w oczach jak żywe. Pókiż tego będzie? Śmiech doprawdy. Stara jestem, siwieję mocno, a w sercu niewygasły sentyment. Ot, serce ludzkie!

Marek się zamalował, że świata Bożego nie widzi, a ja się rozpisałam licho wie o czym. Aha, już przypominałam sobie, o co to poszło:

Bo teraz inna moda. Teraz młoda panna pozna młodego człowieka, w teatrze, albo na balu, albo nawet i na ślizgawce i powiada prosto z mostu:

— Może pan odwiedzi nas kiedy?

Tak się robią te znajomości i potem okazuje się, że nieraz taki elegancki dudek, to nielada frant.

Adelcia strasznie zła, jak ja jej uwagę zrobię, że niekoniecznie dobrze nieznanym ludzi do domu wprowadzać. A przecież nie dalej szukać, jak u Śliweckich, zdarzyła się ładna historyjka:

Mela Śliwecka, koleżanka Adelci, poznała, i to nie byle gdzie, bo na wencie w cukierni,

jakiegoś młodego człowieka, już nie pamiętam nazwiska.

Przystojny, ułożony dobrze—rezolutna Mela, niewiele myśląc, zaprosiła go na swój fiks. Młodzieniec przyszedł. Przyszedł raz, przyszedł drugi raz. Pamiętam, że Śliweccy nachwalić się go nie mogli. A co za wychowanie, a jaki takt! A jak ślicznie po francusku nie tylko deklamuje, ale sam wiersze układa! Pamiętam, w zeszłym roku to było, przyniosła mi Adelcia wiersz, przepisany z albumu od Meli. Ja tam po francusku czytać nie umiem, ale mi Adelcia wszystko przetłumaczyła. Było i o kwiatkach—i o sercu, co na kolana klęka przed taką piękną dziewczęcą. Druga połowa tego wiersza była znowu poświęcona Meli matce. I tej się dostało komplementów, że Junona wobec niej miesza się i błędnie... Różne głupstwa takie powypisywał—pewnie z książek—a pani Śliwecka i Adelcia i Mela nie mogły się opamiętać z zachwytu.

Powiedziałam Adelci:

— Et, pisze zgrabnie, bo pisze, ale żeby was przypadkiem nie okradł ten wasz poeta!

Jakbym w złą godzinę wyrzekła! Nie okradł wprawdzie Śliweckich, ale szachrował u nich w karty i któryś z gości przylapał go na szacherce. Z tego powodu wynikł naturalnie skandal. Dopiero się okazało, że i nazwisko miał zmyślone, bo się prawdziwie nazywał jakoś mocno z żydowska. Różne tam sprawki tego eleganta wyszły na jaw—a państwo Śliweccy aż

odchorowali całą sprawę—bo pomyśleć: co to za wstyd, jaki dyshonor dla ich domu!

Jak Adelcia przyjedzie, żeby tam nie wiem co, niech się nawet nasroży, muszę jej przypomnieć Melę i jej znajomego. Wolę przeprawę z Adelcią, niż byle kogo pod dach nasz przyjmować. A ten wojskowy wcale mi się nie podoba. I jeszcze Adelcię po imieniu nazywa, jakby beczkę soli razem zjedli!

30 października.

Z powodu Marka choroby, nosa poza dom prawie nie wytknęłam przez kilka tygodni, a co się przez ten czas nie narobiło! Niemcy przegrali z kretelem wojnę. Dobrze im tak. Będą musieli teraz płacić za wszystko. Już ja bym na miejscu Francuzów i Anglików nie pofolgowała im w niczym. Niech pracują, niech płacą za wszystko, co w świecie złego narobili.

Stasia teraz po całych dniach w domu nie ma. Niby chodzi na politechnikę, ale ja wiem, gdzie to ta politechnika się mieści. Ja niby nigdy na nic uwagi nie zwracam, a przecież dobrze wiem, co się święci. Może to serce moje przeczuwa, dlatego że te dzieciaki nad życie kocham i zabiegam koło nich, jak ta kura, co wysiedziała kaczkę. Oj, prawdziwe z nich teraz kaczkę! — każde, ledwie od ziemi odrosło, puściło się na szerokie wody—a ja latam po brzegu, jak ta kwoka i tylko ze strachu cierpnę, żeby im się co złego nie stało.

Naprzykład Staś. Wiem na pewno, że w jakiejś organizacji pracuje, wojskowej czy nie — w każdym razie w tajnej organizacji młodzieży przeciwko Niemcom. Bardzo to szlachetne i w duchu dumna jestem ze Stasia, ale czy on nie za młody?... Powiedział ktoś u nas: teraz takie czasy, że dzieci politykę robią. Musi to być prawda, bo przecież Staś dzieciuch, smarkacz, ledwie z gimnazjum wyszedł, a w polityce siedzi po uszy. Jak przychodził ten Niemiec na przespiegi, powiedziałam Stasiowi:

— Ej, Stasiu, ty się doigrasz, nim Niemcy precz pójdą, ciebie do kozy wsadzą.

Staś się śmiał bo był w dobrym humorze i powiada:

— Nie bój się, ciotko. My także swoją policję mamy i wiemy o nich więcej, niż oni o nas. Dopiero ciocia zobaczy, co tu się będzie działo wkrótce...

— Oj — pomyślałam wtedy — żebym tylko nie zobaczyła za wiele!

Myślę, że teraz właśnie przychodzi czas na te awantury. Niemcy ciągle butni na pozór, ale widać, że uszy po sobie położyli. Nawet po ulicach przesuwają się jakby ukradkiem i daleko ich teraz mniej po Warszawie się szwenda. To wszystko widzę przeważnie z okna, bo jeśli gdzie wychodzę, to do apteki, albo na targ przypilnować Walerki.

A i na targu można się dużo napatrzeć. Dawniej—przyszeli jaki Niemiec, towar wziął,

pieniądze położył — a przekupka ani pisnęła. A teraz gębę odrazu na niego wywiera. Przyjdzie Niemiec:

— Kleba jest?

To się baba odmie tylko i milczy. Niemiec znowu:

— Jajki jest? słoniny jest?

Ehe! Jak mu odpowie niejedna, to uszy wiedną! „Zeskrob se słoninę z karku”—odpowiada—„to będziesz miał niemiecką słoninę, bo polskiej świni dla cię szkoda”.

Niemiec nic nie rozumie, bo się tych paru polskich słów wyuczył, jak papuga, więc tylko zżyma się i grozi, że polizei zawoła.

— A wołaj sobie, wołaj — goni za nim urągający głos przekupki.

Na straganie trzyma same nadgniłe jarzyny, a dopiero w koszyku, pod taborkiem, na którym siedzi, jest i słonina i chleb i masło.

Szmugiel się na dobre zaczął dopiero teraz. Dawniej, jak baby niosły przemycany towar, to zębami ze strachu szczękały i nim ruszyły w ulicę, obejrzały się ze sześć razy, czy gdzie Niemca nie widać. Ale teraz — ho, ho! przegonią ją z jednego rogu, staje z pieczywem na drugim, a niech Niemiec spróbuje „zarekwirować” chleb—podnosi taki gwałt, że się od razu z pół ulicy zbiegnie... Wtedy już gorzej dla Niemca, bo w tłumie teraz nie bardzo bezpiecznie.

Wczoraj Staś wrócił późnym wieczorem, a tak

się jakoś skradał po mieszkaniu, że mię to zastraszyło.

Idę do gabinetu, a on koło skrzyni z barchanami coś majstruje.

Pytam go:

— Co ty tu robisz, Stasiu?

A on odrazu palec na usta:

— Cicho! Niech ciocia nie krzyczy. Ojciec się obudzi i będzie awantura. Ciocia to też ma polityczną głowę!

Zatrzasnął skrzynię, a kluczyki schował do kieszeni.

— Niech ciocia idzie spać, a ojcu nic nie mówi, bo tylko będzie mitręga!

— Dobrze — mówię — Stasiu, ale co ty tu masz za interes?

— Przecież nic nie ukradnę, w to ciocia chyba wierzy? A kluczyki zachowam u siebie. Jakby ich ojciec na zwykłym miejscu szukał, niech mię ciocia uprzedzi, moja ciociu!

Poskoczyliśmy ku drzwiom, bo Teofil w swoim pokoju mocniej chrapnął, a Staś w jadalni uściśnął mię na dobranoc i powiedział jeszcze.

— Moja ciociu, ciocia jest teraz jakby w spisku! Niech ciocia o tym pamięta. Chyba ciocia wie, że nic złego nie zrobię, dla Polski pracuję przecież! Niech ciocia idzie spać i śpi spokojnie.

Spać spokojnie, właśnie! Z takimi dziećmi! Oj, Boże mój, już ja to chwili spokoju nie mam. W ciągłej niepewności żyję, ciągle się

o coś trapię. Teraz znowu z tym Stasiem... I niby wiem coś — i nic nie wiem. Wszędzie jakieś konszachty, tajemnice, a ja w to wszystko wmieszana nie wiedzieć jak i poco.

Ja wiem, że co Staś robi, to nie może być nie uczciwe, ani złe. A pewnie dlatego do skrzyni się dobrał, że tam schował coś swojego, żeby w ręce Teofila nie wpadło... Może jakie broszury?

Ładny byłby bal, żeby tak rewizję urządzili! Muszę jednakże Stasia przestrzec, żeby rodziny lekkomyślnie nie narażał.

Ciekawam też, jak on klucze od tej skrzyni wynalazł, bo Teofil chowa je w saloniku za obrazem w dębowej ramie.

1918 r.
11 listopada.

Co się dzieje, co się dzieje! Tylko dlatego siadłam dziś do dziennika, żeby czymś przytłumić niepokój o Stasia. Od szóstej rano do tej chwili nie ma go, a serce mi z trwogi zamiera.

Teofil spokojny — ale żeby Teofil wiedział, co ja wiem... Chryste Panie, Chryste Panie! Miej Stasia w swojej opiece, Matko Najświętsza! A na ulicach ciągle strzelanina! Z rzadka, ale ciągle... Jezu kochany! Bo też to trzeba mieć odwagę! Takie dzieciuchy, tacy smarkacze, z gołymi pięściami porwali się...

Teraz sobie dobrze przypomniałam te kłótnie Stasia z Teofilem w czasie wakacji:

— Ciekaw jestem — powiada Teofil — czym ich rozbroicie? Gołymi pięściami?

— A chociażby nawet! Zresztą, ojciec myśli, że u nas broni pochowanej nie ma?

— A właśnie! Trzy karabiny z defektami, dwadzieścia nożów kuchennych i jeden nabój dum-dum, znaleziony w okopach!

Teofil sobie żartował, ale Stasia dopiekło do żywego.

— Ojciec się nie interesuje ruchem młodzieży, to ojciec nie może mieć pojęcia, jak my jeste-

my zorganizowani! A ja ojcu powtarzam, że Niemców rozbroimy i ojciec będzie tego świadkiem!

Właśnie ich Staś rozbraja od rana, jestem tego pewna!

O pół do szóstej, może nawet i wcześniej, posłyszałam chlupotanie w łazience. Poszłam zobaczyć, co to takiego. Myślałam, że może kurek niedokręcony — a to Staś się mył. Wkrótce potem wybiegł z domu, na śniadanie zacząć nie chciał. Powiedział mi tylko, że się śpieszy, bo ma naznaczony termin spotkania z kolegami.

Wróciłam przez gabinet, patrzę — a tu kulczyki wiszą przy skrzyni. Coś mię tknęło — otwieram, szukam... Chryste Panie! Ta jedna kulka rewolwerowa powiedziała mi wszystko!...

Staś w skrzyni Teofilowej broń ukrywał, a teraz ją zabrał ze sobą!

Wróciłam do swego pokoju jak pijana, bo czułam w powietrzu nieszczęście... Żeby tylko nie wymówiła w złą godzinę! Stasia nie ma dotychczas, a już północ dochodzi... Śniadania też na pewno nie jadł, ani obiadu...

O siódmej z rana poszła Walerka na miasto. Ja się ruszyć nie mogłam. Nogi mi się zrobiły jak ołowiane z tej zgryzoty o Stasia. W jakie pół godziny wraca Walerka: mięsa nie dostała, mleka nie dostała, ale zato co za nowiny przyniosła!

— Proszę pani! Proszę pani! — krzyczała

już od progu, że w całym domu było słyhać--
proszę pani, co się to dzieje! Niemców na
ulicy rozbijają!

— Kto? — pytam.

— Ano nasi, Polacy!

— W imię Ojca i Syna! Co ty gadasz Walerko?

— Prawdę gadam. Przekona się pani! Nasze wojsko zdobyło koszary, Niemcom broń odebrali, a teraz tłum po ulicach chodzi i co Niemca zobaczy, to zaraz na niego, a Niemiec ręce do góry i karabin z własnej woli oddaje... Oj, co się dzieje! Polska kawaleria ulicami rozjeżdża, a Niemcy w strachu, nosa wytknąć się boją... Podobno się w ratuszu zamknęły największe dygnitarze niemieckie, ale stróż powiada, że nasi na ratusz pójdą!

Posłyszała i Adalcia krzyki, przysła do jadalni w szlafrocisku. Musiała Walerka trzy razy opowiadać wszystkiemu, bo i Teofil nadszedł i Marek przez drzwi wołał, co takiego?

Adalcia zaraz pobiegła się ubierać, a w pół godziny staje we drzwiach, gotowa do wyjścia.

— Idę na miasto — powiada — zobaczyć, co się dzieje.

— Ani mi się waży! — krzyknął na nią Teofil tak ostro, że aż ja się zdumiałam.

— Ojczusiu, ojczusiu! Przecież to Niemców rozbijają! Niemców! Przecież ja...

— Żebyś nawet nie myślała o tym! Awanturny na ulicach, strzelanina, a tej się space-

rów zachciało! Niech Justysia pamięta, żeby Adelka nie ruszyła się z domu, aż pozwolę.

— Proszę Teofila — mówię — a Staś?

— Co znowu Staś?

— Bo Staś raniutko wyszedł, nie wiem dokąd.

Zmarszczył się Teofil.

— Staś chłopak, da sobie radę. A to wszystko zresztą Justynki wina — zachnął się nagle. — To Justynka dzieci rozpuściła, a teraz są tego skutki! Jak będą przykrości z racji Stasia, albo śledztwo, to Justynki sprawa, nie moja!

Jeszcze Teofil nie wierzył, że Niemcy z Warszawy uciekają. A ja w duchu wierzę i czuję, że to już koniec ich panowania. Jak takie dzieciuchy, gołowasy, karabiny im odbierają — to już widać z Niemcami na prawdę kruch.

Koło południa wpadł Tomek. Marek, który całe rano przesiedział w oknie i aż wypieków dostał z wrażenia, zaraz przyskoczył do niego:

— Co, Tomku, na mieście, co?

— Ano nic, smyku. Niemcy bez broni chodzą, czerwone kokardy przypinali na znak, że przystąpili do rad żołnierskich... A nasz kochany tłumek hula sobie, niemieckimi furgonami jeździ! Heca! Gdzie ojciec?

— Poszedł do składu — mówię. — A Stasia nie spotkałeś przypadkiem?

— Ja nie. Ale tam się na pewno uwija, gdzie najgoręcej. To się ojciec będzie wściekał, gdy się przekona, że ten smyk jota w jotę przepowiedział wszystko, jak będzie...

Wzięłam na odwagę i powiedziałam Tomkowi do ucha:

— Staś miał broń schowaną. Zabrał ją z sobą na miasto.

— Phi! A to mi nowina! Cóż to, ciocia dziś na świat przyszła? Przecież oni wszyscy mieli pełno broni poukrywanej. Nawet do mnie Staś przyniósł pudełko z nabojami na przechowanie. Stało to sobie na piecu przez całe lato i o mało nieszczęścia z tego nie było, bo służącemu przyszło do głowy napalić... W porę przypomniałem sobie ten Stasiowy depozyt.

— I... ty trzymałeś naboje u siebie w domu? Rewizji się nie bałeś?

— Rewizji? Pewnie, żem się bał. Ale cóż robić. Zresztą, moja ciociu, rewizje też różne bywają — u mnie by z pewnością czego innego szukali, nie broni...

Powiedziałam tedy Tomkowi w wielkim sekrecie, że Staś broń i naboje w skrzyni ojca chował, bo już wytrzymać nie mogłam, żeby Stasia nie pochwalić przed bratem, że taki dzielny patriota!

Dopiero się Tomek zaczął śmiać jak szalony.

— Hahaha! Hahaha! Znakomity kawał! Hahaha! W szmuglu szmugieli! Toby dopiero ojciec miał minę! No, niech mu ciocia aby nie wspomni o tym. Mnie można, ale ojcu nie radzę, dopiero byłaby chryja!

Pocziwy Tomek. Oni wszyscy mają poczi-

we serca, już ja to wiem! Staś na Tomka nie-raz narzeka, że paskarz — ale trudno się znów Tomkowi dziwić. Ma żyłkę do handlu, ma od dzieciństwa. Jeszcze jak był w szkole, wiecz- nie urządzał jakieś związki filatelistów, jakieś kupna, jakieś zamiany i często zarobił kilka groszy... Ale jestem pewna, że i teraz swoje interesy uczciwie prowadzi.

Już po pierwszej, a Stasia jak nie ma, tak nie ma! Żeby chociaż dał znać przez kogo! Trze- ba być bez serca, żeby mnie w takiej niepew- ności zostawić... Ale co też ja plotę! Albo to Staś ma czas, żeby listy pisać, czy co takiego?

A jeżeli mu się coś stało? Walerka powiada, że Niemcy grzeczni, ale jak który może niepo- strzeżenie z za węgla strzelić, to bez wahania strzeli... Matko Boska, miej Stasia w swojej opiece...

Z Adelką też będzie kłopot. Calutki dzień chodziła nadąsana, a przy kolacji powiedziała ojcu stanowczo, że jutro „żeby tam nie wiem co”, wyjdzie zobaczyć, jak Warszawa wygląda:

— Ojciec zupełnie nie odczuwa, jakie my chwile przeżywamy! Przecież dzisiejszy dzień w historii będzie zapisany, nasze dzieci uczyć się tego będą, a ojciec chce, żebym ja w domu siedziała, nie wiedząc, co się dzieje!

Patrzcie, patrzcie! Sama się tej historii nie chciała uczyć, jak chodziła na pensję, a te- raz ojcu własnymi dziećmi wygraża ta smarka- ta! I jak ona zaraz szumne frazesy układa! Już to

Adelka ma dziwny dar, żeby w każdej okoliczności siebie na pierwszy plan wystawić. Ot, i dziś... Stasia nie ma, niewiadomo, co się z nim dzieje, a siostrzyczka tylko o tym myśli, że jej się krzywda stała...

A wszystkiemu właściwie winna ta głupia Walerka. Jej nikt z domu wychodzić nie broni, więc co moment lata na dół do stróża i stamtąd tyle nowin znosi, że aż się w głowie mąci... Jużbym jej nieraz kazała milczeć i swoje w kuchni robić, ale cwana baba dobrze wie, że dzisiaj wszystko na opak w domu idzie, więc sobie używa, ile wlezie. Na obiad były kluski i na kolację zacierki, bośmy tylko mąkę w domu mieli. Tośmy się nawet tych klusek doczekać nie mogli. Spóźniła obiad o godzinę, tak z kumoszkami rajcuje!

Od niej się także dowiedziałam, że nasz stróż Niemców z innymi rozbrajał. A jakże! Samochód wojskowy zatrzymał do spółki z bratem żony. Powiada Niemcom: „raus!”—i Niemcy zlązły pokornie, chociaż tam był z nimi oficer! Zaczął się tedy stróż ze szwagrem narażać, jakby tę maszynę z miejsca ruszyć, ale nie dali rady. I patrzcie—poszli po rozum do głowy! Przywołali szofera z powrotem:

— Zawieziesz nas — powiada stróż — do koszar. Nach koszary. Fersztejen?

Szofer im kiwał głową, że rozumie i pojechali; samochód zostawili w koszarach, a nasz Antoni tak się podobno rozochocił, że poszedł

innych Niemców po mieście szukać i do tej pory strasznie się na nich odgraża, a wódką od niego—tak powiada Walerka—na dziesięć kroków zalatuje.

Łaska Boża, że domu nie okradli, bo dla złodzieja trudno o lepszą sposobność, jak kiedy wszyscy latają po mieście i nikt nie pilnuje swojej roboty.

Druga wybiła, a Stasia ani widać. Pójdę, położę się, choć wiem, że oka nie zmrużę. Boże miłosierny, miej w opiece nasz dom i Polskę, a przede wszystkim—Stasia! Żeby mu się nic złego nie stało... Żeby już wrócił...

12 listopada.

Stasia nie ma dotychczas, a w domu sądny dzień nastał... Tomasz twierdzi, że Staś na pewno ratusz z akademikami razem zdobywa, a Teofil!... Ale już nawet nie chcę powtarzać, co ten człowiek na własne dziecko wygaduje!

— Przez tego chłopaka — powiada — z torbami wszyscy pójdziemy! On mi tu Niemców na kark sprowadził! Przez rodzonego synalka do kryminału trafił! Ale już ja się z nim rozmówię, niech tylko wróci...

Jezu miłosierny, niech tylko wróci! Tomasz mię uspokaja, że Staś na pewno siedzi w ratuszu i nawet żartował, że powinnam mu obiad zanieść, bo się pieszczoszek przegłodzi. Że też się tego Tomka żarty jeszcze trzymają. Bo nawet Adelka chodzi jak struta. Powiedziała dziś

rano, że jej się śnił Staś przestrelony... Ta Adelka to też miła siostrzyczka! Żeby takie sny do głowy dopuszczać... Ale jak Staś do wieczora dzisiaj nie wróci, to chyba oszaleję... Oj, moja głowa, moja głowa! Oj, te moje dzieciaki... Co ja mam przez nich! Co one wyrabiają! I co się dzieje na świecie! Mareczek dziś całe rano flower czyścił, co go dostał od ciotki Amelki na imieniny. Mówi, że w takich czasach wszyscy powinni być w pogotowiu Kochany bąk! Ale żeby choć jemu do głowy nie przyszło...

Ktoś dzwoni. Lecę. Może to Staś?

13 listopada.

Jest Staś — wrócił dziś rano, szerniały ledwo na nogach się trzymał, a brudny! Tej koszuli to już chyba Walerka nie dopierze bez chlorku.

Przyszedł z karabinem, a jakże. W przedpokoju go jak parasol postawił i krzyczy:

— Ciociu, na miłość Boską, jeść!

Rzuciłam mu się na szyję i w bek. Boże drogi, jakiej ja się przez niego zgryzoty najadłam! I pomyśleć, że na prawdę Adelce mogło się wyśnić... Czy to możliwe, żeby takiemu chłopcu mogło się stać co złego? Dotykałam jego głowy, ramion, rąk... Nic, ani plamki krwi, tylko ubranie, jakby psu z gardła wydarł. Nie mogłam się nacieszyć, że zdrow, że cały, a to

niedobre chłopaczysko śmieje się, oczami mru-ga wesoło i woła:

— Co mię tak ciocia ogląda i obmacuje? Żebra mam całe, tylko jednego mi brak...

— Żebra ci brak?—jęknęłam i aż mi w skroniach zadudniło.

A ten łobuz kochany kończy ze śmiejącymi oczami:

— Tego, wie ciocia, co to Bóg z niego ko-bietę stworzył...

I jak mię nie porwie w ramiona, jak nie okręci w kółko! Zupełnie oddech straciłam.

Zjadł potem wszystko, co tylko miałam w kredensie, i zaraz położył się spać. Przy-niosłam mu do pokoju wodę, ręcznik i mydło. Pozbierałam ubranie, bo je rozrzucił po wszystkich krzesłach i jęłam wypytywać, gdzie był tak długo.

— W ratuszu—odparł, ziewając.

— Cóż tam robił?

— Wąchałem przez dziurkę od klucza, jak pachną popalone niemieckie pieniądze... Aa...a! Niech ciocia idzie już... Potem cioci opowiem...

— Chyba nie strzelali do ciebie Stasiu, co?

Ale nie odpowiedział, bo już spał. Wynio-słam się z pokoju na palcach i drzwi cichutko przymknęłam, choć jestem pewna, że gdyby z armat strzelali, teżby się nie obudził.

Teofil jakoś przycichł. Może się namyślił, że nie warto ze Stasiem w spory się wdawać, bo Staś i tak co zechce, to zrobi—ojca się nie

poradzi... A może i zmiarkował Teofil, że z Niemcami koniec. Słyszałam dzisiaj po obiedzie, jak mówił do Tomka:

— ...tylko niebardzo widzę, jak teraz będzie. Z Moskałem człowiek sobie dawał radę, z Niemcem też. Ale tych polskich rządów to ja się trochę boję...

— E—odrzekł Tomasz—ma też sobie ojciec czym głowę zaprzętać... Brakowało towaru, to ojciec zarobił, a jak się towar znajdzie, także ojciec przecie nie straci...

Więc już wszyscy, wszyscy o polskich rządach mówią głośno! Nawet Teofil... No, no! Żeby tylko Staś o tym wojsku zapomniał, a wrócił do politechniki...

15 listopada.

Aha! Zapomniał Staś o wojsku! Właśnie dziś dowiedziałam się — i to od Marka, — że Staś już w polskim wojsku służy i pewnie wkrótce pójdzie na front.

— I ja też pójdę niedługo. Wszyscy pójdziemy—dokończył Marek.

Przyznaję, że huknęłam na niego ostro, jak chyba nigdy w życiu:

— Do szkoły pójdziesz, smarkaczu, a jak będziesz takie głupstwa plótł, ojcu powiem, zobaczysz.

Nigdy chyba nie zapomnę tego spojrzenia... Matko Najświętsza, jak ten chłopiec na mnie patrzył! Przybladł trochę i ani słowa nie odpo-

wiedział, tylko te swoje gąły ogromne we mnie wlepił... Wolalabym, żeby się był rozplakał, jak to dawniej bywało, kiedy go kto ofuknął.

Te dzieciśka za prędko rosną, za prędko!... Nawet Marek, mój mały Marek, com go tak niedawno na rękach jeszcze nosiła, teraz już mi się z rąk wymyka! Minie rok—miną dwa—i ostatnie moje piskłę w świat pójdzie, na szesrokie wody popłynie, a ja na tym brzegu zostanę sama jedna, samiutka, jak ta kwoka, co wywiodła kaczkę!

Często, gdy tak wieczorem przy lampie siedzę nad tym moim dziennikiem, różne myśli snują mi się po głowie. W domu cicho, jak makiem siał, czasem tylko stary mebel zaskrzypi, albo z sypialni Teofila doleci głośniejsze chrapanie, albo Marek jęknie przez sen... I znów cicho, jakby żywego ducha nie było. Wtedy zaczynam o tych moich dzieciśkach najdroższych całe historie układać. Staram się naprzód odgadnąć, co z nimi będzie w przyszłości. O Tomka jestem spokojna. Ten z pewnością sklep po ojcu obejmie, rozszerzy go, pieniądze prędko zrobi. Już on do tego ma szczęście! Głowę bym także dała, że się bardzo młodo ożeni, tylko pewno nie z tą swoją Janinką, ale choćby nawet — to i cóż? Może ona ma na prawdę serce dla niego, a jak kobieta pokocha to już z niej wszystko najgorsze jak liść zeschły opadnie—będzie i żoną dobrą i matką—i swemu wybranemu nieba przychyli. Będzie

więc Tomasz będzie miał wszystko, czego ludzie pragną i za czym tęsknią: pieniądze, ognisko domowe, dzieci ładne...

O Stasia trochę się boję, bo to gorączka. Jego życie na pewno nie popłynie tak gładko, choć Staś do ludzi ma szczęście. Szorstki on jest trochę, zanadto gwałtownie każdą rzecz bierze do serca, ale serce ma za to jak kryształ. Niczym się nie zdziwiła, gdyby Staś czynów bohaterskich dokonał, wybawił kogo od śmierci, albo w tym swoim wojsku specjalnie się odznaczył. Jeszcze dawnymi czasy, gdy był zupełnie małym chłopcem, niczego nigdy się nie bał. Nieujeżdżonego żrebaka dosiąść, albo na staw się w balii wyprowadzić, albo z dachu z kopytowskiej oficyny na ziemię skoczyć, to dla niego fraszka. Ile on guzów na głowie sobie nabił, ile razy kolana i łokcie do krwi zadrapał — a zawsze wyszedł cało. Już on jest taki: niebezpieczeństwa się nie boi, a jak mu się co przytrafi, to na cztery łapy spadnie niczym kot. I wszędzie zawsze jest pierwszy. Między kolegami rej wodził, a gdyśmy dla Adelci urządzili wieczorek z tańcami, to trzeba by-widzieć jak się uwijał! Ze trzy godziny tańczył bez odpoczynku, a panienki za nim oczami goniły i byłby wszystkim głowy pozawracał, gdyby mu takie rzeczy były w głowie... Tylko, że Stasia kobiety nic nie obchodzą. Ma on swoje ćwiczenia, swoich skautów, swoje tam różne sporty, a na spódnice ani spojrzę.

Zato Adelcia umie zerkać na mężczyzn, oho! Skąd jej się to wzięło, doprawdy w głowę zachodzę, bo ani Teofil nie był romansowy, ani tym bardziej Antolka. A tymczasem nasza Adelcia o niczym innym nie przemyśla, tylko o chłopcach. Już ja to dobrze widzę i oddawna! I teraz, zdawałoby się, że jej tak oczy błyszczą z radości, że Polska powstaje! Aha, właśnie... Ułani po ulicach jeżdżą, akademicy z karabinami maszerują, to dlatego i Adelcia musi po Nowym Świecie w nowym kostiumie spacerować...

Adelcia zawsze powtarza, że za mąż prędko wyjdzie i to koniecznie bogato, bo inaczej nie warto.

— Muszę mieć własny samochód — powiada — i zagranicę jeździć, do Włoch i na Riwierę, albo jeszcze gdzie dalej. I suknie będę sobie sprawiała w najlepszych magazynach; zobaczy ciocia, jak mi będzie do twarzy w prawdziwych perłach...

Bardzo pięknie. Tylko gdzie ona tego męża znajdzie, żeby jej wszystkie zachcianki spełniał? Chociaż kto wie. Za moich młodych lat marzyły dziewczęta o królewiczach, albo chociaż o hrabiach, którzy z miłości wielkiej swoje nazwisko i majątek z nimi podziela. Dzisiaj zmieniły się czasy. Hrabiowie często goli, w długach siedzą po uszy albo i całkiem fortuny przez tę wojnę, potracili, ale pojawiły się inne krezusy: niejeden mydlarz kabzę nie-

zgorzej nabił, niejeden ptak niebieski, taki, co to ni orze ni sieje, dorobił się fortuny na giełdzie. To pewnie Adelka takiego na męża złąpie..

Dziwna dziewczyna. Często mi się wydaje, że jej zupełnie nie rozumiem, często aż mnie dreszcz przejmie słuchając, co ta srocza paplać potrafi.

Mówi naprzykład tak:

— Mnie tam wszystko jedno, czy mężczyzna przystojny, czy do małpy podobny, byleby był bogaty. Jabym nawet za żyda poszła, jakby miał dużo pieniędzy... Z ładnym chłopcem przyjemnie poflirtować, ale będę z nim klepać na poddaszu czy w suterynie... Brr! Gdybym nie wyszła za mąż bogato, zostałabym aktorką. Miałabym na pewno i sławę i pieniądze i powodzenie wielkie, a kwiaty toby mi całymi koszami na scenę przysyłali...

Plecie tak, plecie i wyśmiewa się ze mnie, gdy się na takie słowa przeżęgam.

— Ciocia — powiada — ma głowę pełną przesadów, to się cioci wydaje, że aktorka musi być zaraz *kokota*. Ale nic dziwnego! Ciocia w innych czasach wyrosła, to ciocia dzisiejszego pokolenia nie rozumie. Od cioci czasów dużo się zmieniło. Teraz młode panny trzeźwo na świat patrzą i wiedzą, czego chcą. A ciocia, chociaż kawał życia przeżyła, wie o niektórych sprawach tyle, co dziecko dzieścioletnie. Może nawet mniej...

Może i prawda. Może mniej wiem o życiu niż Adelka, bo ona czasem o takich rzeczach z całą pewnością rozprawia, których ja nawet nie rozumiem.

Ale mi się wydaje, że to niebardzo dobrze, gdy dziewczyna młodzieńka, dzieciak prawie, nie ma nic w sobie z tej świeżości polnego kwiatka, z tej naiwności, co to nią moja Adelcia pomiata... Życie i tak przyjdzie, wiatrem ostrym w oczy podmucha, zetrze niejedno z duszy ufnej... Ale co się zaczerpnęło w piersi świeżego tohu, co zakwitło w sercu młodym i pełnym wiary, to już tam do ostatka pozostanie jasne i świeże, chociażby na tym sercu twarda porosła skorupa, chociażby wszystko pył szary przykrył i zatracił...

Choćby ja sama. Ciężko czasem, szaro w duszy od smutków, od trosk—młode lata ze łzami wspominam, a przecież nie oddałabym ich za żadne królestwa na ziemi. Nawet tej mojej miłości nieszczęśliwej, co to zakwitła w sercu i w nim jak więzień na resztę życia pozostała zamknięta. Świeci mi ona i teraz, jak promyczek maleńki, co tylko moje własne serce rozgrzewa... A nieraz sobie powtarzam: Kto wie, jakby się życie potoczyło? Możeby z panem Kazimierzem nie tylko szczęścia nie zaznała, ale jemu zaciężyła kamieniem? Możeby różne kłopoty przyszły, o których teraz nie wiem? Możeby i ta miłość moja z czasem w sercu wy-

gasła, a wtedy toby mi nawet nie zostało takie słodkie wspomnienie minionych lat?

A zresztą — czy mi źle na świecie? Mam dzieciśka moje drogie przy sobie, własnychbym więcej kochać nie potrafiła na pewno. Żeby mi tylko Bóg pozwolił patrzeć z radością, jak rosną, jak idą w świat, każde swoją własną drogą, każde szczęśliwe i warte szczęścia.

O jednym tylko Marku nie wymarzyć nie mogę. Czy dlatego, że kocham go — nie to najbardziej, bo wszystkich kocham jednakowo — ale jakoś najtkliwiej, najczulej. Jemu zresztą najwięcej tkliwych uczuć było potrzeba. Czy i on kiedyś, wyrósłszy, odejdzie bardzo daleko od starej ciotki i nawet głowy nie obróci, aby się do niej uśmiechnąć?

Te moje słabe już dziś ramiona niańczyły go, gdy był małeńki, te ręce głaskały go po włoskach i po buzi okrągłej... Szylałam dla niego pierwsze w życiu spodenki... tak, tak! Pamiętam, jakby to było wczoraj. Zwróciła mi uwagę pani Klimaszewska, że Marek wyrósł, że takiemu czteroletniemu kawalerowi nie wypada w sukienkach chodzić...

Poszłam więc i nabrałam dla Marcuszka koricu granatowego na spodenki.

Dałaby mi Adalcia za to „nabrałam“! Ona nie cierpi, gdy tak mówię, uważa, że to wyrażenie prostackie, ale już ja w tych latach swego języka nie przerobię. Jakem się nauczyła mówić, tak mówię. Pięćdziesiątki dożyłam, a nikt

mi nie zarzuci, żeby z moich ust kiedy słowo nieprzyzwoite wyszło. A że się nie tak poprawnie, jakby Adalcia chciała, wyrażam — to już trudno. Mnie nikt nie tylko „*parle franse*“, ale nawet gramatyki polskiej nie uczył. Tyle co w kilku klasach nauki łyknełam i potem douczałam się, gdy chłopcy do szkół chodzić zaczęli.

Ale o czym to ja zaczęłam? Oj, źle, panno Justyno, źle! Pamięć zawodzi, a myśli po głowie kołują... Uszyłam więc Markowi pierwsze spodenki... Trzeba go było widzieć, jaki był dumny. Paradował z miną poważną i co chwila kurteczkę zadzierał, żeby pokazać, że ma przy nowych spodenkach guziki prawdziwe rogowe, takie same jak Staś...

Potem, to już Markowi, jak innym dzieciom, szwaczka szyla. Ale te pierwsze mam do dzisiaj w kufrze schowane i — wstyd się przyznać — ale gdy mię czasem smutek ogarnie, albo wspomnienia opadną jak baki — sięgam do tego kufra, Markowe spodenki wyjmę, popatrzę... Nieraz lży mi się w oczach zakręca. Zaraz mi w oczach staje jak żywy, jaki był wtedy. Z jasnymi włoskami, co dokoła twarzyczki zwijały się w loki, z tymi swoimi oczami, które mi zawsze Antolkę na pamięć przywodzą, z tym dołeczkiem na bródce i buzią okrągłą, jak jabłuszko rumianą.

Teraz już Marek inny, ale do Antosi jeszcze bardziej podobny, niż dawniej. Czasem jak głowę nagle z nad książki, czy jakiego rysunku

podniesie, a na mnie spojrz — myślę sobie: W Imię Ojca i Syna! Czyżby Antosia z grobu powstała?

Otóż co do Marcuszka ani rusz wyobrazić sobie nie mogę, czym będzie kiedyś w przyszłości, gdy już dorośnie. I Tomka widzę dobrze, i Adelfię i Stasia, a Marka — nie.

W żaden sposób wystawić sobie nie mogę, jaki będzie Marcuszek, kiedy mu wąsy wyrosną, lub kiedy się ożeni... I gdy tak próżno w myślach wyobrażam sobie jego postać wysoką (on powinien przerosnąć nawet Stasia) — to mi się często przypomina ów dzień, gdy Marek wołał, zanosząc się od płaczu:

— Będę wielkim malarzem, albo umrę! Zobaczycie, że umrę...

I już mi się ten przyszył Marek w oczach rozwiewa jak mgła, jak jaki cień, jak mara...

A niech Bóg broni, co ja dziś wypisuję! Że się też starej głowy podobne myśli czepiają! Starzeję się, widocznie starzeję się z dniem każdym, z godziny na godzinę! Tfu! Nafty pół litra wypaliłam, żeby takie głupstwa po głowie chodzić zaczęły! Dość tego. Jutro Walerka zaczyna wielkie pranie, Stasiową bieliznę mam jeszcze przerachować i osobno odłożyć, bo — kto wie? a nuż mi powie zrana, że z Warszawy wyjeżdża za parę dni... Z tym chłopakiem trzeba być zawsze w pogotowiu. Ciekawam tylko, czy Teofil będzie do końca cicho i czy słowa na te projekty Stasiowe nie pisać?

Masz więc, Antolko twoje pisklęta: wychuchałam je, wykarmiłam, dreptałam koło nich szesnaście blisko lat... Teraz Tomasz już pełnoletni, osobno mieszka, po kawalersku. To pierwszy. Staś tylko patrzeć, jak z domu wyfrunie. To już drugi. Adelfia także nie od tego, żeby na własną rękę życie jak najprędzej rozpocząć.

Zostaje Marek. Ale czy na długo jeszcze? Bóg jeden wie...

1919 r.

25 marca.

Spoglądałam na ten zeszyt jakby obcymi oczami, jakbym go pierwszy raz dopiero dzisiaj ujrzała. I ręką odrętwiałą kartkę po kartce przekładam, też jakby cudzą ręką, nie własną.

Żebym chociaż umiała myśli wszystkie polapać i mocno związać, by się znów nie rozbiegły, żeby zwykłymi słowami dały się jakoś ogarnąć, objąć, w porządku pójść szeregiem, dzień po dniu godzina po godzinie — wszystkie co do jednej jak następowały po sobie...

Antolko moja, siostruniu kochana, ty jedna z nieba patrząc lepiej widziałas, lepiej wiesz wszystko, niż ja... To może mi wybaczysz, że nie mogłam niczemu zaradzić, nic więcej zrobić, nic.

Rok temu, równo rok, w rocznicę śmierci Antolki, zaczęłam pisać ten dzienniczek. Tak, tak... pamiętam. Było to po powrocie z cmentarza. Tak mię opadły wspomnienia, że do dawnego wróciłam zwyczaju: spisywania wszystkiego, co na myśl przyjdzie. Bo jakoś wtedy lżej; myśli uspakajają się, serce przycicha... Tylko mi wtedy — rok temu — do głowy nie przyszło, co się stać może... co się już stało... i nigdy nie odmieni...

O mój Marcze, moje ty kochanie najmilsze, moje ty dzieciątko złote, jedyne, najlepsze! Gdybym ja wówczas przewidzieć mogła, przeczuć, nie puściłabym cię na krok od siebie, siłą uczepiłabym się twoich ramionek, wczytywałabym się w każdą myśl twoją... Prosta jestem kobieta, mówić pięknie nie umiem, ale już z pewnością znalazłabym jakieś słowa, któreby cię wzruszyły i powstrzymały... I nie odszedłbyś ode mnie w daleki świat i byłbyś dotąd przy mnie...

Tyle miesięcy minęło, a ja żyję tak w odrętwieniu i nawet wierzyć nie mogę, że to już prawda nieodwołalna, że tak się stało, że go na zawsze utraciłam...

Jezu miłosierny! Gdybym przeczuła wtedy!... Siedział przy stole, na zwykłym miejscu i jadł bułeczkę z masłem... Czy ja mogłam nawet przypuścić, że go widzę ostatni raz? Taki był sobie zwyczajny, taką miał minę, jak codzień... I może tylko bułeczkę jadł trochę wolniej... Na drobne kawałki ją kruszył i patrzył w talerz, albo przed siebie...

Ale on często tak siedział zamyślony i wszyscyśmy do tego przywykli.

A potem wstał i poszedł prosto do swego pokoju. Teraz, gdy tyle czasu minęło, gdy już wiem wszystko — gdy sobie każdą chwilę przypominam — widzę każdy jego ruch i każde spojrzenie... Po podwieczorku pocałował mię w rękę, jak zawsze. Nawet nie uściskałam go

serdecznie, byłam na niego jeszcze trochę zła, troszeczkę... I chciałam, żeby wiedział, że się na niego gniewam.

A on poszedł do swego pokoju pisać list do mnie. Właśnie ten list. A ja nic nie wiedziałam, nic nie przeczułam. A gdy wróciłam z miasta o siódmej — już go nie było...

Z początku nie wiedzieliśmy nic, nie domyślaliśmy się nawet. Teofil pobiegł na policję, że może się Markowi co stało. A on był wtedy daleko... Jechał pociągiem, jechał skulony pod ławką, przecież nawet pieniędzy nie miał tyle, żeby za bilet zapłacić.

Przez cztery dni tośmy chodzili wszyscy jak nieprzytomni... I Teofil i Tomek (Stas wtedy już był na froncie) biegali po wszystkich urządach, dowiadawali się, agentów rozესtali.. Nic, nic. Jak kamień w wodę! A potem przyszedł z poczty ten list. Że ja wtedy od razu trupem nie padłam... Ale mię radość ogarnęła, głupia radość, że jednakże nie przepadł, że jest, że żyje, choć w takim strasznym niebezpieczeństwie! Właśnie Teofil wrócił do domu, a w chwilę później Tomek nadszedł z Adelką. A ja siedziałam jak nieprzytomna, śmiałam się i płakałam.

— Co cioci — zawołał Tomek i trząsł mię za ramiona — co cioci znowu? A może ciocia wiadomość jaką dostała? To niechże nas ciocia nie męczy i prędko powie...

Ale głosu wydobyć nie mogłam. Tylko mu pokazałam oczami list, co na stole leżał. Rzucili się do czytania, jedno drugiemu przez ramię... Adelka zaczęła pierwsza wołać:

— Zuch z tego Marka! Bohater! To on do Lwowa uciekł! No, no i cóż wy na to?

A potem, w chwilę potem zaczęli się kłócić na dobre. Jak ich tylko strach o Marka odleciał, dogadywali sobie wzajemnie. Adelka ujęła się za Markiem, że dobrze zrobił, bo tam we Lwowie każde ręce teraz potrzebne. Teofil krzychał: „Co to za ręce! Karabinu nawet nie utrzymają!” A wtedy Adelka już prosto na Tomasza nasiała: że wstyd, że hańba, że Marek honor domu ratuje, za takich braci, co pieniądze robią, zamiast ojczyzny bronić...

(Straszna się ostatnimi czasy zrobiła patriotka z Adelki!)

I tak się może godzinę żarli o Marka, a ja tymczasem zabrałam list i wyszłam z tego pokoju, bo już nie mogłam z nimi dłużej wytrzymać. Wiedziałam tylko jedno, że Marek żyje, że jest w tej chwili we Lwowie, że może głodny, a już na pewno zziębnięty. Na świecie była plucha straszna, taka grudniowa plucha, co to i deszcz ze śniegiem i wiatr prościutko w oczy, przejmujący kości...

Usiadłam sobie w kąciку przy lampie i znów czytałam ten list. Przeczytałam go wtedy może dwadzieścia razy... może sto.. czy to się da

policzyć? Czytałam go dopóty, aż się każdziutka literka wbiła w pamięć:

„Ciociu najdroższa — pisał Mareczek — ciocia na pewno będzie się martwić i gniewać na mnie — i to mię bardzo boli. Ale ja inaczej nie mogę. Ja już sobie dawno postanowiłem, że pójdę bronić Lwowa, nawet mówiłem o tym... — pamięta ciocia? — ale ciocia na mnie krzyknęła... Więc już wolałem nie mówić więcej nic, boby ciocia nie zrozumiała i powiedziała ojcu... A ja nie mogę siedzieć w domu i słuchać — i w gazetach czytać, że tam się biją dzieci... chłopcy, dziewczynki, daleko młodsze ode mnie. Ja już nie jestem takim dzieckiem, za jakie wy wszyscy w domu mnie uważacie. Ja jestem zdrow i silny i wyglądam na 17 lat, więc takiego na pewno przyjmą. Mówił mi jeden kolega, że przyjmą, byleby się z Warszawy wydostać i jak najbliżej Lwowa dojechać. Więc ja dziś, już niedługo, wyjadę. A ten list to ja dopiero z drogi wysłę, boby mnie ciocia mogła odzyskać na dworcu, a jakby ciocia zaczęła płakać, to jabym tego nie zniósł. Chciałem ciocię jakoś serdecznie pożegnać, ale nie mogłem, bo ciocia by zaraz poznała. Niech ciocia ojcu powie ode mnie, żeby mię nie sprowadzał siłą, bo i tak nie wrócę za nic, dopóki Lwowa nie odbierzemy Ukraińcom. A i potem pewnie także nie wrócę, bo do szkoły już będę za stary i musiałbym zostać w tej samej klasie, a ja już ciocie nie raz mówiłem, że z mojej szkoły nic nie bę-

dzie. Niech ciocia rysunki wszystkie razem schowa dobrze? I niech, ciocia wybaczy mi, że jej zmartwienie sprawilem. Później znowu do ciocie napiszę, bo ja ciocię ogromnie kocham i na pewno będzie mi tęskno. Ojca niech ciocia ode mnie pożegna i Adelcię i Tomka. Ze Stasiem to się może gdzie spotkamy na wojnie. Bardzo ciocię kochający i przywiązany

Marek.

P.S. Tego floweru od ciocie Amelki nie wziąłem ze sobą, bo mi tam dadzą prawdziwy karabin i naboje i wszystko”.

Tak, tak... Dali mu prawdziwy karabin. O mój mocny Boże, że też on wtedy dojechał do tego Lwowa, że go nikt nie zapytał, ile naprawdę ma lat... Że go nikt nie odesłał do domu, do szkoły, do mnie...

Ale wtedy myślałam o tym, że mu zimno, że na pewno zaziębi się, że kataru dostanie, albo znowu z tym gardłem... I nie mogłam słuchać, jak wiatr o szyby tłucze, jak krople deszczu dzwonią... Zdawało mi się, że wszystek ten deszcz i śnieg pada na Marka, na nikogo w świecie, tylko na niego. I myślałam wciąż w kółko: „jak mu tam zimno biedakowi... jak mu tam zimno...”

I prawie złość czułam do Adelki, że z Marka robi bohatera. Potrzebny to komu taki bohater, co nawet szesnastu lat jeszcze nie skończył? Dzieciuch i tyle. Już tego chyba żadna

ojczyzna nie wymaga, żeby dzieciaki szły na wojnę, prościutko w śmierć...

A wczoraj właśnie były Markowe urodziny. Wyciągnęłam ten dziennik z szuflady... O, mój Boże...

30 marca.

Zupełnie teraz do niczego jestem. Po domu się niby krzątam, jak dawniej, na Walerkę krzyknąć potrafię, gdy trzeba—ale to tylko z przyzwyczajenia, z nawyku...

Codziennie sprawdzam, czy kurze pościerane, czy Walerka pod szafami wymiotła, albo narzekam, że mięso znów zdrożało. Wzdycham, że ciężkie czasy, wydziwiam—a w myślach ramionami wzruszę i mówię sobie:

— Zdrożało? No to co? Jeszcze bardziej zdrożeje, a Teofil pieniędzy doda i będzie obiad jak codzień.

Nic to mię, prawdę mówiąc, nie obchodzi. Był czas, że się martwiłam każdą szklanką stłuczoną, każdym groszem wydanym niepotrzebnie. Złościły mnie pomysły Adelki, ta kawa poobiednia, te kosztowne, niepraktyczne meble...

A teraz nic. Chodzę po domu jak obca. Jakby to nie był ten sam dom, nasz dom — mój przecie także... Chodzę i patrzę, co się w nim dzieje, nibyto wszystko widzę, słyszę i wiem—ale tak, jakbym przez sen słyszała.

Naprzykład powiada do mnie któregoś dnia Adelka:

— Co się tej Walerce stało, że cały obiad przesoliła? Gdyby miała z ćwierć wieku mniej, powiedziałabym, że się kocha... Niech jej ciocia powie, moja ciociu, żeby na przyszłość pokoszowała zupy, zanim ją na stół poda.

— Dobrze — mówię — powiem jej, a najlepiej soli z puszki usypię. Jak będzie miała mniej, to nie wrzuci tyle do garnka...

A w duchu myślę sobie:

— Gdyby nawet obiadu wcale nie było, też by się dziura w niebie nie stała. Nikt od tego nie umarł, że zjadł za słońcą pieczeń raz koło Wielkiej Nocy...

I prawie żał mi Adelci, że takimi głupstwami głowę sobie zaprzęta.

Albo znowu niedawno, kiedy mi doniesiono, że Klimaszewska umarła! Kiedy indziej spłakałabym się, bo zacna była dusza, choć trochę pyskata i lubiła ploteczki. To teraz ani jednej łzy nie uroniłam, mówiąc sobie tak:

— Stara kobieta, trzech mężów zdrowo przeżyła! Dosyć nakołatała się po ziemi. Już na świecie tak urządzone, że w każdej minucie, w każdej sekundzie ktoś umrzeć musi. Lepiej, że taki stary grat, niż młode życie czyje przepadło.

I zaraz pomyślałam sobie o Marku...

A jak tylko zacznę myśleć o Marku, to mi każda robota z rąk leci. Siadę sobie w kącie na sofie, nie płaczę już, nie wzdycham—nawet

niezawsze pacierz mówię, tylko patrzę w okno. Niebo tam za nim błękitne albo szare, albo z chmurkami małąnkimi, co to w nich Marek baranków się dopatrywał, albo niedźwiedzi białych, albo stada łabędzi. Patrzę na ten czubek akacji, co w zeszłym roku ledwo do połowy szyby dostawał, a teraz wyżej sięga, o, wyżej... Na wiosnę był zielony, w zimie czasem od śniegu białą, a teraz znowy zazieleni się wkrótce. Wszystko było i jest i będzie, tylko już Marek nigdy nie powie, że bociany wiosnę na skrzydłach przynoszą i dlatego tak równo płyną po niebie, by jej za wcześniej na ziemię nie upuścić...

Czego on nie wyplatał, ten mój chłopczyzna biedny! Nieraz mię lęk ogarniał, gdy słuchałam tych bredni. Trochę śmiałam się z niego, a trochę nawet groziłam:

— Jeśli ty wszystko inaczej widzisz niż my, to jak ty się będziesz na świecie obracał pomiędzy ludźmi? Kto cię usłucha i zrozumie?

A Marek na to:

— Jak zechcę, żeby mnie zrozumieli, to namaluję obraz. Tam będzie wszystko: że na ziemi jest wiosna i słońce i że deszcz pada i że kwiaty o zmroku najinocniej pachną...

Mój Boże! Niechby mu chociaż teraz kwiaty pachniały nad tą mogiłką szarą, gdzie jest taki samiutki...

A on jeżeli bał się czego, to właśnie samot-

ności nocy! Kiedy był małym dzieckiem, za nic nie poszedł do ciemnego pokoju. Jak go Adelka wstydziła, że widać nieczyste ma sumienie, skoro się boi ciemności, to składał ręce, trząsł się i płakał i szeptał mi do ucha:

— Ja mam sumienie czyste, proszę cioci! Tylko tam, w najciemniejszym kącie, stoi śmierć.

— Co też ty pleciesz, Mareczku! Skąd znowu śmierć!

— A tak! — powtórzył z przekonaniem i aż pobladł. — Tam stoi śmierć i wyśmiewa się ze mnie... Mówi, że niepotrzebnie uciekam... Bo ona wszędzie mnie znajdzie, nawet w jasny dzień, nawet w słońcu na dworze...

I znalazła go: w pełnym słońcu grudniowym, na dworcu, którego właśnie bronił, w tym obcym Lwowie, gdzie poginęło tyle dzieci... I nic się nie bał... nic! Nie płakał, nie wołał, tak jak inni: „mamo! mamo!”... Może dlatego że matki nie znał wcale?

Ale na tej kartce, którą przy nim znaleźli i którą mi kolega jego, Józio, przywiózł później, — było wyraźnie napisane, że czasem jednak się boi:

.....tylko czasami, ciociu i tylko w nocy, bo wtedy słyszę głuchy szum wiatru i świstanie karabinowych kul i nie wiem, z której strony śmierć przyjdzie... Czy mię chwyci za rękę, czy oplecie szyję tak mocno, aż zdławi? Wtedy się trochę boję i nie mogę zupełnie zasnąć

i wyczekuję ranka. Ale gdy dzień zaświta, a jeszcze słońce zabłyśnie, to już jestem prawdziwym żołnierzem i nikt na świecie nie powie, że tchórz..."

Tak pisał Marek. I pewno właśnie naza-jutrz słońce zabłysło i on wyszedł przed dom, na rozłożoną ulicę, podniósł ku górze swoją zmęczoną twarzyczkę, może się nawet uśmiechnął...

Wtedy to, wtedy podbiegła ku niemu śmierć. Maleńka była, schowana w szarej kulce z ołowiu, więc jej nawet nie spostrzegł. Nie przy-czaiła się podstępnie w cieniu, nie podpełzła z boku ukradkiem. Zobaczyła to dziecko w pełnym słońcu stojące i nie zmyliła drogi: trafiła prosto w serce.

Opowiadał ten kolega ten Józio, że Marek stał przez chwilę i ciągle się uśmiechał. Potem dopiero nagle zbieła na twarzy, podniósł lewą rękę ku piersi (w prawej ciągle trzymał karabin) i upadł w tył, na bruk.

Nie byłam tam, a wszystko widzę i wiem. Widzę, jak te długie rzęsy Markowe zatrzepotały, ukazując, to znów chowając jego ostatnie spojrzenie i słyszę, o, jak dobrze słyszę te ostatnie cichutkie słowa, gdy go przybiegli ratować:

— To nic...

Co chciałeś powiedzieć Marcinku? Że już nie boli? Że nie boisz się już niczego? Że nie żałujesz życia? Coś ty pomyślał w tej jednej

chwili, takiej króciutkiej, a może dłuższej niż całe twoje istnienie? Czy pamiętałeś o nas, o domu, o mojej strasznej rozpacz? Może chciałeś ułagodzić mój ból i do mnie tak zdaleka szepnąłeś: „to nic, ciociu, to przejdzie... to przeszło...”

Teraz rozumiem dobrze, dlaczego nigdy nie mogłam sobie wyobrazić, jaki ty będziesz, gdy już dorośniesz. Bo ty nigdy nie będziesz dorosły Marku. Stajesz mi przed oczami co raz inny, uśmiechasz się i płaczesz... Masz roczek, dwa, masz siedem lat i dziesięć i piętnaście... Dwoisz się, troisz w mych oczach, widzę twoją buzię maleńką na wysokości stołu, widzę twoje kolanka pełne sińców, twoje ręce powalane niebieskim atramentem... Słyszę, jak skrzypi twoje krzesło, kiedy rysujesz, pochylony nisko nad arkuszem papieru... Jesteś maleńki, to znów duży, wyrastasz z ubrań swoich tak prędko, że aż się prawie gniewam... Chodzisz po domu w białej sukience, to znowu w bluzie uczniowskiej, zawsze trochę wyszarżanej i zaw sze za kusej... Ale nigdy, nigdy nie przejdiesz po za granicę swego dzieciństwa...

Kilka dni temu, ubierając kwiatami portrecik zrobiony z ostatniej fotografii, powiedziałam Walerce:

— Marek dziś skończył szesnaście lat.

A to nieprawda. Nigdy ich, nigdy nie skończy. Przyjdzie rocznica jedna, druga, dziesiąta... Adelka, Tomek i Staś będą mówili:

— W tym roku Marek zdawałby maturę.
Lub też:

— Dziś Marek byłby już pełnoletni..
Lub może (kto to wie?):

— Teraz Marek z pewnością byłby już wielkim malarzem...

■ A tymczasem on już nigdy matury nie zda, nigdy nie będzie sławnym malarzem, ani choćby zwykłym dorosłym człowiekiem, takim jak Tomasz například... Zostanie zawsze ten sam smukły i wąty, najdroższy sercu chłopczyna, z dziecinnymi oczami, w których od urodzenia mieszkala jego wczesna śmierć...

2 kwietnia.

Wczoraj nakrywając do stołu, postawiłam znów sześć talerzy. To mi się jeszcze przytrafia. Adelka, która szyla pod oknem, spojrzala na mnie jakoś dziwnie, ale nie powiedziała ani słowa. Dopiero Tomek, wszedłszy do jadalni, zapytał:

— Co to? Prima Aprilis? Ciocia nam niespodziankę szykuje?

Popatrzyłam na niego nie rozumiejąc.

— Kogo się ciocia dzisiaj spodziewa? Kto będzie na obiedzie?

— Kto będzie? — odparłam — przecież ty, ojciec, Adelcia...

I nagle zauważyłam te dwa nakrycia zbytuczne. Zebrałam je czym prędzej, a ręce mi się trzęsły...

— Ciocia to też... — mruknął Tomek i odwrócił głowę ku oknu.

Adelka nagle odłożyła robotę i — wybuchając płaczem, rzuciła mi się na szyję.

Pocziwa ta Adelcia, ale mi się wciąż zdaje, że ona bardzo prędko zupełnie o Marku zapomni. Nie dlatego, żeby go nie kochała, tylko poprostu, że młoda. A młodość ma swoje prawa, rwie się do życia, od smutku jak najdalej ucieka.

Ot, w pierwszej chwili, jak przyszła ta okropna wieść... Nawet myśli zebrać nie mogłam. Z pół godziny musiałam cucić Adelkę, która zemdlala i leżała na kanapie jak martwa. Kiedy nareszcie, nawachawszy się amoniaku, octu i czego tam nie miałam pod ręką — otworzyła oczy, zaczęła strasznie płakać i lamentować.

— Marku! Marku! — krzyczała, zanosząc się od płaczu. — To niemożliwe! Ja tego nie przeżyję! Zabili go! To niemożliwe! O Boże!

I szlochała tak i gadała na pół przytomnie do wieczora. A potem usnęła ze zmęczenia, z wyczerpania i spała twardo jak kamień. Rozebrałam ją, nakryłam kołdrą — nie obudziła się przez całą noc.

Nazajutrz znowu płakała prawie bez przerwy i śniadania wcale nie tknęła. Przy obiedzie łyknęła już coś nie coś, a potem umyla oczy zimną wodą i poszła do krawcowej obstawiać załobę. I już po powrocie do domu

więcej tą robotą była zajęta, niż biednym Markiem...

Ja jej tego za złe nie biorę, broń Boże. Młoda jest, a zresztą trudno wiecznie tylko płakać i płakać. W duchu to nawet rada byłam, że znalazła sobie zajęcie: a to jak będzie lepiej, czy dół krepą oszyć, czy zostawić spodniczkę gładką, a krepę tylko przy mankietach i przy kołnierzu?

Ze trzy dni tak biegła: to do miary, to po kapelusz, to znowu stare sukienki do farby oddawać... Spieszyła się ze wszystkim, bo nadchodziły święta i sklepy mieli zamykać w wilię o szóstej...

Mój Boże, co to były za święta. Na wieczór nikt nawet nie spojrział, zresztą wieczory jakby nie było: tylko śledź i kapusta z grzybami, której trochę Stasiowi odegrzałam, bo właśnie z frontu o dziesiątej przyjechał, na parę dni urlop mu dali. Przesiedzieliśmy cały wieczór rozmawiając półgłosem o Marku. Ale co chwila serca nam się ścisnęły z żalu i jakieś słowo niedomówione więzło w gardle. Staś się dopiero w domu o śmierci Marka dowiedział. W pierwszej chwili, kiedy mu powiedziała Adelka, że Mareczek nie żyje — stanął jak wryty i dopiero po jakimś czasie cichym głosem zapytał:

— Gdzie? Kiedy?

— W sam dzień moich imienin. Szesnastego grudnia. Zbląkana jakaś kula trafiła go

wprost w serce. Bo nawet wtedy żadnej bitwy nie było... — wyrecytowała Adelka jednym tchem.

— Czy to już pewna wiadomość? — ozwał się Staś po chwili. — Bo czasami...

Ale wtedy mieliśmy już jego niedokończony list i czapkę i promień włosów, które ten zacy Józio — niechaj mu Bóg da zdrowie — uciął Markowi, zanim go do ziemi złożyli...

3 kwietnia.

Nie mogę dłużej pisać o tym. Nie mogę jeszcze wspominać inaczej, jak w myślach... Zraz mi się oczy mgłą i już liter nie widzę...

Przez cały czas pobytu Staś był dla mnie taki, jak nigdy przed tym. Nawet nie spodziewałam się, że on potrafi mówić tak łagodnie, tak pieśczośliwie, jak wtedy do mnie mówił. Zwykle wieczorem Teofil i Adelfia wcześniej szli spać, a my siedzieliśmy we dwoje w jadalni, albo w dawnym pokoju chłopców, gdzie teraz stoi tylko Marka łóżeczko i wszystko, wszystko, co było jego własnością.

Nie zawsze rozmawialiśmy o nim. Staś dużo opowiadał o swoim życiu obecnym, o koleżkach, o wojnie, o polityce. Nie mogłam się w duchu nadziwić, skąd on wie tyle rzeczy, o których w gazetach mało piszą, a czasem ani słowa. Mówił mi wtedy, że odbierzemy wszystkie nasze ziemie i stare polskie miasta. Że tak się musi stać, bo to jest sprawiedliwość

losu i konieczność dziejowa. Że Polska będzie znowu wielka i silna, ale na to potrzeba jeszcze dużo czasu i dużo, dużo krwi...

I wtedy mówił także jak Adelcia — że Marek zginął bohatersko i że jest naszą chlubą. Tylko Staś to mówił jakoś inaczej i tak tłumaczył:

— Bo widzi ciocia, dla mnie Marek to był mój brat, mój kochany, mały braciszek — i dlatego serce mnie boli, że zginął. Ale ten mały Mareczek, ten bezimienny żołnierz, zginął w obronie naszej ziemi. To nie było jego rodzinne miasto, to było miasto naszej odczyny. I ten mały chłopiec pokazał setkom tysięcy starszych, dorosłych ludzi, że ojczyzna — to nie tylko dach nad głową i chleb — że ojczyzna to także poświęcenie i śmierć. On złożył na ołtarzu ofiarnym nie pieniądze — nie siły i mózg — ale coś stokroć droższego: własne życie. Jeśli Lwów pozostanie nasz — to Marka dzieło. Jego i takich jak on, którzy zginęli. Ta śmierć tysięcy dzieci nie może być daremną ofiarą. I dlatego serce rośnie mi z dumy: Marek, nasz Marek okupił swoim życiem życie tych, którzy przyjdą po nim wprowadzać w Polskę spokój i ład.

Tak mi to Staś wykladał i oczy mu błyszczały. Patrząc na niego myślałam sobie wtedy: Jaki to piękny chłopiec i jaką piękną ma duszę... Cieszyłaby się Antolka, że tak wyrósł jej syn!

I nie mogłam wytrzymać. Porwałam w obie ręce tę jasną, śliczną głowę, przytuliłam do siebie mocno, z całych sił, a łzy mi z oczu kapły wielkie jak groch.

I proszę. Nie wrywał się, nie sarkał, jak to on zawsze: „dałaby ciocia spokój”! albo: „czyste utrapienie z tymi babami! Każda ma oczy na mokrym miejscu”! Aż się zdumiałam: delikatnie, ostrożnie wysunął się z mych ramion, wziął mnie za ręce i głaszcząc je powiedział:

— Niech ciocia już nie płacze... Będzie za to Polska... Będzie Polska wielka, wspaniała, kwitnąca... I to my ją stworzymy, ciociu! My...

5 kwietnia.

I znowu się spłakałam, pisząc i powiedziałam sobie: dość. Naprawdę miałby Staś rację, gdyby mię zburzał, jak to on czasem potrafi. A zresztą — Boże mój! tego co przeszło, łzami nie przywrócę, Marka nie wskrzeszę — a tylko sobie i innym życie powolutku zatruwam.

Już nie tylko Adelcia, ale nawet i Teofil powiedział mi:

— Justynka marnie jakoś wygląda. Niech Justynka więcej zwraca na siebie uwagi, bo zachoruje i nowa bieda gotowa.

Ano, prawda. Nie daj Boże, abym jeszcze swoją osobą kłopotu przysporzyć miała komu. I tak ich dość dokoła. Powiedziałam więc sobie dziś rano Stasiowymi słowami: „Trzeba się

w kupę wziąć". Postanowiłam smutnych wspomnień unikać, ale cóż! ledwo się z jakim frasunkiem uporam, przychodzi drugi — i tak wciąż bezustanku.

Teraz—nową mam troskę i to nie bylejaką. Aż mi się trudno z tem oswoić.

Było tak:

Poszłam po obiedzie na miasto, książkę dla Adelci odmienić, bo trochę zakatarzona w domu siedzi i narzeka, że jej się nudzi. Zachodzę do czytelnii: — tłok, że niech ręka Boska broni. Kilka panienek co tę czytelnię obsługują, skacze po drabinach jak wiewiórki i tylko z wysoka pokrzykują:

— Nie ma! W czytaniu! w czytaniu!

Stanęłam sobie z boku, że może to tylko tak chwilowo: przyszli i wyjdą, a ja ten drugi tom powieści dla Adelki jakoś zdobędę. Aż nagle patrzę—tuż tuż przede mną jakaś znajoma twarz. Przyglądam się uważnie... przyglądam — nikt inny, tylko ta Łuczakowa, Janinki matka.

Że jej nie odrazu poznałam, to nic dziwnego. Ależ się kobiecisko zmieniło! Zgarbiona, żółkła na twarzy, nogami prawie powłóczy... Chorowała biedaczka, czy co? Więc się do niej przepycham i wprost za ramię ciągnę:

— Dzień dobry pani! Góra z górą się nie spotka, a człowiek z człowiekiem zawsze...

Przywitała się ze mną i zaraz chciała umknąć, ale ja zatrzymałam, bo mi przyszło

na myśl, żeby się przy okazji o Janinkę wypytać i wymiarkować jak tam sercowe sprawy Tomka stoją.

Więc też pytam prosto z mostu:

— Co też słysząc u pani? Córeczka zdrowa?

Dopiero ta jak się zachnie!

— Gdzie tam ona zdrowa! Od wczesnej wiosny choruje i choruje wciąż...

— Oooo... — mówię. — To dopiero bieda! A cóż takiego? Pewnie „hiszpanka”?

(Bo to właśnie nową chorobę niedawno wymyślili i tak ją pięknie nazwali doktorzy. W gazetach nawet wypisują, ile osób w ciągu tygodnia na hiszpankę zapada, umiera i do zdrowia powraca!)

Pani Łuczakowa spojrzała na mnie takim jakimś bolesnym wzrokiem, że aż zadrżałam.

„Czy aby ona nie dowiedziała się — myślę sobie—kto ja jestem? Bo może ta Janinka wypaplała o Tomku, a matka, choć niesłusznie, do mnie ma w sercu urazę...”

Ale jak brnąć, to brnąć. Pytam więc dalej

— Pewnie nowe zmartwienie ma pani z córką?

— Zmartwienie? — powtórzyła, jakby nie rozumiejąc — a mam zmartwienie, mam... Jeszcze się widać Panu Bogu spodobało większe nieszczęścia na moją głowę zesłać, niż te, co już przeżyłam...

I tak, bez żadnego przejścia, odrazu:

— A temu, co Janince tyle krzywdy uczy-

nił, to niech Bóg nie pamięta, bo ja już na niego słów nie mam, jaki on jest...

Teraz się pode mną nogi ugięły. Że o kim ona mówi? O Tomku, czy też o tamtym pierwszym?

Pytam więc znów ostrożnie:

— O tym pani wspomina, co to się żenić obiecywał!

— Obiecywał... A właśnie, obiecywał! Tyle naobiecywał, aż Janinka mało dwa razy z życiem się nie rozstała tej zimy...

Widzę, że kobietę łzy dławią i zaraz płaczem wybuchnie. Więcem ją pociągnęła trochę na bok ku oknu, gdzie było jakoś puściej. Posadziłam ją na ławeczce:

— Niechże mi pani powie, co się stało? Bo mi ogromnie córki pani żal...

— Stało się, że ją rzucił ten hycel. A rzucił, jak już w szóstym miesiącu chodziła... Poprościu poszedł sobie i więcej już się u niej nie pokazał... To ona wtedy za jodynę i trula się...

Boże miłosierny! Nie wiedziałam, czy śnie, czy naprawdę słyszę to wszystko mymi własnymi uszami. A pani Łuczakowa, która jest skora do zwierzeń, jak się rozculi nad swą biedą, bo mi już przedtem tyle naopowiadała o córce, ciągnęła teraz dalej sama bez zachęty:

— ...Ledwie ją tam wyratowali w szpitalu... Potem już ją do domu zabrałam, nie sprzeciwiała się... I zaraz domyśliłam się wszystkiego... Bo nawet już i znać było po niej... Próbowałam wy-

badać, kto taki... Ale Janinka za nic!... Już ona taka jest harda od maleńkości.

„Poco to mamie wiedzieć — mówi — jak się nazywa? Poszedł sobie i już... Mama go szukać nie będzie, a zresztą jabym mamie nie dała. Sama sobie winna jestem, żem głupia, że mu wierzyłam... A najgorsze to to, że ja go naprawdę kochałam...”

I aż głową o ścianę tłukła, proszę pani, wszystko z rozpaczcy po nim...

„Już niechby się był nie żenił — mówiła mi. — Czy ja go do ołtarza ciągnęłam?... Sam obiecywał... Jeszcze pierwszej, zanim co było między nami... Mówił tylko, że mu teraz warunki nie pozwalają, że za młody, że musi pierwszej stanowisko sobie wyrobić...”

Umilkła Łuczakowa i głową pokiwała żałośnie.

A ja milczałam także. Bo i co miałam mówić? Razem z nią biadać? Na tego hycła wygadywać? A przecież ten hycel to mój Tomek... Ot, doczekałam się... Było co słyszeć, było! Łuczakowa już nic swojej Janince nie przygania, a tylko wszystko na Tomka zwała. A mnie się w głowie całkiem zmaciło od tego opowiadania, myślałam, że już końca nie będzie.

— Wie pani — ciągnęła znów po jakimś czasie — że ona nigdy jego imienia nie wymówi. Ni-gdy! W połoгу była, od zmysłów odchodziła z bólu, potem w gorączce leżała ze dwa

tygodnie, ale o tamtym ani słowa. Tak się zacięła... Więc jak się ten synek urodził..

— Synek?

— A jakże. Śliczny chłopaczek, mówię pani. Od pierwszej chwili wyglądał niby jaka laleczka. Nic a nic nie był czerwony, jak to małe dzieci zwyczajnie... I włoski miał od razu gęste, ciemne, a buźkę jak prawdziwy aniołek... I dziwnie ciche dziecko... Więc jak się ten synek urodził, pomyślałam sobie: może teraz Janka ojca wspomni... Spytałam więc umyślnie od niechcenia, jakby go ochrzcić:

A ona głowę odwróciła do ściany i mówi:

— Którego dzisiaj mamy?

— Szóstego marca.

— To niech mama zobaczy w kalendarzu, jaki święty na dziś wypada.

Było napisane: Kolety. Więc powiadam Janince.

— Pogańskie jakieś imię. Nie wiem nawet czy kobiece, czy męskie.

— To niech mama w następnym dniu przeczyta.

Przeczytałam: Tomasza. Pomyślała chwilkę, a potem:

— Może od pierwszego zobaczyć? Coś się przecież wynajdzie...

Zaczęłam od początku miesiąca:

— Albina... Heleny... Kunegundy... Kazimierza...

Skinęła ręką, że niechaj będzie Kazimierz...

I tak się nic nie dowiedziałam, nawet wtedy... Teraz już Kazio ochrzczony i ciągle, chwalić Boga, zdrow... A ona jeszcze leży... Właśnie tu po nową książkę dla niej zaszłam, bo Janinka wciąż czyta, a czyta... Już pani chyba mówiłam, że ona wykształcenie ma... a jakże! Był czas, że się matki trochę wstydziła przed ludźmi, z racji tego mojego prasowania. Teraz się już nie wstydzi...

Ucichła wreszcie i ręką spracowaną po tych swoich wyblakłych oczach przetarła. Zapytałam ją jeszcze, czy zawsze w tym samym domu mieszka?

— A gdzieżby? Teraz nikt się z miejsca nie rusza, chyba że go sądownie wyrzucą. Gdzie kto siedział, tam siedzi...

Pożegnałam Łuczakową i poszłam. O książce dla Adelki zapomniałam na śmierć. W głowie mi wprost huczało jak we młynie. Więc to tak, Tomku, to tak?

Dzisiaj go nie widziałam i jutro pewnie także na obiad nie przyjdzie, bo znów do Łodzi miał jechać. To i dobrze. Wolałabym go teraz nie widzieć, bo sama nie wiem, jakbym na niego spojrzała.

6 kwietnia.

Całą noc oka nie zmrużyłam, myślałam ciągle o Tomaszu i o tym malutkim, o Kaziu.

Ale o malutkim daleko więcej. To mię straszliwa litość brała nad biedactwem, które

nazwiska ojcowskiego nosić nie będzie, to znowu rady sobie dać nie mogłam z ciekawości, jaki on jest: czy rzeczywiście taki ładny, czy do Tomka podobny, czy może do tej Janinki? I ona przecież niczego dziewczyna. Bardzo nawet przystojna. Oho, jeszcze zeszłej wiosny, pamiętam, przycinała Adelcia Tomkowi, że sobie „szykowną pannicę” skądś wytrzasnął i po cukierniach się z nią afiszuje.

Tomasz jej wtedy odburknął, jak to on umie:

— Nie ty mi będziesz kazania prawić. Lepsza taka „pannica” od niejednej, co to w domu rączki w małdrzyk i buzia w ciup, a do kina z facetami chodzi, po dwa seanse w ciemnościach przesiaduje!

Myślałam, że go wtedy Adelka pobije, bo aż z pięściami przyskoczyła:

— Tak? Tak? To ty mi teraz będziesz ubliżał, że do kina z przyjaciółką i jej bratem poszłam we środę? Papcio mi sam dał na bilet! Wiesz teraz?

— Brata nie zauważyłem, a ta przyjaciółka miała niczego wąsik! — zaśmiał się Tomasz. — Jeżeli ojciec o tym wiedział, tu mi włośy wyrosną!

I postukał się palcem po dłoni.

Adelka umilkła na chwilę, a później powiedziała złośliwym tonem:

— Uważaj lepiej, braciszku, żeby się ojciec nie połapał, dla kogo ty kupujesz jedwabne

damskie pończochy! Bo pewno nie dla swego pryncypała, he?

— A, ty jaszczurko! — rzucił się Tomasz — To ty i szpiegować potrafisz? Pilnuj, żeby twoje własne sprawy nie wyszły na jaw przed „papciem”, bo dopiero miałabyś koncert! A do moich prywatnych spraw nosa nie wtrącaj. Zrozumiano?

— Gbur! łobuz! birbant! spekulant! — krzyczała jeszcze, ale wyszedł i drzwi za sobą zatrzaskał.

Często się kłócili z Tomaszem, często sobie dogadywali, ale nie zwracałam na to uwagi. Dopiero, jakem sama wpadła na trop tej Łuczakówny, zaczęło mi w głowie świtać, że Adelka coś wie... może wszystko? A w każdym razie więcej ode mnie.

Już ona do tego ma spryt od dziecka. Wszystko zawsze wywacha, wyszpera, a później z najniewinniejszą minką potrafi dopieć do żywego.

Im dłużej patrzę na Adelkę, (a teraz mam sposobność, bo w domu więcej przesiaduje, z racji żaloby) — tym jaśniej widzę, że ja jej wcale nie znam. Przy obcych jest inna i w domu inna. Napozór miła, układna, ale niechaj ją kto zaczepi! Umie przemówić takim językiem, że nawet chłopcy baranieją.

Ale to tylko w domu, gdy nikt obcy nie słyszy. Lubi też, gdy ją chwala, żadnej uwagi nie przyjmie, a jaka skryta!

Ja na nią wpływu nie mam, bo cóż ja jestem? Stara ciotka, głupia zapewne jej zdaniem, zacofana, niewykształcona... Jeżeli, słuchając co jej mówię, ramionami nie wzrusza, to dlatego, że ma pretensję do dobrych manier i w domu się zaprawia na pannę „kom il fo”.

W zeszłym roku dostała bzika z tą francuszczyzną. A teraz znowu, już trzeci miesiąc, uczy się angielskiego języka. Poco jej to, chciałabym wiedzieć? Teofil na wszystkie kaprysy Adelki przez palce patrzy, więc i tę angielszczyznę wyprosiła sobie bez wielkiego zachodu. A ile to musi kosztować! Ale nie moja rzecz, więc siedzę cicho.

Przychodzi teraz dwa razy w tygodniu wysoki drab, chudy jak szczapa, z ogromnymi zębiskami, które mu na wierzch wyłażą. Adelka twierdzi, że jest właśnie ogromnie „rasowy”. Niech i tak będzie. Przez całą godzinę belkoczą oboje na zmianę, ale więcej Adelka, bo on tylko powtarza „jes” i uśmiecha się, pokazując te wstrętne zęby. A ona jest w siódmym niebie. Kręci głową, mruga oczami, pochyla się i pakuje mu pod sam nos swoje wypiełgnowane rączki. Manikurę ma bez zarzutu, to trzeba przyznać. Ale ja jedna wiem, ile ona godzin poświęca na szlifowanie paznokci!

Przechodząc przez pokój, (bo Adelcia nie lubi, gdy siedzę podczas lekcji, mówi, że to jej uwagę rozrywa) — widzę dobrze te mane-

wry, te miny i to, że Anglik coraz beczelniej się uśmiecha, powtarzając swoje „o, jes”.

Jakoś mi niezręcznie iść do Teofila i przyznać się, że sama nie poradzę: „Niechno Teofil zwróci córce uwagę, że przy tych lekcjach więcej zabawy, niż nauki”. Pewnoby mnie ofuknął, że głupstwami sobie i jemu głowę zawracam. Zresztą — jestem jak w rogu. Adelka powiedziała kiedyś, że się uczy metodą Berlica, więc może to już taka metoda?

Teraz przecież wszystko jest inne. Ot, młodzież! To co dla nas było niedozwolone, gorszące — to dla nich żarty, zabawa. Inaczej ubierają się, inaczej rozmawiają, śmieją się, tańczą i nawet sprzecząją między sobą. Są niaby szczerzy i mówią „prosto z mostu” co myślą, — a mnie się wciąż wydaje, że ten ich brak obłudy, to maska papierowa na twarzy... Dreszcz mi czasem po krzyżu przejdzie, gdy pomyślę, co się za taką maseczką ukrywa.

A już chyba ze wszystkiego najgorsze, że Adelka naprawdę na ładną pannę wyrasta. Ot, nie myślałam, że będę z tym miała strapienie. Dawniej, gdy była dzieckiem, nie przyszło mi jakoś do głowy zastanowić się, czy jej twarz ma w sobie coś szczególnego. Widziałam, że usta, nos i oczy na swoim miejscu, nogi i plecy, chwalić Boga, proste—i tyle.

Dopiero, jak mi sama zaczęła prawić o sobie, a przymilać się, a rozpytywać:

— Niech ciocia powie, jaki ja mam nos? Czy aby nie za krótki? Czy z garbkiem byłby ładniejszy? Czy ciocia woli greckie nosy, czy rzymskie?

Chodziła jeszcze wtedy na pensję, miała mundurek i wyglądała—na mój gust—całkiem zwyczajnie: palce, jak to się zdarza w tym wieku—nieraz w atramencie, nogi trochę za długie, jak zwykle u podlotka, włosy przeważnie mocno splecione w warkocz, żeby się nie plątały.

Powiedziałam:

— Ja się na greckich nosach nie znam, moja Adelciu, a twój niczym specjalnym oka nie razi, Ot, nos jak nos.

— Dobrze—odparła, nieco widać dotknięta—ale są przecież nosy ładne i brzydkie. Czy ciocia nigdy nie spostrzegła, że ja mam ojca oczy, a mamy nos, a włosy, to już nie wiem po kim, bo mamy przecież nie pamiętam, a papcio teraz łysy... Czy ciocia nie uważa, że usta mam podobne do Tomka, nawet ładniejsze... Czy ciocia tego nie uważa?

— Uważam, moje dziecko, że się zanadto troszczysz o swój wygląd, a to źle...

— Dlaczego źle?

— Bo to jest próżność. Uroda nie od nas zależy, Bóg ją nam zesłał i możemy tylko Jemu dziękować, jeśli nas nie doświadczył szpetotą, albo kalectwem.

— To też ja Bogu ogromnie wdzięczna je-

stem, że mi nie dał tatusinego nosa, a matczy-nych oczu—tylko odwrotnie. Zabawna ciocia ze swymi moralami! Czy to jest próżność, że na siebie krytycznie patrzę i widzę, jak wyglądam? Pewnie, wolę być ładna, niż brzydka. Każdy to zresztą woli, a kobieta, któraby powiedziała, że jej wszystko jedno, jaką ma twarz—jest hipokrytką, albo poprostu... kłamie.

No i gadaj tu z taką smarkatą! Coś jeszcze dorzuciłam, ale czułam sama, że to wygląda, jak wyuczona lekcja i że Adelka w duchu kpi sobie z moich słów.

Ale od tego czasu zaczęłam jej się bacznie przyglądać, a potem już mię inne rzeczy naprowadziły na myśl, że Adelka rzeczywiście ogromnie wyładniała.

Bywało — idziemy razem ulicą. Jeden, drugi mężczyzna uważnie nam się przypatruje. Pewnie, że nie mnie, że nie mojej staromodnej salopie!... Raz nawet usłyszałam, jak któryś z przechodniów powiedział głośno do towarzysza:

— Popatrz! Ta mała wcale niczego!

A drugi zaraz coś po francusku dorzucił.

Zerknęłam na Adelkę: uśmiechnęła się niby do siebie, ale kącikiem oka gonila za tamtymi, którzy właśnie na rogu skęcili.

Miała wtedy piętnaście lat. Teraz ma blisko ośmnaście i bardzo dużo pewności siebie. Już mię nie wypytuje, czy ma nos foremny, lub ładnie wykrojone usta. Sama najlepiej wie,

w czym jej do twarzy, a o swoich „złośliwych” oczach i białych rączkach musiała się nieraz komplementów nasłuchać; wiem przecież, co gadają mężczyźni. Alboż mnie samej, przed laty, nie mówiono podobnych bredni?

Tylko, że wtedy, za *moich* czasów, pocałowanie młodej dziewczyny w rękę równało się oświadczeniom. A teraz? każdy gołowás bez namysłu „cmok” pannę w łapkę, w salonie, przy ludziach. A co robią po kątach, kiedy ich nikt nie śledzi?

Nie, o tym wolę nawet nie myśleć. To źle. Z pewnością zbyt surowo sądzę czasem Adelcię i mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Ona na pewno nie jest taka zła i zepsuta, jak różne inne kobiety, o których tyle się teraz słyszy wokoło... A że się lubi pobawić, poflirtować, choćby z tym swoim „profesorem”... Młoda przecież! A jeszcze teraz kiedy na tańce, ani do teatru nie chodzi z powodu Marka...

Ot, rozmyślałam całą noc, co począć z Tomkiem, a teraz rozpisuję się o Adelci. Ja tak zawsze. Zacznę o jednym, a skończę o drugim... Nic tylko starość i basta!

8 kwietnia.

Tomek wrócił dziś rano i przyszedł na obiad, jak zwykle, jak gdyby nigdy nic.

„Jak gdyby nigdy nic”—dobra sobie jestem! przecież on dawno to wiedział, co ja wiem teraz, dopiero od trzech dni. I śmiech powiedzieć:

to *ja* mam głupią minę, nie on! To *ja* się czuję przy nim dziwnie jakoś nieswojo.

Patrzę na niego i ciągle myślę w kółko:

— Czy on się chociaż domyśla, że ja wiem wszystko? Nie byłby taki spokojny, nie miałby takiej zadowolonej miny, takiej pewności siebie... Nie gadałby tak z ojcem o interesach...

Ot, brednie plotę. Był przecież taki **sam** tydzień temu—i miesiąc! Siedział tu, przy tym stole i przechwalał się między jedną a drugą łyżką zupy, że lepszej „kepele” ojciec by ze świecą nie znalazł!

A może w takiej właśnie chwili, przed miśnięciem, Janinka...

Coś się dziwnego stało ze mną. Chwilami doznaję uczucia, że teraz ta Łuczakówna, ta obca dziewczyna, do której miałam złość w sercu, że chłopakowi w drogę wlała — jest mi bardzo bliska, bliższa nawet niż Tomek. Myślę o niej, patrząc na niego, a kiedy Tomasz tak się wesoło śmieje, wyobrażam sobie, ile ona wylała gorzkich łez i pewnie ciągle jeszcze wylewa...

Biedna dziewczyna. Bo i cóż?... Zbłądziła, prawda. Ale i tamci nie bez winy. Popchnął ją na złe drogi jeden. Drugi, którego pokochała, rzucił poprostu i koniec. A ona może i naprawdę kochała Tomka? A teraz cierpi.

Najgorsze to, że się nie mogę opanować. Widocznie łatwo z mojej twarzy wyczytać

wszystko, jak z nut, bo nagle pod koniec obiadu Tomasz znienacka zapytał:

— Co mi się ciocia tak dziś przygląda? Czy mi broda wyrosła przez te trzy dni, czy mam siniaka pod okiem?

— Siniaka nie masz, Tomku — odparłam, zacinając się jakoś po każdym słowie. — Ale może i wyglądasz trochę inaczej, niż zwykle...

— Wyglądam, jak człowiek bogatszy o trzy tysiące marek — zaśmiał się Tomasz z zadowoleniem i zatarł ręce. — Zrobiłem dobry gieszeft. Ale ciocia się na tym nie zna...

To i prawda. Nie znam się na tych jego gieszeftach. Nic nie rozumiem, jak z Teofilem rozmawia o kursach giełdowych, o jakiejś walucie, o cenach kortu, o tym, że cukier jeszcze podskoczy, a marka znowu spadła...

Ale dziś przy obiedzie, kiedy mi tak powiedział: „Ciocia się na tym nie zna” — stanęła mi w oczach jedna chwila z niedalekiej przeszłości.

Bo to było właśnie rok temu, jakem go przylapała, że do domu nad ranem wraca. Nie powiedział mi wtedy „ciocia się na tych rzeczach nie zna”, ale śmiejąc się, spytał:

— Czy ciocia nie pamięta, ile ja mam lat? ...że to już niby oddawna przestał być małym Tomeczkiem, którego się strofuje...

Tak, tak... Mój Boże. Wtedy, mi było bardzo przykro, ale wtedy, pomimo wszystko, wtedy jeszcze on był dla mnie moim kocha-

nym, małym Tomeczkiem, który czasem odpowie trochę szorstko, trochę niesprawiedliwie, ale przecież nic złego, nic prawdziwie złego, nieuczciwego — nie popełni...

I nagle, pierwszy raz w życiu przyszło mi do głowy: kto wie czy Staś nie miał słuszności, nazywając Tomka paskarzem? Kto wie, czy te jego gieszefty, to jego duże, niepotrzebne mieszkanie, te wyjazdy do Łodzi...

Boże, nie karz mię, że sobie pomyślałam... Bo jeśli ktoś raz potrafił skrzywdzić człowieka, to potrafi innych ludzi nieraz oszukać... A oszukaństwo jest krzywdą... A on Janinkę przecież oszukał także...

Aż mi się w głowie mąci. Tyle mam w sercu goryczy... Gdyby nie to, że po śmierci Marczka wypłakałam chyba wszystkie łzy, płakałabym dzisiaj nad Tomkiem.

Ale to co innego, co innego ten żal...

12 kwietnia.

Widziałam go. Łuczakowa wcale nie przesadziła. Śliczny chłopaczek, a do Tomka jak dwie krople wody podobny.

Może i nie należało tam chodzić. Janinka wprawdzie nie wie, kto jestem i ani się domyśla, że ten jej mały Kazio nie do kogo innego tak się uśmiechał, tylko do swej ciotecznej babki. Ale gdyby zaczęła pytać... Mnie za język pociągnąć nietrudno, mogłam się zdradzić jak nic!

Wtedy nietylko Tomasz miałby do mnie pretensję, że w cudze życie nos wściubiam, ale i Łuczakowa z córką pewnie zatrzasnęłyby drzwi przede mną...

Jednak stało się: poszłam. Przedtem łamałam sobie głowę, jaki wymyślić interes, żeby moja wizyta nie wydała się podejrzana? Dopomogła mi sama Adelcia.

— Nie pamięta ciocia przypadkiem — spytała wczoraj po obiedzie — adresu tej kobiety, która tak ładnie karbowala mi kołnierzyki?

Aż dech straciłam na chwilę. Bo poco ona chce wiedzieć? Ale mówię spokojnie, niby nic:

— Adres? Czeka, może mam zapisany. A naco ci?

— Et, głupstwo. Przypomniało mi się, że warto tę wełnianą spódniczkę splisować. Wcale jeszcze niezła, tylko się fałdy porozchodziły.

— Daj tę spódniczkę — powiedziałam to ci sama jutro załatwię.

— Eee, poco cioci mam kłopot sprawiać. Przejdę się spacerkiem i już...

Ale po minie poznałam, że tylko tak certuje się przez grzeczność, a w duchu rada, że ją pragnę wyręczyć.

Zawinęłam spódniczkę i już — już miałam w dyrdy biec na Żurawia, kiedy nagle przyszło mi na myśl, że o tej porze Kazio na pewno śpi. A tak mi się koniecznie chciało zobaczyć, jakie ma oczki...

Więc dziś dopiero poszłam koło południa.

Jaka to głupia natura ludzka! Czułam, wchodząc po tych kilku schodach, że mi serce młotem w piersiach wali, a na twarz występują wypieki. Wszystko to z niepewności, czy Łuczakową zastanę i ze strachu, żeby się z czym niepotrzebnym nie wyrwać.

Była, na szczęście, w domu. I nawet nie taka zbiedzona, jak wtedy, gdy ją spotkałam w wypożyczalni książek. Przyjęła mię w kuchence, tłumacząc, że dalej nie może prosić, bo właśnie Janinka małego karmi.

— Jakże jej zdrowie? — pytam.

— Ano, Bogu dzięki, już dobrze. Tylko mizerna bardzo. Ale już jej siły wracają i chęć do życia. Nawet chce sobie zajęcia szukać, bo powiada, że jej tego próżnowania wstyd. „Mama — powiada — pracuje od rana do nocy na wszystkich, a ja — powiada — palcem o palec nie stuknę. Ale zobaczy mama — powiada — że jak tylko posadę znajdę, będzie nam lżej... Służącą weźmiemy — powiada — chociażby na przychodnią. Nie dam się mamie tak męczyć”. Czy to nie złote serce? Ej, mówię pani, wyjątkowa dziewczyna! I tak ją zmarnowali...

Tu moja Łuczakowa lży zaczęła ocierać i wzdychać, ale że mi było pilno do Kazia, a nie do jej wyrzekań, więc spytałam z pośpiechem:

— Nie pokaże mi pani wnuka? Zawsze lgnęłam do dzieci, a swoich nie mam... Miło choć na cudze maleństwo popatrzeć...

— Żeby o mnie szło, to całym sercem. Ale nie wiem, co mi Janinka powie. Zawsze, pani rozumie takie dziecko... Pójdę, zapytam. Powiem jej, że znam panią z dawnych czasów, z przed wojny...

Przedreptała do sąsiedniego pokoju, a ja, czekając, zastanawiałam się, dlaczego niby lepsza znajoma z przed wojny i że tym argumentem prędzej skłoni Janinkę do pokazania malego?

Coś tam długo szeptały, przez drzwi przymknięte słyszałam głos Janinki, potem głos starej — i znowu głos Janinki, jakby niechętny:

— ...z mamą to zawsze...

Wreszcie Łuczakowa wsunęła głowę, szepcząc.

— Proszę iść, tylko prędko, bo malutki zawsze po jedzeniu zasypia.

Weszliśmy. Jezu kochany, jak ja znam ten zapach pieluszek—i ciała maleńkiego—i mleka! Okno zasłonięte roletą do połowy, przed piecem na sznurku kaftaniki, koszulki tycie, że myślałbyś -- lalczyne. A w nogach łóżka prosty kosz od bielizny, łubiany kosz—i w nim jak kwiat różowy, pośród poduszek buzia krągłutka, wykrzywiona pocieszenie do śmiechu, czy do płaczu — Bóg raczy wiedzieć...

— Moja córka — mówiła Łuczakowa z namaszczeniem, prezentując Janinkę. — A to jest właśnie Kazio. Prawda, że śliczny chłopak? I jaki duży! Ktoby powiedział, że ten smar-

kacz nie ma skończonych sześciu tygodni! Będzie z niego kiedyś wielki mężczyzna! Wielki mężczyzna! Widział kto takie oczy? Żeby dziecko w tym wieku patrzyło tak rozumnie, co? A ja pani powiadam, on już matkę poznaje i mnie... Teraz trochę chorował na brzusek, to pomizerniał. Ale dziwnie wesołe dziecko! Jeszcze się nie zdarzyło, żeby bez powodu marudził. W nocy też rzadko krzyczy, chyba, że mu się jeść zechce, albo też...

Całe szczęście, że tak plotła bez przerwy. Mogłam jakoś ukryć wzruszenie, mogłam się przyzwyczaić gdzie jestem — i że to nie Tomeczek mruga sennymi ślepkami...

Janinka stała z boku i przyglądała mi się pochmurnie. A ja nic. Przypadłam do kołyski i całowałam piastki maleńkie, głaskałam to ciemiączko, pokryte delikatnym puchem, te atlasowe policzki. Małe, różowe usta otworzyły się, nóżki skurczyły i rozprężyły znowu; Kazio poczerwieniał, krzyknął energicznym głosikiem „uua” — potem żałośniej „uuua — uuuaa...” i nagle uspokoił się: zaczął mi się przyglądać z uwagą, pełen zdumienia i ciekawości.

— Śliczne dziecko! Prześliczne dziecko! Cud! — wołałam takim przejmującym głosem, że twarz Janinki rozpromieniła się raptownie. Miała teraz w oczach samą dobroć i miłość, była prześliczna:

— Naprawdę ładny? Naprawdę uważa pani, że ładny?

— Co to ładny! Nie widziałam takiego dziecka! Jak żyję nie widziałam!—twierdziła Łuczakowa. — Piękny mężczyzna z niego wyrośnie, kobiety będą za nim ginać! On się urodził w czepku ten malec! Pani wie, co to znaczy? Będzie miał szczęście do ludzi... pani rozumie? On się naprawdę w czepku urodził! Mnie pierwszą zawojował, a teraz na kogo tylko spojrzysz... O, niechno pani popatrzy, jak oczkami biega za panią! Bałamut!

Janinka porwała dziecko na ręce:

— Mój Kazio! Moje skarby! Mój synus maleńki! Moje ty wszystko na świecie!...

A mnie ogarnęło rozrzewnienie tak wielkie, że mało się nie rozbeczałam. I nie móc w takiej chwili powiedzieć, że Tomek... że przecież ten maleńki, to prawie jakby mój wnuk!... Janinka, by mię z pewnością pokochała i mogłabym niańczyć małego, wozic po pokoju, czuwać przy nim nocami...

Jużbym do wieczora z nimi została, ale Janinka rzekła stanowczym głosem:

— Teraz mały musi iść spać...

A ja, spojrzawszy na zegar, przeraziłam się. W domu wszyscy czekają na mnie. Co też sobie pomyśla? Prędko pożegnałam Janinkę, ucałowałam Kazia. Pośpiesznie wytłumaczyłam Łuczakowej, co i jak z tą spódniczką Adelki.

Przez szesnaście lat, od chwili, gdy się po śmierci Antoiki sprowadziłam na stałe — nie zdarzyło mi się być w porze obiadowej na

mieście. To oni się często spóźniali. To ja na nich wyczekiwałam z obiadem.

Widać już zupełnie straciłam głowę, bo dla pośpiechu wzięłam na rogu dorożkę. Niechby tak kto zobaczył! Pierwsza Adelka nie uwierzyłaby własnym oczom. Stara drynda tłukła się po bruku z takim hałasem, że chyba wszyscy z okien patrzyli, kto się tak w ciężkich czasach dorożkami rozbija!

Wreszcie dotarłam do domu. Kwadrans po trzeciej. Matko Boska! Jeśli Teofil się gdzie śpieszy, to już chyba Walerka sama obiad wydała!

Na schodach przypomniało mi się, że wychodząc kredens zamknęłam. Pewnie Adelka nie znalazła kluczyków za obrazem w moim pokoju... Naturalnie, wszyscy kończyli zupeł. Teofil, zasłonięty gazetą, nawet na mnie nie spojrział. Tomasz pogroził mi palcem żartobliwie. Jedna Adelka odezwała się zirytowanym głosem:

— Zachodziła tu praczka dwarazy. Plotła o jakichś poszewkach, że zamienili w pralni. Nie wiedziałam o niczym. Na drugi raz, jak ciocia wyjdzie z domu...

Poczem sięgnęła po dzwonek i krzyknęła Walerce, żeby prędzej zmieniła talerze. Przy pieczeniu mruknęła znowu, niby do siebie:

— Właśnie się umówiłam ze znajomymi do Botanicznego ogrodu. Myślałam, że obiad bę-

dzie jak zwykle. I gdzie ciocia siedziała tak długo?

— Odniosłam twoją spódniczkę do plisowania. Będzie gotowa przed świętami.

Tomasz jadł z apetytem, głośno mlaskając. Miałam okropną ochotę powiedzieć mu, tak prosto w oczy:

— Widziałam twego syna. Twego syna. Czy słyszysz?

23 kwietnia.

Chwała Bogu, święta już minęły. Wolalbym o nich całkiem zapomnieć, poprostu położyć się i przespać te długie, bez końca się wlokące dni...

Bo i co to za święta? W domu pusto. Nawet Staś nie przyjechał... Z przyzwyczajenia wzięłam się do porządków w Wielkim Tygodniu, ale cóż, kiedy i porządkować nie ma po czym.

Odkurzyłyśmy z Adelfią meble w salonie, Walerka pomyła okna, zaciągnęła podłogi (choć to też zbyt uczynne: nikt ich teraz nie zadeptuje)—i na tym koniec. We czwartek dla tradycji upiekłam parę placków i babkę, żeby było co podać do śniadania, jak sklepy pozamykają. O prawdziwym święconym nikt słowa nawet nie wspomniał.

A ile to dawniej było pytań, przymilań, próśb!

Staś lubił ciasto z szafranem, a Marek ta-

kiego do ust by nie wziął. Dla Tomasza musiał być przekładaniec. Adelfia znów molestowała o prosiaka:

— Choćby takie prosiątko, takie maluskie, ciociu! I żeby skórka była chrupiąca!

Aha! Dobrze to przed wojną, kiedy człowiek wszystkiego w sklepie dostał, ile sam chciał i nie bolała go głowa, czym zastąpić migdały, albo skąd wziąć rodzenków? Z prosięciem dla Adelci jeszcze pół biedy: Teofil sam pojechał do Kopytowa, czy też Adelka bratu przysłała przez zaufanego człowieka, który pofrącił Niemcom oczy zamydlić i choć po zdziebku zakazanych produktów przesz muglować.

Zato z mazurkami był większy kram! Czego ja nie fabrykowałam! Pamiętam jeden — każdyby przysiągł: migdałowy — z tartej fasoli! Przed wojną pies by na te smakołyki nie spojrział, a moi chłopcy jedli, aż im się uszy trzęsły!

Wszystko było dobre, smaczne, zdrowe i oszczędne — a ciocia Juścia zuch nad zuchyl!

To rozumiem! To były święta! Człowiek przed tym nie dojadł, nie dospał, nogi od drep-tania pobrzękły — ale czego się nie robiło, żeby tej kochanej gromadce dogodzić!

Miałam ich wtedy w domu wszystkich razem, choć parę dni. Jak wypadła pogoda, szliśmy po kościele na „familijny” spacer: Teofil z Tomkiem, Staś z Adelfią, a Mareczek zostawał dla mnie. Bardzo nam było dobrze

z sobą. Marek wciągał powietrze głęboko w nozdrza, a potem mówił:

— Czuje ciocia, jak pachnie zoranym polem?

Czasami czułam asfalt, albo mydliny, lub jeszcze co gorszego, ale nie chciałam mu robić przykrości, więc potakiwałam gorliwie.

Wtedy Marek zadzierał głowę, żeby dojrzeć niebo nad szczytami kamienic i szeptał zachwycony:

— Ziemia także na wiosnę zmartwychwstaje... jak Pan Bóg.

Jeżeli wypadł deszcz, Teofil grał ze starszymi chłopcami w domino, Marek przy oknie rysował żołnierzy, śpiących przed pustym Grobem, Adelfia czytała na głos, a ja chodziłam pośród nich, podsuwając to temu to temu talerzyk pełen ulubionych przysmaków.

Gdy chłopcy byli w wyższych klasach, dom roił się od gości. Szczególnie Stasia koledzy mieli wilcze gardła: ogromne baby nikły w oczach, szynki nie mogłam nastarczyć, raz nawet ktoś napoczął cukrowego baranka.

Ale nikt tak nie lubił świąt Wielkanocnych, jak właśnie Marek. Zwykle przed niedzielą palmową pojawiały się pierwsze kotki na wierzbach. Przynosił skądś całe pęki czerwonych, delikatnych gałązek i z nabożeństwem połykał srebrne kulki, na szczęście i na pomyślność wszystkich.

A później — zaczynała się prawdziwa wio-

sna. Lepkie pąki kasztanów rosły niemal w oczach i pewnego dnia z pod brunatnej łuski wytryskało pięć zdrowych, jędrnych, odrazu dużych liści.

— Jak one to robią — wołał z podziwem Marek. — Nigdy nie mogę zauważyć, kiedy się pączek otwiera...

W tym roku święta wypadły bardzo późno. Kasztany dawno mają liście — a ja nie opatrzyłam się, kiedy minęła pierwsza wiosna. Teraz dopiero wiem, że na wiele rzeczy, których inni ludzie nie widzą, trzeba było patrzeć oczami Marka. Ani Tomasz, ani Adelfia, ani tym bardziej Teofil nie zaprzatają sobie głowy pytaniami, czy w Kopytowiu zakwitły pierwsze narcyzy, albo czy bocianica siedzi na jajach.

To był świat Marka, jego własny, dziwny świat, pełen cudów — i znikł z nim razem.

Dlatego teraz było jeszcze ciszej i pusto. Nawet Tomasz sposepniał, nawet Adelfia chodziła z kąta w kąt osowiała, twierdząc, że tu jest „niemożliwie” i lepiej byłoby spędzić Wielkanoc w Kopytowiu.

— To jedź — rzekł Tomasz — nikt ci przecież nie broni. Ja na takie podróże nie mam czasu.

— Ty nigdy nie masz czasu dla rodziny. Ach! — wybuchnęła nagle — żeby choć Stasia puścili z wojska na ten tydzień!

— *Młodsza siostra brata miała,
Na wojenkę go posłała*—zanucił Tomasz
dość fałszywie.

Ale sam poczuł widać, że niesmaczny miał
koncept, bo nie dośpiewał nawet: „*mija roczek
i półtora*” — umilkł i spuścił głowę.

To było w pierwszy dzień świąt. Na ulicy
cicho, tylko chłopaki od czasu do czasu ciskali
hałaśliwie petardy. Nagle serce ścisnęło mi
się z trwogi, bo tak, jak widzę w tej chwili
własną rękę, maczającą pióro w atramencie,
zobaczyłam w kącie pokoju—Stasia. Stał nie-
ruchomo i patrzył na mnie. Raptem począł się
chwiać na nogach...

Wiem, że to było przywidzenie. Może w
pół minuty, nim odzyskałam mowę, Teofil spy-
tał Tomka:

— Nie pamiętasz, kiedy trzeba wykupić ten
wexsel?

Staś znikł. Tomasz sięgnął po notes i po-
wiedział: „siódmego”. Adelcia nie ruszyła się
z miejsca i ciągle skubała firankę. Lecz była-
bym przysięgła...

Od tej chwili jeszcze częściej myślę o Sta-
siu. Nie mogę sobie wprost dać rady. Żeby
choć list od niego! Nic! Prawda, że Staś wo-
góle rzadko pisuje.

Jutro wpadnę do Łuczakowej. Wynalazłam
dla niej nową robotę. Muszę wpaść, bo mi już
za Kaziem strasznie tęskno. Jak patrzę na to
maleństwo, zapominam o wszystkim, o wszyst-
kim...

Grodno, 10 maja.

Droga Adelciu.

*Jest lepiej—ale było bardzo źle. Z począt-
ku ciągle majaczył, nawet mnie nie pozna-
wał. Teraz niebezpieczeństwo minęło. Jednak
nie trzeba, byś tutaj przyjeżdżała. Jest bar-
dzo rozdrażniony cierpieniem i gorączką; po-
wiada, że i tak dość się na niego napatrzy-
cie. Siedź lepiej w Kopytowie, moje dziecko,
oddychaj dobrym powietrzem. W ostatnich
czasach wyglądałaś mizernie. Jeślibyś wpa-
dła do Warszawy, zajrzyj do szafy z futra-
mi. Zapomniałam Walerce powiedzieć, żeby
je wytrzepała. Do ojca pisuję co dzień krótkie
kartki. Jestem tak skołatana! Dziś w nocy
pierwszy raz zdrzemnęłam się godzinę w fo-
telu. Ciężko nas Bóg doświadcza, ale teraz
nie powinniśmy myśleć o sobie, tylko o tym
biedaku. Módl się za Stasia — i żeby mu
Pan Jezus dał siłę — —*

*Nie mam pojęcia kiedy wrócę do domu.
To przecież będzie zależało od Stasia. Tym-
czasem przytulam Cię do serca, droga Adelciu.*

Twoja kochająca ciotka

Justyna.

12 maja.

Teraz zasnął. Cały ranek znów cierpiał okropnie, jęczał i skarżył się, jak małe dziecko. Powtarzał, że go rwie noga—ta noga, której nie ma.

Narzekał, że od kolana do stopy ma ciężką, rozżarzoną kłodę, że mu palce drętwieją. Czyżby znowu zapomniał? Przecież boli go już teraz tylko rana po tym co nie istnieje. Ale nie mogę się z tymi skargami oswoić, zawsze truchleję z obawy, że może znowu wraca gorączka, że Staś majaczy.

Dziś minął tydzień od operacji. Tydzień, jak przyjechałam. Czas leci. A przecież pierwsze dni nie miały końca! Każdy składał się z 24 godzin jednakowo bolesnych, bez chwili odpoczynku, bez zmrużenia powiek.

Najgorzej majaczył ósmego — w sam dzień swoich imienin. Ciągłe powtarzał, że musi koniecznie wstać z łóżka i ruszyć w drogę, bo ma daleki, długi marsz przed sobą. Trzymałam go za ręce, mówiłam mu, powtarzałam bez końca:

— Stasiu! Tak nie można! Trzeba leżeć spokojnie... Doktorzy przykazali...

Patrzył na mnie oczami nieprzytomnymi:

— Jacy doktorzy? Ja sam wiem, jak było! Panie pułkowniku, wzięliśmy Wilno! Kto powiedział, że to szalone palki? Celemu świata pokażemy, jak się walczy o swoją ziemię...

Potem się trochę uspokoił, ale pod wieczór widać gorączka się podniosła, bo krzyczał na cały głos:

— Jutro wkraczamy do miasta! Gdzie mój koń? Jędek, hultaju, wyczyść mi buty na glanc! Musimy im pokazać, że polskie wojsko, to nie dziady... Chłopcy, śpiewajcie: *Jedzie ułan lasem...*

Chwyciłam za rękę doktora, który właśnie wszedł:

— Dlaczego on tak krzyczy? I nie pozna-
je nikogo, nawet mnie!

— Wszystko być może — odparł lekarz.

Dopiero nazajutrz, gdy Stasiowi gorączka spadła, zrozumiałam te straszne słowa. Doktor zatarł ręce z zadowoleniem i szepnął mi:

— Niech pani Bogu dziękuje. Mogło być gorzej. Teraz już jest uratowany.

— Co? Co jeszcze być mogło? Przecież chyba ta straszna operacja...

— Mogła być gangrena i śmierć — rzekł doktor bez ogródki.

Staś leżał jak nie żywy, nieruchomy i bledy kilka godzin. Na czole wystąpiły kropelki potu. Obudził się już dobrze po południu i szepnął bardzo cicho:

— Pić.

Potem otworzył szerzej oczy, spojrzał na mnie:

— To ciocia?

— Ja, kochanie! Ja jestem przy tobie. Zaraz dostaniesz pić, mój ty najdroższy! Bogu Najwyższemu dzięki, że mię nareszcie poznałeś!

Wodził za mną wzrokiem, gdy się krzątałam, poprawiając kołdrę na łóżku ostrożnie, lekko aby go nie urazić. Nagle spytał:

— Ciociu? Gdzie my jesteśmy?

— W szpitalu, Stasiu. W Grodnie.

— W Grodnie?

Myślał chwilę, jakby z wysiłkiem zbierał wspomnienia.

— W Grodnie? — powtórzył.

I raptem chwycił mię za rękę:

— Ciociu... niech ciocia powie... prędko! Co było z moją nogą?

— Z twoją nogą, kochanie? Wiesz przecie dobrze... Strzelił do ciebie z za węgła bolszewik jeden, jakeście wjeżdżali do Wilna...

— ...jakeśmy wjeżdżali do Wilna... tak...

Odetchnął jakby z ulgą:

— Tak, pamiętam. Potem tu mię przywieźli. Noga bardzo bolała. Więc ja wciąż jestem w Grodnie? A co dziś mamy, ciociu?

— Co mamy?

— Jaki dzień?

— Piątek.

— Piątek?

— Wczoraj był dzień twoich imienin. Ale miałeś gorączkę...

— Wczoraj był ósmy maja?

— Tak, Stasiu. Leżałeś bardzo chory i nieprzytomny, kiedy tu przyjechałam. Ale dziś, z łaski Boga...

— Ósmy maja... ósmy... — powtarzał i coś w myśli rachował... Potem znów zapytał:

— A ciocia dawno przyjechała?

— W poniedziałek, Stasiu. Jak tylko dali znać, że ty...

Spojrzał na mnie uważnie i nagle, głosem tak przejmującym, że mało nie upuściłam szklanki z herbatą:

— Ciociu!... Ale wtedy... Ale mnie nogi nie obcięli? Ciociu?!

— Skądżeby, Stasiu! Cóż znowu!

Uspokoił się, przymknął oczy...

— Bo ja się bałem, że... Ale to niemożliwe! Z takiego głupiego postrzału... Tylko mi noga puchła i puchła w kolanie... I ten ból! Musieli źle opatrzyć na prędce, tam, w Wilnie... Bandaże mi się w drodze obsunęły...

— Nie mów tak dużo, najmilszy. Jeszcze sobie zaszкодżisz...

— Nie. Teraz, kiedy już lepiej... Ale ciocia nie kłamie? Ciociu! Ja mam obydwie nogi całe?

— Złoto moje, uspokój się...

— Zresztą — szepnął — ona wciąż boli. Bardzo boli. Żeby mi jej nie miał, nie bolałaby przecie...

Łzy mię dławiły, potakiwałam tylko w milczeniu, chowając twarz od światła. Miłosierdzie boskie, że on, leżąc na wznak, nie może tego zobaczyć. Bo przecież, pod tą cienką kołdrą... I ta pustka, ta okropna pustka tam, za kolanem, po prawej stronie...

Widać się zmęczył rozmową, bo znowu usnął i już spał do wieczora. Lekarz zajrzał, jak zwykle o ósmej, ale szepnął mi tylko:

— Niech śpi. To lepiej. Opatrunek zrobimy rano. A i pani radzę trochę odpocząć. Przy chorym siostra posiedzi. Nie można swoich sił przeceniać... Ja nawet nie rozumiem, skąd pani tyle ich bierze.

Skąd ja je biorę? To prawda... Cztery dni — i jedna noc w wagonie! Żebym choć na moment oczy zmrużyła... Ale tego nikt nie rozumie, kto takich chwil nie przeżył.

Wtedy jednak po raz pierwszy usnęłam. Spałam pewnie z godzinę, nie więcej. Nagle — budzę się, ale to tak, jakby mię ktoś za ramię chwycił i potrząsnął: zrywam się — patrzę, a tu Staś siedzi na łóżku. Oczy szeroko otwarte, pięści zaciśnięte na kołdrze. Jezus Maryja! przeraziłam się, jak chyba nigdy w życiu:

— Co tobie Stasiu? Boli cię co?

A on nic. Patrzy i patrzy przed siebie. Pomyślałam: czyżby gorączka? Może znowu stracił przytomność?

— Dlaczego siedzisz, Stasiu? Wiesz przecie...

Pozwolił się ułożyć bez słów. Ciągłe milczał i patrzył gdzieś poza mnie. Siadłam tuż przy łóżku, odgarnęłam mu włosy z czoła, były zupełnie mokre. Dopiero wtedy odezwał się:

— Ciocia skłamała. Nie mam nogi. Nie mam nogi!... Nie mam nogi!...

Powtarzał tak bez końca ciągle to samo zdanie. Była to nie mowa, ale prawie jęk. Nagle krzyknął:

— Dlaczego to zrobili? Trzeba było mię dobić! Czemu ciocia kłamała? Teraz i tak wiem prawdę! Było mię zostawić w spokoju... Przyszłoby zakażenie i śmierć. Możeby już dziś nie żył! Ja nie chcę żyć... ja nie chcę żyć!...

Jezu, Jezu! Mareczek zginał od kuli, trafiony w serce. Myślałam, że już nic straszniejszego w życiu spotkać mię nie może. A to było straszniejsze. To było jak śmierć, która się z miejsca nie rusza: ani odchodzi, ani podbiegnie prędzej, żeby zadławić do ostatka. Ta jedna noc starczyłby mogła chyba za wszelkie grzechy, odkupiłaby wszystkie winy, jakie tylko od przysięcia na świat...

Po krzykach rozpacz, buntu i po bluźnierstwach — w jakiejś wreszcie godzinie przyszła ulga. Bóg nieskończenie miłosierny łzami przysłonił Stasiowe oczy i pozwolił mu płakać. Szlochał już nie jak małe dziecko — dziecku zabrakłoby wkońcu łez i usnęłoby cicho, zmerdowane. Szlochał jak mężczyzna, który walczy z cierpieniem, póki go nie zwycięży. Kobiety

często płaczą: ich płacz jest albo cichy, albo krzykliwy i kończy się otarciem zapuchniętych powiek, westchnieniem, albo nawet uśmiechem. A to był straszny, śmiertelny płacz, po którym człowiek — jeżeli go przetrzyma — rodzi się z inną duszą.

Płakaliśmy, trzymając się w objęciach mocno, ze wszystkich sił. Poduszka była mokra od łez, zmieszanych razem. Wreszcie za oknem zaczęło się przejaśniać, — wstawał dzień nowy, okrutnie jakiś ciepły i słoneczny. Staś zwolnił uścisk swoich rąk. Opadły bezsilnie jak rzeczy martwe. Podobne były do ramion krzyża, obalonego przez nawałnicę w białą zaspę pościeli.

15 maja.

Mam teraz dużo czasu — mogłabym pisać i pisać. Ale o czym?

Dni przechodzą powoli, wloką się niby jednostajnie, a każdy przynosi nowy ból. Nazajutrz po tej okropnej nocy, zmęczony w dodatku opatrunkiem, Staś był jeszcze bardziej milczący, chociaż nie spał. Zaczęłam list do Adelci. Chciałam z początku opisać wszystko po kolei — co tu przeżywam, patrząc na mojego biedaka, lecz jakoś nie szło. To dziwne, jak ja nie umiem pisać listów. Nim zasiądę do pisania, wydaje mi się, że czasu i papieru nie starczy na wypowiedzenie wszystkiego, a ledwie pióro umoczę i zacznę: „Kochana Adelciu”, albo „Kochany Teofilu” — raptem czuję, że mam zupełną pustkę w głowie.

I już z najwyższym wysiłkiem sklecę kilka najpotrzebniejszych zdań, byle czym prędzej dobrać do końca i móc wreszcie napisać: „Ścisłkam was serdecznie, kochająca was ciotka — Justyna”.

Co innego z tym moim dzienniczkiem. Co raz częściej mi się wydaje, że gdyby nie to przyzwyczajenie, zapisywania najdrobniejszych czasem szczegółów — chybabym oszalała z tęskoty. A tak, piszę — a każde wspomnienie zapisane jest jak łza, co spłynęła z oczu i już do nich nie wróci.

Bo na przykład teraz. Od tylu dni życie jest poprostu strasznym koszmarem, a każde słowo, jak ostry nóż, rozkrwawia tę niezaschniętą i wiecznie żywą ranę.

Wiem już teraz, że Staś na pewno będzie żył, że wyzdrowieje wkrótce; ale mię białe strach ogarnia na myśl o pierwszej chwili, kiedy stanie wreszcie na nogach! O Jezul! Nie na nogach. Na nodze... Na swojej jedynej nodze przejdzie o kuli przez pokój...

On, który biegał najzwinniej, nikomu się nie dał prześcignąć, skakał przez rowy jak żreback! Mój biedny Staś, który mawiał ze śmiechem, że nie potrzebuje własnego auta, roweru, ani nawet wierzchowca, bo zawsze i wszędzie, dokąd tylko zapragnie, zaniosą go własne nogi, najlepszy, nieużyty mechanizm, czerpiący siłę nie z węgla czy benzyny — ale z jego własnej istoty...

Otóż się popsuł ten mechanizm! W najradośniejszej chwili, kiedy z dumą na czołe i promiennymi oczami wjeżdżał do zdobytego miasta, jakiś straceniec strzelił do przechodzących szeregów. Może jeszcze tego samego dnia zginął—ale przed tym wystrzelił, wystrzelił ostatni swój ładunek do polskiego żołnierza. I tym żołnierzem właśnie musiał być Staś...

Patrząc teraz na niego, na tę twarz tak zmienioną i usiłując odgadnąć: o czym on myśli? Czy wspomina, jak było, czy może męczy się, co potem będzie?

Bo on się ciągle męczy, a ból przy opatrunkach jest głupstwem wobec tej drugiej rany.

Na pozór uspokoił się i jakby zobojętniał wobec swojego nieszczęścia. Nie mówi o nim, nie wyrzeka. Ale każde, najprostsze słowo ma w sobie gorycz trującą. Wspomniałam mu na przykład przed kilku dniami, że Adelka chętnieby przyjechała.

— Po co? — rzekł — Nie potrzeba.

— Zawsze przecież, Stasiu, to twoja siostra... Chce cię zobaczyć, uściskać...

— Niech siedzi w Kopytowie — odparł Staś — niech sobie gra w tenisa. Ona tak lubi grać w tenisa. Mnie tu nic po niej...

I zaraz umilkł, jakby go zabolęła ta pewność, że mimo wszystko Adelka *może grać w tenisa*, a on...

Probuje rozerwać go trochę, zająć uwagę czytaniem. Dziś przyniosłam z miasta świeży

numer gazety. Cóż, kiedy po kilku zdaniach spostrzegłam, że go każda wiadomość ze świata rozdrażnia. A jak na złość, każdy artykuł jeżył się poprostu od takich słów: „przemarsze wojsk...”, „przekroczenie budżetu”, nawet ceny, i te znowu „skoczyły”...

— Wszystko chodzi, biega i skacze—ozwał się Staś — To nudne w końcu.

I obrócił głowę do ściany.

Czasem myślę z żalem, że dla nas obojga byłoby lepiej, gdyby się wyskarżył przede mną, ponarzekał na swoją niedolę... pomarudził trochę, jak każdy chory. Ale może ja mam inną naturę, a on zupełnie inną. Tylko że z tego milczenia siada na duszę ciężka mgła. I żyjąc blisko, nie widzimy się wzajemnie, jak ludzie, których przegradza mur.

16 maja.

Wczoraj przynieśli ten list. Obce pismo, kragłe, równiutkie litery, jak paciorki nawleczone na nitkę. Stempel pocztowy z jakiegoś prowincjonalnego miasteczka.

Gdybym była wiedziała!

Chociaż nie. Może tak stało się lepiej. Pierwszy raz od dawna poczułam, że na prawdę jestem Stasiowi potrzebna.

Było to o zachodzie. Nie spał, więc podeszłam do łóżka:

— Stasiu, masz list od kogoś. Ale to nieznajome pismo.

Wyciągnął rękę i długo obracał kopertę na wszystkie strony. Jak gdyby się namyślał, czy ją rozerwać. Wreszcie powiedział:

— Tu za ciemno. Trzeba poczekać, aż zapala światło. Albo zresztą, niech ciocia pojdzie do okna...

Zawahał się:

— ...i głośno list przeczyta...

Otworzyła kopertę. Czytała słowo po słowie, datę u góry i nazwę miejscowości. Staś leżał z przymkniętymi oczami.

— „Druhu Stachu!”...

Podniósł cokolwiek głowę i znowu opadł na poduszki.

— Niech ciocia czyta dalej. Wiem, od kogo ten list.

Czytała:

— „Druhu Stachu! Już dwa tygodnie dawno minęło, jak Druha zostawiłam w L... I jestem bardzo niespokojna. Dlaczego Druh nie pisze? Czy to ładnie obiecać solennie i nie dotrzymać? Nawet nie wiem, jak się Druhowi dalsza droga powiodła. Czy w pociągu nie było za tłoczno? Czy Druh mógł biedną nogę oprzeć wygodnie? Zadałam tyle pytań, a nie wiem nawet, jak ten list dojdzie do rąk Druha... Może już zdrowszy i dalej — do domu pojechał? Zła teraz jestem na siebie, strasznie zła, że nie zapisałam adresu... Kto wie kiedy i gdzie się znowu spotkamy? Ja tutaj posiedzę jeszcze z 10

dni. Niech Druh napisze koniecznie, koniecznie! Choć kilka słów! Potem wyruszę z domu, nie wiem jeszcze dokąd, ale pewnie daleko.

Ale na jesieni postaram się przyjechać do Warszawy na nasz zjazd. To wtedy chyba już się na pewno zobaczymy. Adres mój ten sam, co w zeszłym roku, chociaż się pewnie zatrzymam u stryja, bo po co miejsce zabierać koleżankom, jeżeli mam gdzie przenocować!

Ze mną nic nowego. Pracy dużo, a pomysłów na przyszłość jeszcze więcej. Przy widzeniu się wszystko opowiem szczegółowo. Tylko nie krytykować, bardzo Druhu Stachu, bo ja przecież od niedawna pracuję i nawet to Druh nazwał mnie „beniaminkiem”? Wciąż nic dziwnego, że taki „beniaminek” mało ma doświadczenia w pracy i niejedno dobrze pomyśli, a wykona nie tak... W każdym razie z naszych harcerek mogę już teraz być dumna. A może Druh kiedy przyjedzie to sam zobaczy... Tę naszą ostatnią podróż często wspominam. Chociaż biednego Druha bardzo noga bolała ale miał gęstą minę... I tak się dobrze rozmawiało! Kiedy ja znów Druhowi opowiem wszystko, wszystko, co się zebrało w mózgu, w sercu i — na wątrobie? Ale proszę być lepszym i odpisać natychmiast. Ja przecież drugi list wysyłam, a takiej umowy nie było, Druhu Stachu? Tym-

czasem serdeczny uścisk dłoni i nasze harcerskie „czołem!” przesyła

Druhna Jagienka.

Już się zupełnie ściemniło i z trudem doczytałam ostatnie zdania. Staś milczał, a ja nie śmiałam o nic pytać. Po długim dopiero czasie ozwałam się nieśmiało:

— Zaczyna jakaś dziewczyna...

Poruszył się, oparł na lokciach i siadł:

— Ciociu, tam w stoliku musi być mój portfel skórzany. Niech ciocia mi da ten portfel.

Był portfel. Wziął go z moich rąk i długo szperał w przegródkach. Wreszcie wydobył małą fotografię, jakich się do pasportu używa. Podał mi ją:

— To właśnie ona.

Ze skrawka sztywnego papieru uśmiechała się buzia krągła, bardzo dziecinna, w kapeluszu skautowskim trochę zsuniętym z czoła. Dobrze, jasne oczy patrzyły prosto przed siebie. W rogu widniał podpis drobnym maczkiem, cokolwiek zamazany, jakby skreślony w pośpiechu:

*Dzielnemu Druhowi Stachowi na pamiątkę
21/IV. 19. Druhna Jagienka.*

Staś objaśnił:

— Wyjechaliśmy razem z Wilna. Opiekowała się mną w drodze. To moja młoda koleżaneczka, skautka.

— Niech ją Bóg błogosławi... — szepnęłam. Staś ożywił się nagle:

— Wie ciocia, że świecą szukać drugiej takiej dziewczyny! Ma teraz siedemnaście lat, a dotarła do Lwowa sama jedna w przebraniu. I nic w niej nie ma z tych awanturnic, które tylko robią koło siebie dużo hałasu! Służyła jako prosty żołnierz... Takie śmieszne małe ręce dźwigały karabin! Zostawili ją na niebezpiecznej placówce. Jabym może stchórzył i uciekł — ona została. Wzięli ją do niewoli Ukraińcy. Cudem wymknęła się. Teraz była pod Wilnem jako sanitariuszka. Dali jej urlop, więc mnie odwiozła na pół drogi. Obiecaliśmy pisywać do siebie... Ale teraz..

Urwał i po chwili rzekł, marszcząc brwi:

— Nie odpiszę jej wcale.

— Dlaczego, Stasiu?

— Bo... tak lepiej. Niech sobie o mnie źle myśli. Niech się pogniewa.

— Czemużby się gniewała na ciebie? Napisziesz jej, że jesteś chory, że...

Przycisnął usta wierzchem dłoni, jakby chciał stłumić westchnienie, albo jęk:

— Nie, nie! — mruknął złym głosem.

A po chwili znów, nawpół do siebie:

— Czasem lepiej pogniewać się i prędzej zapomnieć, niż długo pamiętać i cierpieć.

Chwycił nagle biedny list druhy Jagienki i od jednego zamachu przedarł na dwoje. Chciałam krzyknąć: — „Co ty wyrabiasz?!” — ale w tej samej chwili, gdy strzępki listu zsuwały

się jeszcze po koldrze, Staś nagle zakrył twarz rękami.

— Stasiu mój... Stasiu! Posłuchaj..

— Niech mię ciocia zostawi! — szepnął głosem zduszonym przez łyzy, czy przez wzruszenie. — Chcę być sam. Może usnę.

Odeszłam. Siadłam sobie przy oknie. I nagle zrozumiałam wszystko, jakby mi kto zasłone ciemną zdarł z oczu: Ta mała druhna... Ta Jagienka... I ten mój biedny chłopak, co sobie dotąd „głowy nie zwracał babskimi amatorami” ...Boże mój, Boże...

Nagle Staś odezwał się cicho:

— Ciociu?

— Czego chcesz, kochanie?

— Co ciocia tam robi?

— Nic. Patrzę w okno. Wieczór jest taki ciepły i cichy...

— Niech ciocia tu podejdzie, dobrze?

Zerwałam się coprędzej:

— Potrzeba ci czego? Może poduszki poprawić?

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Tylko tak. Próbowaleam usnąć, ale nie mogę. Ciociu...

— Co, Stasiu?

— Ciocia się na mnie nie gniewa?

— Za co, miły Boże?!

— A bo ja sam to czuję, że jestem często szorstki. Nieraz coś cioci odburknę. Ale żeby ciocia wiedziała...

— Wiem, Stasiu, wiem... rozumiem.

— Ciocia tak tylko mówi, z dobroci. Tego nie można zrozumieć! Och, ciociu, kiedy ja wreszcie pogodzę się z tym? Chyba nigdy! Okropne słowo: *nigdy*.

— Widzisz, znowu myślisz o smutnych rzeczach.

— A o czym mogę myśleć? Wszystko z tym było związane. Cała moja przyszłość. Pomysleć: jedna głupia kula — i nie będę mógł nigdy wrócić na front. I odrazu wszystko, wszystko runęło!

— Nie mów tak. Nie wszystko, Stasiu. Jesteś przecież młody...

— Co mi po tym!

— ...znajdziesz w życiu wiele jeszcze pięknego, zobaczysz!

— Ech ciociu. Ciocia pociesza mię, jak małe dziecko. A ja nie jestem dzieckiem. Ot, widzi ciocia, teraz ciągle zazdroszczę Markowi. Leżę tu i zazdroszczę...

Ogarnęła mię nagle odwaga:

— Słuchaj, Stasiu. Czy ty się kiedy modlisz?

— POCO to cioci wiedzieć? A gdybym powiedział, że nie?

— To byłoby nie dobrze. Nie dobrze dla ciebie, Stasiu. Modlitwa tyle ulgi przynieść może...

— Nie każdemu. Ja się nieszczerze Bogu

przypochlebiać nie umiem. Teraz bym raczej kłął...

— Stasiu, Stasiu!

— A widzi ciocia! Mówiłem, niech ciocia nie zaczyna z tej beczki. Już ciocię przeraziłem. Egzorcyzmy warto może nade mną odprawić? Błuznię, prawda? Niech ciocia przyzna: teraz się ciocia o moje zbawienie przełękła?

— Nie, bo wierzę, że Pan Bóg wszystko widzi i wiele wybacza. Ale mi ciebie strasznie żal...

— Ja też sam siebie żałuję, choć to głupie uczucie...

— ...że odrzucasz jedyną pociechę. Bo tylko w Bogu znajdziesz pociechę, Stasiu.

— Więc dobrze. Ukorzę się przed Bogiem i co? Może mam ufać, że mi noga odrośnie?

— Nie. Ale nadejdzie taka chwila, że powiesz: bądź wola Twoja Panie... I poddasz się z pokorą wyrokowi Boskiemu. To jest właśnie siła modlitwy, Stasiu...

Znowu ukrył twarz w obu rękach, jak przed godziną. Nie odzywał się więcej, — nie chciałam mu się narzucać z radami. Bo cóż ja mu poradzę, biedakowi drogiemu?

Kiedy nareszcie oderwał ręce od oczu, twarz miał smutną, ale już nie było w niej złości.

— Może ciocia ma słuszość — szepnął — Tak, na pewno ciocia ma słuszość. Ale cóż! Choćbym nawet spróbował, nie potrafię się

modlić z pokorą. Nie potrafię powiedzieć: bądź wola Twoja... Nie potrafię, nie potrafię!

— A gdybyś... a gdybyś, Stasiu, powiedział dzisiaj tylko tak: Dobry Jezu, ulżyj memu cierpieniu, bo już jestem za słaby i dźwignąć go nie mogę..

— ...bo już jestem za słaby i dźwignąć go nie mogę... — powtórzył za mną jak echo.

— ...i daj mi siły do wytrwania... i nie opuszczaj mię...

— I nie opuszczaj mię... — szepnął tak cicho, że ledwie dosłyszałam, chociaż byłam tuż obok. Wyciągnął rękę, szukając mojej. Trzymał ją długo, długo — wreszcie uczułam jakby delikatną pieśczętę:

— Ciocia jest dobra. Ja ciocię bardzo a bardzo kocham. Jak nikogo na świecie...

— Mój ty...

Ale coś mię zdławiło za gardło, nie mogłam nawet dokończyć, że ja go także bardzo a bardzo kocham. Tyle samo, ile kochałam Marka. Na pewno tyle samo!

— I co ja bym robił, żeby tu cioci nie było? — szepnął jeszcze.

Był tak zmęczony, że każde słowo wymawiał bardzo powoli. Potem głowę przechylił na ramię i usnął, nie puszczając mojej ręki.

22 maja.

Teraz już się Staś w oczach poprawia. Miżerny bardzo, wychudł, ale mu sił przybywa

prawie z każdą godziną. I nawet usposobienie ma lepsze.

Czasem się nawet śmiejemy oboje. A jak-że, śmiejemy się. Bo na przykład dziś: upał był wielki od rana, jak w środku lata. Otworzyłam okno, ale przez okno lała tylko duchota. Nagle Staś mówi:

— Niech ciocia zgadnie: co to takiego co się na G zaczyna a na O kończy i bardzo brzydko pachnie?

— Fe, Stasiu, doprawdy...

— Nie wie ciocia?

— No, nie wiem...

— Grodno! A co, może nieprawda? Śliczne to miasto, ale przecież nie pachnie różami. Nie trudno się o tem przekonać, choćby dziś.

Dopiero jak się nie zaczęć śmiać! Uśmieliśmy się oboje, wreszcie Staś pyta:

— A ciocia co myślała? Ej, z cioci ładny numer!

— A ciebie się figle trzymają, zbytniku jakiś!

— Zbytniku, zbytniku... — powtórzył i odrazu przestał się uśmiechać.

Ale już teraz nie wpada w takie odrętwienia. Nawet czasem żartuje ze swego nieszczęścia. Spytał niedawno, gdyśmy o powrocie do domu rozmawiali:

— Jak ciocia myśli? Czy mi będzie przystojnie ze szczudłem?

Już miałam na języku: „Z czemuś tobie nie było przystojnie!” — ale mi raptem stanęło

w oczach... Jezu kochany, żeby znów takie kpinki urządzać z kalectwa swego! Obraza Boska i pewnie się tak tylko Stasiowi wypsnęło, bo zawsze paskudny miał język.

Ale fakt, że Staś ma teraz inną minę. I gdyby nie obawa, że sobie zasługę chcę przypisać w tym, co jest tylko łaską Bożą i zmiłowaniem, przysięgłabym, że to od czasu, gdy się razem modlimy.

Bo teraz codziennie razem odmawiamy pacierze. Z początku Staś jakby się trochę wstydził: nie napraszał się, ale i nie narzekał, że go „za uszy ciągnę do nieba” jak to kiedyś powiedział w ósmej klasie jeszcze, gdy prosiłam, by do spowiedzi poszedł.

Mówimy krótkie modlitwy, które Staś umie i pamięta. Przy „Ojczenasz” powtarza „Bądź wola Twoja” trochę ciszej i głosem zdławionym, ale powtarza.

Da Bóg, że nadejdzie ta chwila, kiedy się ze swoim losem pogodzi. Już się godzi. Zaczyna mówić o przyszłości, o tym, co będzie robił — skoro do wojska wrócić nie może.

— Zostaniesz wielkim inżynierem, lub przemysłowcem... Tobys dopiero ojcu uciechę sprawił! — powiadam mu żartem, ale Staś zaraz robi poważną minę:

— Nie. Przemysłowcem nie zostanę, ani paskarzem, jak Tomek.

I już kończy z uśmiechem:

— Ale mogę zostać na przykład wielkim uczonym, wynalazcą... Hm! Coby ciocia na to powiedziała, żebym tak pewnego dnia wynalazł uniwersalne lekarstwo na wszystkie bolączki ludzkości?

Zamyślił się i po chwili dokończył cicho:

— To lekarstwo zresztą istnieje. Każdy je w sobie nosi...

Oj, ten Staś! Czego on nie wymyśli! Już bym się teraz niczemu nie dziwiła, skoro on sam siebie umiał wziąć w karby i to jak przedko! Pomyśleć tylko, że jeszcze tydzień temu...

Z jednym tylko poradzić sobie nie mógł: z ową Jagienką. Nawet o niej nie wspomni, a wiem, że myśli często. Boże drogi!.. Że też mu ta dziewczyna właśnie teraz stanęła w drodze i w serce zaszła głęboko, ale jak zaszła! Niczem drzazga.

Próbował on ją wyrwać, tę drzazgę. Nawet sposoby wynajdywał, żeby jej nie bolało za bardzo, a tylko jego... Powiedział mi nazajutrz po tym liście, i to tak, jak on umie, zniecka:

— Ciociu, mam do cioci ogromną prośbę.

— Jaka, Stasiu?

— Ale ciocia ją spełni?

— Czemu nie? Chyba, że głupia jakaś prośba, nie poważna...

— Wcale nie głupia, ciociu, i ogromnie poważna. Ciocia napisze list...

— Z całą chęcią. To mi dopiero wielka

prośba! Do kogo będzie list? Bo coś mi się wydaje, że już zgadłam.

— Może ciocia i zgadła. Do tej panny, która wczoraj pisała. Tylko niech ciocia słucha uważnie, co będzie w liście, bo w tym właśnie cała rzecz...

— No, słucham?

— Ciocia napisze do niej, ale nie w moim imieniu, tylko od siebie.

— Jako: od siebie?

— No tak. Napisze ciocia, jako moja ciotka, że ja — umarłem.

— Zwariowałeś?

— Wcale nie zwariowałem. I datę ciocia umieści. Umarłem piątego maja. Niech ciocia zapamięta: piątego,

— W Imię Ojca i Syna... Stasiu!

— Przecież to nawet nie takie wielkie kłamstwo... — szepnął z bolesnym uśmiechem — Piątego maja... Jeżeli nie umarłem przy operacji, to w każdym razie... I zresztą tego dnia umarłem — dla niej.

— Dla kogo?

— No... dla Jagienki. Poco ciocia męczy mnie pytaniami? Czy ciocia nie rozumie, że jeżeli ja kiedyś — że jeżeli ona mnie... to w każdym razie dla niej byłoby stokroć lepsze pocierpieć mocno i krótko niż... Zresztą już to cioci mówiłem, zdaje się, wczoraj.

— Ale, mój Stasiu, to nie ma najmniejszego

sensu! Przedewszystkim, jeżeli ta Jagienka ma dobre serce...

— Ma dobre serce. Właśnie to — mruknął — tego się boję najbardziej. Z dobrego serca umyśli sobie... Et, niech mi ciocia da spokój! Najlepiej uciąć krótko. A jeżeli ciocia uważa, że głupi pomysł z tą śmiercią, to jak mam uciąć?

— Najpierw, mój Stasiu, jeżeli nawet... choć to przecie czysty idiotyzm! Ale przypuśćmy, że piszę. I co dalej? Skoro ona ma coś w sercu dla ciebie, (a ja czuję, że ma) to czy ty myślisz, że ona tak raz dwa, zapomni? A właściwie! Przyjechałaby czem prędzej na grób (że też mi takie rzeczy przez usta przechodzi!) A jeśliby nawet nie przyjechała, to możecie się kiedyś spotkać... I wtedy co?

— Prawda, — szepnął Staś — zapomniałem, że ja kiedyś będę chodził po świecie...

Spochmurniał całkiem, na czoło wystąpiła mu gruba, poprzeczna zmarszczka. Widać wciąż przemysliwał o Jagience i o tym, jakby ją od siebie uwolnić. Już ją go dobrze znam, jaki on jest, kiedy sobie coś ubrda. Tylko nie uwierzyłabym, że on się tak zakocha...

— I cóż—pytam wreszcie, aby go oderwać od tego zamyślenia — może napisać list, ale trochę inaczej?

— Nie będzie ciocia pisać listu—mruknął.

— Wcale?

— Wcale.

— Ani w swoim imieniu ani twoim?

— Ani w moim.

— To cóż ona sobie pomyśli?

— Niechaj myśli co chce... Że mnie tu nie ma... wyjechałem... że bujam gdzieś po świecie...

— Oj, Stasiu, Stasiu...

Żachnął się znowu.

— Przecież stąd kiedyś wyjadę! Co się ciocia tak patrzy? Żal cioci, że ona tu z matkami nie zjedzie pielęgnować mię czule? Właśnie... Tegoby tylko brakowało. Nie, moja ciociu. To już zresztą skończone. A ona więcej nie napisze. Ja ją znam. I nawet lepiej. Raz się utnie jak nożem i...

Urwał. Wiem, o czym znowu pomyślał wtedy. Ale się już nie odezwał. Bo poco? Przyszło mi jeszcze na myśl, czyby do tej Jagienki nie napisać ukradkiem od siebie. Żeby ją tak niespodziewanie zobaczył...

Ale Staś chytry. List podarł na drobniutkie kawałki, żebym adresu nie wyczytała, a portfel schował pod poduszkę. Już widać sobie postanowił, że tak ma być i koniec.

A jak Staś raz się zdecyduje, to nie ma o czym mówić. Zrobi, jak powiedział. Taki był od najmłodszych lat...

26 maja.

Mniej mam teraz czasu na pisanie. Im Staś zdrowszy, tym dłużej gawędzimy ze sobą. I nie lubi, gdy go zostawiam samego.

— Znowu ciocia wychodzi? — krzywi się zawsze.

— Na chwilę tylko, Stasiu. Przyniosę ci owoców. Paskudne mają pomarańcze w tym Grodnie, a jakie drogie! Ale może dostanę truskawek.

— Posiedzialaby ciocia lepiej. O, nawet niebo się chmurzy. Na pewno będzie deszcz.

Muszę mu obiecywać, że najdalej za pół godziny wrócę.

Wracam — i znowu idzie gawęda. Rozmawiamy całymi godzinami. Dawniej do Marka miałam najwięcej śmiałości, bo wiedziałam, że mnie nigdy nie wydrwi, ani ze swym rozumem nie będzie się panoszył, jak na przykład Adelka. A dziś i do Stasia mam śmiałość. Bardzo on teraz wypokojniał, zlagodniał, nawet innym językiem mówi, niż dawniej. Taki czasem cichy jest i rzewny, że mi naprawdę przypomina Marcinka...

Raz tylko, jeden raz, niedawno, bardzo brzydko wyraził się o Tomku. Ale to z mojej winy. Nie wytrzymałam — coś mię skoczyło opowiedzieć Stasiowi o Janince. Z początku słuchał dość spokojnie i potakiwał: „Wiem, wiem”. Ale potem, kiedy doszło do Kazika i do tego, że Janinka się truła — i że ona ciągle kocha Tomka — odezwał się, machnąwszy ręką:

— Moja ciociu, ja oddawna wiedziałem, że w Tomku siedzi gruba świnia. Nie to on jeszcze potrafi, zobacz ciocia.

Aż mi się przykro zrobiło i trochę pożałowałam własnych słów. Bo pewnie, Tomek źle postąpił, ale zawsze brata przed bratem oskarżać...

Jednak widać i Stasiowi było nie swojo, bo dodał po jakimś czasie:

— Zresztą, każdy ma swoją etykę. Nie chcę go sądzić.

To już powiedział inny Staś, ten nowy.

Im bliższy czas wyjścia ze szpitala, mówimy coraz częściej o powrocie do domu. Staś przebąkuje, że będzie sobie zajęcia szukał.

— Zobacz ciocia, potrafię pożytecznie pracować i bez niczyjej łaski dam sobie radę.

— Co też ty pleciesz? Kto tu mówi o łasce. Głowę bym dała, że twój ojciec...

— Ojciec! — przerwał mi — ojcu się zawsze zdawało, że jak pieniądze robi i dzieciom zapewnia dobrobyt, to już wszystko. A ja pieniędzy od ojca nie będę wiecznie brał. Mnie tych pieniędzy nie potrzeba. Niech sobie robią majątek razem z Tomkiem. Niech się Adelka cieszy, że będzie posażną jedynaczką... Mnie te ich pieniądze... Zresztą, co tu długo gadać. Są jeszcze inne rzeczy w Polsce, dla których warto popracować... Ojca to nie obchodzi, co mnie obchodzi... Wolałbym obie nogi stracić, wie ciocia? niż siedzieć w domu za piecem, jak Tomasz i... Et, co tu dużo gadać! A ja, ciociu, wjeżdżałam w pierwszych szeregach do Wilna i tego mi już nikt nie od-

bierze, chociażby całą fortunę zapłacić za to chciał!

Mówił niejasno, plątał się, przerywał a ja wiem, czego on nie chciał wykrztusić: że mu Teofilowe pieniądze śmierdzą, bo to paskarskie pieniądze, na krzywdzie ludzkiej wyrosłe... Oj Stasiu, Stasiu, jak ja cię kocham z każdym dniem coraz bardziej!

1 września.

Więc tak. Jutro przychodzi do nas pan Kazimierz Witulski z córką. Już się teraz niewielu rzeczom dziwię, ale jak mi Teofil uroczystym głosem nowinę oznajmił, przyznaję, że zdębiałam.

— Tylko bez żadnych ceregieli!—dodał Teofil — wiem, że tam kiedyś między wami coś tego... ale co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. A po tylu latach boczyć się i miny jakies pokazywać, to — Justysia chyba rozumie — po prostu śmieszne! I powinna Justysia pamiętać, że tu chodzi o Tomka przyszłość, a nie o stare sentymenty... Proszę więc nie wychodzić z domu od piątej i przyjąć gości jak najuprzejmiejl.. Taką mi wypalił naukę!

A ja wcale nie dlatego zdębiałam, że to pan Kazimierz, on właśnie przychodzi do nas! Co mi tam! Od owych czasów tyle już wody upłynęło. I stara jestem, włosy mam siwe... On także pewnie nie odmłodził..

Ale zdębiałam, że się Tomek z tą panną ma żenić. Z córką pana Kazimierza! Z Herminką! I jak mu pilno z tymi zaręczynami! Roku nawet nie mógł doczekać... żeby chociaż żałoba wyszła po Marku!

Adelka śmieje się ze mnie i powiada:

— Czy ciocia nie rozumie, że całe to małżeństwo, to dla Tomka doskonały interes! Robi świetną partię i koniec. A że mu pilno, to trudno się dziwić! Nużby tak kto inny uprzątnął panienkę z przed nosa, a razem z panienką dwie duże kamienice, willę pod miastem... no, i sporo gotóweczki w obcej walucie, która się Tomkowi najbardziej teraz uśmiecha.

— Gotówka? Waluta? I tu także waluta?

Adelka wzrusza ramionami:

— To nie małżeństwo, tylko by z n e s. Tłumaczę cioci przecież! To nie ślub, tylko—traktat handlowy, no! Zwlekać z tym niebardzo bezpiecznie. Ale Tomek spryciarz: kuł żelazo póki gorące. Podobno panna oczadziła z miłości, świata poza nim nie widzi!

Jezus, Maryja! I ta!... Co on takiego ma w sobie, że lgną do niego jak muchy do miodu?

Trzy miesiące do tego dziennika nie zaglądałam. Po powrocie do domu zajęcia było dużo, potem ze Stasiem wyjechalśmy do Kopytowa... Tak to wszystko było szast prast, że nawet ten zeszyt został w walizce, co ją brałam z sobą do Grodna. Przepakować go zapomniałam.

Wróciliśmy niespełna przed tygodniem i masz!—na samym wstępie taka nowina!

Tomka widziałam tylko raz, i to przez chwilę. Okropnie zajęty, bo zakłada jakieś biuro komisowo-handlowe, czy coś... Mieszkanie kupił sobie większe, meble staluje... Znowu mieszka-

nie, znowu meble! Czy oni poszaleli! Mało to gratów starych i nowych zawala u nas wszystkie kąty. A jeszcze na strychu nasz stary czerwony garnitur mole jedzą!

Na obiady też do nas nie przychodzi—jada u narzeczonej, albo na mieście. Już niechby lepiej u narzeczonej, pewnie zdrowsze, a w tych restauracjach żołądek mu gotowi popsuć.

Ale mniejsza o mieszkanie, o meble, tylko to narzeczeństwo! Z córką pana Kazimierza!.. No, ma teraz ta Herminka pewnie ze siedemnaście lat. Dziecko prawie. Adelka, która ją gdzieś kilka razy widziała, powiada, że brzydka, jak siedem grzechów głównych. Ale bogata panna, bogata! Już się jej ojciec do sporej fortuny przyżenił, a później jakaś amerykańska scheda na nich spadła po stryju czy wuju wędliniarki. Ale oni już tę wędliniarnię dawno sprzedali... To znaczy — on, bo żona się przeniosła w lepsze światy, zapisując połowę majątku dla niego, a połowę dla jedynaczki.

Tak więc pan Tomasz Łebkowski będzie teraz pan całą gębą... Już sobie futro obstałował z kołnierzem futrowym, chociaż do zimy daleko. I zegarek ma złoty na rękę, w bransoletce. Na piątym palcu nosi teraz pierścienek z wielkim brylantem, zaręczynowy. Na czwarty mu się nie zmieścił, bo to panny Herminki pierścienek, a ona podobno i wąta i mała, jak kurczę..

Adelka podkpiwa z Tomka, a w gruncie rzeczy jakgdyby się cieszyła.

— Wie ciocia — powiada na przykład — Tomasz na pewno auto sobie sprawi. Ciekawam tylko, jakiej marki, bo jabył najbardziej wolala...

I wymienia nazwę, którą nawet spamiętać trudno, a cōż dopiero zapisać!

Dziś zrana wzięłam Adelkę na spytki, żeby się czegoś dowiedzieć, bo Adelka zawsze najdziej o wszystkim jest powiadomiona.

— I powiedz mi... czy on ją chociaż kocha?

— Jaki „on”?

— No, przecie Tomek.

— Ach, Tomek! Kogo — narzeczoną?

— Bo przecież... jeśliby jej nie kochał, to...

Adelcia parsknęła śmiechem.

— Nie, ciocia jest cudowna! Kocha — nie kocha — zupełnie jakby tutaj o to chodziło! Tomek się żeni dla pieniędzy, a do kochania jest przecież dosyć ładnych kobiet na świecie. Już niech się ciocia nie obawia... tych mu nie zbraknie.

— Ale przecież ona...

— Kto „ona”?

— No, ta Herminka. Panna Wituiska... Ona go przecież kocha?

— To co innego! Ma się rozumieć, ona za nim szaleje... Jeszczeby też! Taki przystojny chłopak!

— A mnie jej żal — powiadam — bo jeśli

Tomasz tylko dla tych pieniędzy się żeni... Jeżeli jej nie kocha...

— Ciocia znów swoje! — skrzywiła się Adelka.—Moja ciociu! takich małżeństw, gdzie byłyby i pieniądze, i miłość, i szacunek, i piękność i nie wiem jeszcze co, dzisiaj ze świecą nikt nie znajdzie! Ciocia mówi o miłości, jakby czytała z książki, ze staroświeckiej powieści. A nad tą Herminką niepotrzebnie się ciocia roztkliwia. Nikt jej przecież do ołtarza nie ciągnie, nawet własny jej tatuś trochę się wzdragał, sama Tomkowi lezie w objęcia!

W tej chwili ktoś wszedł do przedpokoju. Adelcia umilkła, a potem jak się nie zerwie! W sekundę była już za drzwiami. Usłyszałam jeszcze tylko trzy słowa:

— Ach, *mqsję Żak!*

Bo i to także nowość u nas: od miesiąca mamy lokatora, Francuza. Mieszka w dawnym Tomka pokoju. Nazywa się Jakub Duprerie, przyjechał z jakąś „misją” których tu teraz od roku mamy pełno. Nie wiem, co robią te wszystkie „misje” w naszym kraju, ale wiem dobrze, co wyrabiają cudzoziemcy, którzy tu przyjechali wczoraj, a jutro pewnie odjadą: zawracają głowy młodym dziewczynom z porządnymi domów!

Wyjechałam ze Stasiem do Kopytowa w lipcu. Adelcia się tym razem na gospodarstwie została. Wracam pod koniec sierpnia — i co zastaję? Przede wszystkim zastaję w przed-

pokoju francuską czapkę wojskową. A potem wybiega naprzeciw mnie Adelka w białej sukni (prawda, że podczas upałów trudno chodzić w grubej żalobie, więc jej tego za złe nie wzięłam, broń Boże!) i od razu z punktu oznajmia:

— Wie ciocia? Mamy lokatora!

— Lokatora? — zdumiałam się. — A to co znowu za koncept?

— Sama ciocia twierdziła, że mieszkanie za duże... — odparła na to, uśmiechając się trochę złośliwie.

— No pewnie... Ale od kiedyż to?

— Od trzech tygodni. Nie napisałam cioci o tym, bo tak się jakoś prędko stało. Ojczuś się zdecydował raz, dwa... Zresztą wiedzieliśmy, że ciocia wkrótce przyjedzie.

To mi się najbardziej podoba! Teofil zdecydował! Oj, ta Adelcia! Kręci ojcem jak frygą, zawsze zrobi, co zechce! Ale żeby tak, nie naradziwszy się, obcego człowieka do domu wpuszczać...

Adelka co prawda wszystkim kładzie w uszy, że ten „*masje Żak*” pochodzi z jakiejś znakomitej rodziny... że ma wysokie stanowisko i że wogóle jest bardzo — bardzo. Skąd ona wie to wszystko? Gdzie go poznała? Wogóle gdzie ona poznaje tylu mężczyzn, którzy się potem do naszego domu pakują bez ceremonii, nie spytawszy nawet wszystkich członków rodziny, czy im się to podoba?

Gdy Adelcia wróci późno do domu, a ja pytam, gdzie była — mówi zawsze: „u koleżanki”. Ma ona sporo tych koleżanek, a one znowu na kopy liczą znajomych. Kogo tam nie ma! Francuzi, Amerykanie, Włosi, polscy żydzi, francuscy żydzi, cywilni, wojskowi... Słowem, jest w czym wybierać!

Że ten pan Duprerie jest „bardzo — bardzo”, to się od razu rzuca w oczy. Przede wszystkim jest bardzo przystojny. Pod tym względem Adelcia ma wyrobiony gust. Lubi blondynów i szatynów z niebieskimi oczami, byle mieli wzrost okazały i długie proste nogi. „*Masje Żak*” jest co prawda silnym brunetem i ma oczy jak węgle, a od Adelki niewiele wyższy, ale co za figura, co za ruchy! Często widzę, jak się w przedpokoju przed lustrem kryguje! Mundur na nim leży jak na manekinie. I sam — istna lalka. A pachnie!

Ale to jeszcze nic. Co mi się najbardziej nie podoba, to te lekcje polskiego języka z zamykaniem pokoju. Wolę już jak sobie przy mnie po francusku szwargocą, bo choć mało z tego rozumiem, ale przynajmniej widzę...

I jeszcze jedno daje mi do myślenia: odkąd Francuz zakwaterował się u nas, Anglika jakiś wiatr zdmuchnął. Lekcje skończyły się, Adelcia ojca więcej nie molestuje o profesorów, odkąd sama została nauczycielką.

Wszystko to niepokoi mię bardzo. Że też Teofil nic! Prosiłam Stasia, żeby ojcu przedłożył, ale Staś tylko ramionami wzrusza.

— Ja, moja ciociu, do Adelki nie będę się wtrącał. Niech sobie robią, co chcą, oboje z Tomkiem. Zresztą wkrótce i tak wyjadę z domu.

Stasiowi obiecali posadę w Sosnowcu. Mój Boże, jak on wyjedzie, to już nie wiem, co zrobię ze sobą? Coraz mi bardziej pusto i obco w tym naszym domu, gdzie tyle lat przeżyłam.

2 września.

Widziałam go. Pierwszy raz podwudziestu latach! Niebardzo się zmienił, ale postarzał, o, postarzał! Wąsy mu też jakoś spłowiały — ni blond, ni siwe.

Prawdę mówiąc, to jeden głos pozostał ten sam. Poznałabym go chyba na sądzie ostatecznym. I może dlatego w pierwszej chwili straciłam głowę. Na moment, na jeden moment cała ta dawno pogrzebana przeszłość stanęła mi przed oczami, jakby to było wczoraj. Bo przecież to był on — pan Kazimierz! on, którego przez tyle, tyle lat...

Et, co tu się roztkliwiać. Dopiero miałyby Adelka sposobność do podkpiwania ze mnie, gdyby tak mój pamiętnik wpadł jej do ręki! Niech Pan Bóg broni!

Ale i on — i pan Kazimierz wydawał się wzruszony. Gdy weszłam do salonu, zerwał się z krzesła i pośpieszył na moje spotkanie. Potem pocałował mię w rękę (piąty raz w ży-

ciu) i długo, długo milczeliśmy. Wreszcie pan Kazimierz ozwał się pierwszy.

— Kopa lat... Kopa lat! Jakże się cieszę, że znowu panią widzę, droga... kochana panno Justyno!

Koźnierzyk od nowej popielatej sukni trochę mię w szyję uwierał, a przytem zauważyłam zdaleka przenikliwy, ciekawski wzrok Adelki. Dlatego czułam się coraz bardziej zmieszana i dopiero, gwałt sobie zadając, odpowiedziałam z trudem:

— Ja też się bardzo cieszę...

A pan Kazimierz skinął na córkę:

— To moja jedynaczka. Pozwoli pani, droga panno Justyno, — (ciągle to: droga panno Justyno!) — przedstawić sobie...

Podala mi rękę, śmiesznie jakoś dygnawszy, istotka drobna, chuda i czarniawa. Więc to jest Herminka, narzeczona Tomasza! Aż oddech straciłam na chwilę... Adalcia tym razem nie przesadziła, nawet nie dosadziła mocno. Brzydkie to, niepozorne strasznie, a w dodatku krzywe jakieś, prawie garbate. Jedną łopatkę ma wystającą i lewe ramię przynajmniej o cal wyżej od prawego. Twarz wąska, oczy blade w zaróżowionych powiekach, włosy ciemne, rzadkie i jeszcze uczesane jakoś niezdarne. Nogi jak tyczki od grochu, a stopy całkiem płaskie. Słowem brzydula. Niewiadomo nawet, w kogo się wdała, bo pan Kazimierz uchodził za bardzo przystojnego męż-

czyznę i do dziś jest postawny, a wędliniarka miała twarz czerwoną i ważyła podobno około dwustu funtów!

Patrzyłam na nią, patrzyłam... i ciężko mi było wykrztusić cokolwiek bądź. Na szczęście weszła Walerka z podwieczorkiem na tacy, a potem już pannę Herminę wzięła w obroty Adelcia.

Po wypiciu tej ceremonialnej herbaty i zjedzeniu ciasteczek — każdy obowiązkowo po jednym — Teofil i Tomek zaczęli z panem Kazimierzem mówić o interesach, jakby już nic nie było ciekawszego na świecie. Siedząc z boku, przypatrywałam się ukradkiem tej mojej przyszej siostrzenicy — i nagle spostrzegłam, że nie wydaje mi się już tak potwornie brzydka. Usta ma wprawdzie blade i trochę przyduże, ale uśmiech ogromnie miły. Naprawdę, musi to być dobra dziewczyna, a na Tomka spogląda takim rozmiłowanym wzrokiem, że mię odrazu chwyciła za serce.

Adelka trzepała jak najęta. O nowych książkach, o podróżach, o sukniach. Co trzecie zdanie wtrącała jakiś francuski wyraz, na pewno ni przypiął ni przylatał, tylko tak — żeby się przed panną Herminką popisać. A Herminka wszystkiemu potakiwała z miłym uśmiechem, zerkając raz po raz w stronę narzeczonego który rozparty na krześle, z nogą założoną na nogę i z papierosem w ustach przytaczał dyktando cyfr i wymieniał nazwy różnych firm,

które jego zdaniem „przetrwają kryzys” albo na pewno wkrótce „zrobią plajtę”.

— Dolar! dolar! — dowodził Tomasz, wystukując palcem na stole każdą sylabę. — Dolar, proszę panów, to jedyna podstawa każdej dzisiejszej kalkulacji! Ceny muszą być normowane w dolarach!

— Jakie to ładne malowidło! — zaczęła panna Herminka głosem niepewnym, widząc, że ukochany nie zwraca na nią uwagi. I wskazała palcem na ścianę między oknami, gdzie wisi olejny obrazek, który mi Mareczek podarował w zeszłym roku na imieniny.

— Podoba się pani? — podchwyciła z zadowoleniem Adelcia. — Ach, prawda, tobie... Jeszcze się nie przyzwyczaiłam, droga Miniu, mówić do ciebie po imieniu... Więc ci się ten obrazek podoba? To malował mój brat.

— Pan Stanisław?

— Nie, Marek. Ten, który zginął pod Lwowem. Ach, to był niezwykle zdolny chłopiec. Nasi znajomi malarze twierdzą, że z niego wyrósłby wielki artysta! E pętr selebr... Cóż, kiedy zginął w kwiecie lat... Ach, to było cudowne dziecko, chluba naszej rodziny...

Nie znoszę, poprostu nie znoszę, gdy Adelka zacznie robić te swoje miny „na pokaz”. Miałam ochotę krzyknąć: „nie mów o Marku! Zabraniam ci mówić o Marku!” — ale w tej samej chwili Tomek wstał z miejsca. Widać

sobie przypomniał, że wypada zająć się narzeczoną i podszedł ku pannie Hermince.

— Chciałabym umieć malować! — zaczęła panienka, rozkochanymi oczami wpatrując się w Tomasza. — Czy nie ma tu gdzie innych rysunków pańskiego brata?

— ...twojego brata — podszepnęła Adelka z uśmiechem, a tamta zaczerwieniła się aż po włosy i, naprawdę, nagle prawie wyprzystojniała.

— Ciocia ma tego całe szuflady pełne. Ale chodźmy do gabinetu ojca, pokażę ci tam landszafty, które podobno są warte duże pieniądze. Ojciec je kupił z licytacji od jakiegoś zbankrutowanego obywatela..

Jaki ten Tomek ma czasem ordynarny sposób mówienia: landszafty, licytacja... Wszystko na pieniądze obliczył! Ale Herminka słuchała z otwartymi ustami i wchłaniała każde słowo jak ewangelię! Biedna dziewczyna! Prędko się skończą te narzeczeńskie zachwyty!

Wyszli z salonu, a w chwilę później zadzwonił telefon.

— To do mnie! — krzyknął Teofil. — Wybacz pan! Pilna sprawa... za minutę będę z powrotem.

Zostaliśmy więc z panem Kazimierzem sami w salonie, Jakiś czas trwało znowu kłopotliwie milczenie. Łamałam sobie głowę, o czymby zacząć mówić, kiedy raptem podsunąwszy

się ku mnie z krzeselkiem zaczął głosem wzruszonym:

— Droga panno Justyno! Czy to nie dziwne zrządzenie Opatrzności, że właśnie nasze dzieci... Nasze dzieci... bo przecież Tomasz, to jakby pani syn — że nasze dzieci mają wypełnić to, co nam widać nie było sądzone...

Zmieszał się, urwał. „Nie było sądzone? — przemknęło mi przez głowę. — Pewnie... Ja nie miałam żadnego posagu, a wędliniarka była bogata. Dlatego nie było nam sądzone"... I widocznie gorzki uśmiech przeleciał mi po twarzy, bo pan Kazimierz ozwał się jeszcze pokorniej:

— Widzi pani, choćbym nie wiem jak pragnął cofnąć minione lata, już się nic nie odrobi! I dlatego tym bardziej pragnę, by moja córka, moja droga pieszczoszka, zaznała w życiu więcej szczęścia...

Zadrżałam mimowoli, lecz on tego nie spostrzegł.

— Pragnąłbym, korzystając z tej chwili, szczerze z panią pomówić!

— Ależ...

— Bo, widzi pani... ja z początku byłem temu małżeństwu przeciwny... To jest, wahałem się... Nie chcę, broń Boże zarzucić cokolwiek pani siostrzeńcowi! To chłopiec bardzo zdolny, energiczny, ma dużą przyszłość przed sobą... Wiem, że niejedna panna mogłaby pozazdrościć Hermince, ale...

Znów uciął, z niepokojem obejrzał się na drzwi i wreszcie spytał prawie szeptem:

— Czy pani ma wrażenie, że on ją szczerze kocha?

Wydało mi się, że ktoś rękę zimną jak lód położył mi na czole.

— Czy ja... czy Tomek... o co pan pyta?

— Może to z mojej strony niedelikatnie, tutaj, od pani zasięgać rad, dotyczących jej siostrzeńca! Ale błagam, niech pani zechce zrozumieć! Przecież tu chodzi o moje dziecko jedyne, o dziecko, które kocham! Idąc dziś do państwa, myślałem sobie: „Wiesz jaka jest panna Justyna! Wiesz, stary głupcze, że to dobroć i prawość chodząca. Otóż jeśli ją szczerze zapytasz, ona jedna prawdę ci powie”... Dlatego ośmieliłem się... Czy pani wierzy w to, że on Herminę kocha, że zapewni jej szczęście?

— Czy ja wierzę? Mój Boże... Skąd mogę wiedzieć... Tak mię to zaskoczyło...

— Bo że dziewczynie zabrał serce od pierwszego spojrzenia, to aż za dobrze widzę. Tylko się boję... pani rozumie!... Chciałbym mieć pewność, że żadne inne względy, oprócz uczucia, nie kierują panem Tomaszem. Bo widzi pani, Herminę trzeba dobrze znać, by ją ocenić. Nie ładna jest, to wszyscy widzą. Ale mało kto wie, jaka to dusza wrażliwa, jaki to dobry charakter. Ją trzeba dobrze poznać, do głębi poznać — wtedy ją można pokochać.

I dlatego wolałbym, żeby oni dłużej przyglądali się sobie, rozważyli ten krok, zanim klamka zapadnie... Nie chciałbym ślubu przyspieszać. Mogą przecież poczekać na siebie rok, dwa... Ale pani rozumie: młodzi. Obojgu pilno. Miałbym zupełne prawo postawić swoje warunki. Minia dopiero w grudniu osiemnaście lat skończy. Takie dziecko! A i pan Tomasz młokos. Ale cóż...

Zdawało mi się, że cały pokój kręci się w kółko. Zwariował i tańczy! Tańczą złocene krzeselka, tańczy lustro, tańczy stolik z kwiatami i wszystkie obrazy na ścianach. Może to mnie samej zakręciło się w głowie od tych wszystkich myśli — może to one tańczyć zaczęły pod czaszką, jak opętane?

Pan Kazimierz patrzył mi w oczy z niepokojem.

— Dlaczego pani milczy? Tak bardzo liczyłem na to, że pani da mi szczerą i prawdziwą przyjacielską radę... Pani przecież najlepiej zna swego wychowanka... Ja nie twierdzę, broń Boże, nie twierdzę, by Tomasz nie budził we mnie zaufania! Ale pani go lepiej zna... Czy on potrafi uszczęśliwić moją Herminę?

Tomasz? Czy ja go znam? Czy on potrafi uszczęśliwić Herminę? Jezus Maryja! Dlaczego ten Teofil tak długo telefonuje! Niechby już wrócił, niechby mię od tej rozmowy uwolnił... Chociaż, nie... Boże drogi, co ja mam odpowiedzieć? Uczciwie odpowiedzieć?

— Proszę pana—zaczęłam powoli, z nagłym postanowieniem — proszę pana, mnie się również wydaje, że...

W gabinecie zabrzęczała słuchawka, rzucana niecierpliwie na widelki. Teofil lada chwila mógł wejść.

— ...że lepiej, aby się młodzi nie śpieszyli zanadto. Niech poczekają... Niech przywykną do siebie...

Pan Kazimierz odetchnął głęboko.

— Wiedziałem, że pani mię zrozumie i poprze. Droga panno Justyno, ja w pani zawsze cenilem... ja w pani zawsze podziwiałem...

— Tss... — szepnęłam — zdaje się, że wracają. Nie mówmy teraz o tym.

— Ale pani przyrzeka mi swoją pomoc? Bo wiem, że młodzi podniosą gwałt?

— Przyrzekam.

— I pomówi pani z Tomaszem?

— Ja?

— Postara się pani wpłynąć na niego...

— Tak, postaram się wpłynąć...

Pan Kazimierz wziął moją rękę i przycisnął do ust. We drzwiach ukazał się Teofil, a z za niego wyrzała Adelka. Teofil spojrzał, zatrzymał się i wreszcie krzyknął:

— Oho! Ja myślałem, jak tu przeprosić gościa, że sam został, a ci sobie w najlepsze gruchają.

Pan Kazimierz pokiwał głową.

— Cóż dziwnego? Nie widzieliśmy się tyle

lat... Wspominaliśmy dawne czasy, prawda, panno Justyno? Jak to powiada przysłowie...

— Stara... przyjaźń nie rdzewieje — odezwała się z za pleców ojca Adelka.

3 września.

Przerwałam wczoraj pisanie, bo Staś wrociwszy z miasta, przyszedł mi powiedzieć „dobranoc”. Kochany chłopak! Nigdy o tym nie zapomina.

Jak ja już dobrze znam jego chód! Kiedy idzie po schodach! co drugi krok ta sztuczna noga troszeczkę skrzypi... I tak kuszyk—kuszyk winduje się biedaczek na piętro...

Wszyscy już spali, ale widać z mego pokoju dojrzał światło przez szparę w drzwiach, bo zastukał i wszedł.

— Ciocia się jeszcze nie kładzie?—zapytał ze zdumieniem — przecież już blisko pierwsza! Myślałam, że ciocia leży w łóżku i czyta. Co ciocia dotychczas robiła?

— Ot, nic ważnego. Pisałam sobie.

— Listy?

— Nie, niezupełnie. Tak sobie, widzisz, wieczorami zapisuję różne tam rzeczy, aby z pamięci nie wypadły...

— Więc to prawda? Ciocia pisze pamiętnik?

— A ty skąd wiesz?

Staś wzruszył ramionami:

— Adelka o tym trąbi naokoło.

Adelka!! Zawsze ta Adelka! I kiedy ona

znowu wywęszyła! Staś, jakby czytał moje myśli, dorzucił:

— Radzę, niech ciocia te szpargały dobrze na klucz zamyka. Dziewczyny wogóle są wścibskie, a jeszcze nasza Adelcia! No, trzeba iść. Dobranoc cioci.

— Zaczekaj, Stasiu, chwilkę. Miałam ci właśnie powiedzieć...

— Co takiego?

— Ojciec się bardzo irytował, że wyszedłeś z domu na całe popołudnie.

— A to dlaczego?

— Bo byli goście. Wiedziałeś przecie o tym! Teofil cię uprzedzał.

Staś machnął ręką:

— Et, moja ciociu...

— Trzeba było zrobić to dla ojca i zostać. Teofil zatrzymywał gości i powtarzał, że ciębie tylko patrzeć. Chciał sprezentować narzeczonej Tomka całą rodzinę.

— Więc jeżeli ciocia chce wiedzieć, to ja właśnie dlatego wyszedłem z domu.

— Dlatego?

— Nie chcę, żeby i mnie mieszało do tych swoich spekulacyj matrymonialnych.. Nie chcę i już.

— Jakto, Stasiu? Więc ty także uważasz, że...

— Nic nie uważam. Chcę spać. Dajmy już temu spokój. Dobranoc, moja ciociu.

Chmknął mi w rękę i wyszedł.

A ja długo jeszcze usnąć nie mogłam. Myślałam wciąż o Tomku i o Hermince. Nad ranem wreszcie zmógł mnie sen, ale ciężki jakiś, niespokojny. Najpierw przyszła do mnie Janinka: „Podobno pan Łebkowski się żeni? Przyniosłam właśnie prezent dla niego. Prezent ślubny...” I wyciągnęła z pod pachy zawiniątko. Zimny pot mię oblał, bo zawiniątko zaczęło płakać ludzkim głosem. A Janinka krzyczała, śmiejąc się: „nie poznaje go pani? To Kazio. Powinien się nasz Tomek cieszyć, bo chłopiec do niego jak dwie krople wody podobny... Metrykę ma wypisaną na huzil!”

Potem znikła, a zato zjawił się pan Kazimierz. Zaczął mię po rękach całować i szeptać tym swoim przejmującym głosem:

— Niech mi pani przebaczy! Ożeniłem się z wędliniarką dla pieniędzy, a pani zламаłem życie... Tylko dlaczego los mści się na Hermince? Czy to pani namówiła swego siostrzeńca, aby zmarnował moje dziecko? Bo on Herminkę zmarnuje, zobaczy pani! Zmarnuje, zmarnuje, zmarnuje... Ale pani ma dobre serce... Pani wyperswaduje Tomkowi to małżeństwo... Może sobie znaleźć dziesięć innych panien, jeszcze bogatszych i brzydszych... Już on potrafi głowy im pozawracać, że polecą za nim, jak śmy w ogień...

I raptem pan Kazimierz zamienił się w Tomka, zaczął się śmiać i wołać:

— Ciociu Juściu! Nie uważa ciocia, że moja narzeczona, to cud piękności? Trochę za chuda, ale ma worek pękaty. Ożenię się i będziemy gruchali, jak dwa gołąbki... A jak mi żonka obmierznie, to ją pod cioci opieką zostawię, a sam — fiut, za granicę! I tyle mię zobaczy! W Ameryce można zrobić pieniądze, trzeba tylko mieć kopf! A Tomeczek ma kopf nie od parady! Nie darmo się nazywa Lebkowski...

Uf! Zmordowałam się więcej, niż gdybym oka nie zmrużyła przez całą noc. Rano wstałam, jak z krzyża zdjęta. Głowa mię bolała i wszystkie kości. I jeszcze od tej myśli opędzic się nie mogę, że przecież panu Kazimierzowi przyrzekłam... Co ja mu właściwie przyrzekłam? Że z Tomaszem pomówię?

Ale co ja mu powiem? Nie żeń się? Przecież mię i tak nie usłucha. Czy mię kiedy który z nich słuchał? Dawniej, jak byli mali, to co innego. Ale dziś każde ma własny rozum i nim się rządzi.

Oj, Antośko, Antośko... Lepiej może, że cię tu nie ma. Zapłakałabyś gorzko i nie raz...

16 grudnia.

Myślałam, że już słowa nie napiszę w tym dzienniku. Ale dzisiaj nie wytrzymałam, za ciężko mi na sercu, a nie mam się przed kim wyżalić. Zresztą już teraz dobrze zamykam te zeszyty. Nie dobierze się do nich Adelka, chyba, żeby klucz dorobić kazała do tej szkatułki, gdzie chowam wszystkie moje święte i smutne pamiątki.

Dziś minął rok od śmierci Marka. Jak ten czas leci! Cały dzień płakałam, sprząając w jego pokoju. Wszystko tam stoi, jak stało — niczego nie dałam ruszyć i nie dam, póki tu jestem.

O dziesiątej było nabożeństwo żałobne w kościele Karmelitów. Poszli wszyscy: Teofil, Adelcia, Tomasz ze swoją narzeczoną — brakło tylko Stasia, bo jest na Śląsku. Teofil obiecywał, że do Lwowa pojedzie, Mareczka mogiłę odszuka i ciało tutaj przywiezie, ale to się wciąż jakoś odwleka. Ja tam nie nalegam. Niech sobie leży, kochanie moje, w tej ziemi, której bronął własną krwią...

Och, Marku, Marku! Miałbyś teraz blisko siedemnaście lat. Czy i ty także zacząłbyś już ciotką swoją pomiatać, wyśmiewać się z niej

w duchu i traktować, jak stary, niepotrzebny sprzęt?

Bo ja się tu w domu właśnie tak czuję: gratem bezużytecznym, który tylko zawadza. Czasem sama się łapię nad tym, że zaczynam półgłosem mówić i stapać ciszej, jakby z obawy, by się nikomu swoją osobą nie narzucać.

A wszystko od czasu awantury z Tomaszem. Bo trudno inaczej to nazwać...

Mój Boże! Wiele to już czasu minęło, trzy miesiące! A ja pamiętam każdziutkie słowo, każdziutkie...

Było to wkrótce po pierwszej wizycie pana Kazimierza z Herminką. Nie zebrałam się jeszcze na odwagę pogadać z Tomkiem, gdy pewnego dnia on sam przychodzi na obiad jakiś kwaśny i odzywa się podczas jedzenia:

— Stary zaczyna coś kręcić.

— Jaki stary?—spytałam, bo skądże mogę wiedzieć, że on tak pana Kazimierza nazywa.

A Tomek spojrzał na mnie ze złością i powiada:

— Witulski. Chcieliśmy z Herminką oznaczyć wreszcie datę ślubu, żeby się odbył w początkach karnawału—a ten nagle trudności wymajduje: A jeszcze macie czas... A poczekajcie trochę... Tacyście młodzi oboje, nie śpieszcie się z tym ślubem...

Wzruszył ramionami:

— Dobry sobie! „Nie śpieszcie się!”. Ile ja już tygodni zmarnowałam na te konkury!

Panna każe się emablować i to jak jeszcze! A cukierki znoś, kwiaty, a przychodź, a przesiaduj całymi godzinami, trzymając ją za palec... A gadaj czule brednie do uszka. Właśnie mam czas na takie rzeczy!

Adelcia jadła zupę małymi łyčzkami, siedząc sztywno przy stole jak lalka. Tylko jej w oczach migotały chytre ogniki. Teofil także się nie odzywał, mlaskał głośno i raz po raz obcierał wąsy, ociekające kapuśniakiem.

Tomasz znowu zaczął po chwili:

— Gdybym wiedział, że taka wymagająca, jeszczebym się może rozmyślił. Ale niechże przynajmniej prędko będzie ten ślub! Raz się to skończy...

Przelknęłam ślinę i zapytałam:

— Co się skończy?

Spojrzał na mnie złym wzrokiem (znowu!) i nic nie odpowiedział. Zato Adelcia, kładąc łyżkę na talerz, objaśniła uprzejmym głosem:

— Czulości narzeczeńskie.

Pomyślałam: „teraz, lub nigdy” i przeżegnałam się w duchu:

— Ja też uważam, że lepiej byłoby odłożyć, a może nawet... zerwać.

— Co odłożyć? Co zerwać? — spytał Tomasz, a i Teofil nadstawił uszu.

— ...To małżeństwo. Przecież ty poprostu oszukujesz biedną dziewczynę. Ty jej wcale nie ko...

Ostatniego słowa nawet nie zdążyłam wy-

mówić. Tomek zbladł. Obie dłonie położył na stół i wlepił we mnie wściekły wzrok:

— Co takiego?! Co ciocia powiedziała?

— Powiedziałam, że myślę... że...

— Da ist der Hund begraben! — krzyknął w pasji. — Już teraz wiem, skąd stary Witulski czerpie natchnienie! Ciocia w tym swoje paluszki umoczyła! Wyczuwałem w tym wszystkim jakieś konszachty, jakąś nagankę na mnie... Ale, u diabła, jakim prawem ciocia wtrąca swoje trzy grosze do mego małżeństwa? Jakim prawem?

— Prawem uczciwości! — odparłam i wstałam od stołu.

Tomasz się także zerwał, za nim Teofil. Jedna Adelcia spokojnie siedziała na swoim miejscu i nawet — nie wiem, jakim cudem zdołałam to zauważyć — nabrała sobie na talerz borówek, które miały być do pieczenia.

— Co? Co ciocia przez to rozumie? Co ciocia chciała powiedzieć? — wrzasnął Tomasz, postępując krok naprzód.

— Mówię — odparłam cicho, ale wyraźnie — mówię, że małżeństwo z Herminką uważam za nieuczciwość z twojej strony.

— Słyszysz ojciec! Czy ojciec słyszy, co ta stara tu plecie?

— Tomek, hamuj się! — rzekł Teofil.

— To ja się mam hamować? Ja? Nie, tego już za wiele! Przez jakieś babskie intrygi mogę zostać na lodzie, teraz właśnie, kiedy się za-

angażowałem w spółkę handlową, prawie bez kapitału! A tu mi się każą hamować! O, psia-krew! Ale już ja się cioci odwdzięczę! Niech-no ten safandula zacznie kapryścić! Popamięta ciocia, co to nos wtykać w cudze sprawy!

— Tomasz!! — huknął Teofil ostro, ale Tomek już wybiegł, trzasnąwszy drzwiami.

Staliśmy na przeciwko siebie — ja i Teofil. Czułam, że mi krew zbiega z twarzy, a nogi drżą pode mną, jakbym była pijana. Teofil teraz dopiero poczerwieniał i przyglądał mi się z ledwo ukrywaną wściekłością.

— Siadajcie, moi państwo — ozwała się spokojnie Adelka — już i tak pieczeń wystygła.

Mimowoli usłuchaliśmy oboje. Teofil nabrał olbrzymią porcję na talerz, chyba przez nieuwagę, bo nigdy tyle mięsa nie jada. Wreszcie rzekł, siłąc się na ton spokojny:

— Justysia chyba doprawdy zwariowała na starość. Co to znów za historie? Co mają znaczyć te „konszachty” z panem Kazimierzem? Tomasz się uniósł i zapomniał, do kogo mówi, ale świętyby chyba nie wytrzymał! Czy Justysia rozumie przynajmniej, co powiedziała? Zarzucać Tomaszowi nieuczciwość! Jakże Justysia ma powody po temu, żeby chłopakowi opinie psuć — i to u ojca narzeczonej! Czy Tomek ukradł co, czy kogo zamordował, żeby nie miał prawa żenić się wedle upodobania? Może mi Justysia zechce łaskawie wytłumaczyć...

Milczałam połykając łzy. I znowu raptem zabrała głos Adelka:

— Niech się ojczuś nie irytuje. Ciocia Juścia jest trochę egzaltowana, romanse sobie układa, dramaty, jak w teatrze... To dlatego...

— Romanse? Cóż to znowu?

— A tak, papo. Ciocia powieści pisać powinna, felietony do gazet... Ciocia ma taką świetną wyobraźnię!—mówiła dalej słodkim tonem, świdrując mnie oczami. — A ostatnimi czasy nawet się cioci ogromnie styl wyrobił. Bardzo się ciocia poetycznie wyraża niekiedy... Szkoda tylko, że w najbliższej rodzinie prawie same czarne charaktery ciocia znajduje...

Jezus Maria! Żebym miała charakter gwałtowny, tobym chyba tę dziewczynę zatłukła! To ona teraz z mojego pamiętnika zabawę sobie urządza! Więc rzeczywiście czytała go! Czytała... Musiałam go na wierzchu kiedyś zostawić przez zapomnienie, a ona potrafiła z tego skorzystać... Więc nic nie mam swojego, nic, nic! Żadnej myśli...

Tomek się uniósł i zachował wobec mnie ordynarnie. Ale to mię mniej zabolalo, niż ta myśl, że Adelka wie wszystko, że wślizgnęła się do moich uczuć najskrytszych, do tej spowiedzi, którą sama przed sobą uczyniłam, tylko sama przed sobą!

Wszystko mi później dziwnie zobojętniało od tej chwili. Nawet, że Adelcia szepnęła po obiedzie, gdy Teofil poszedł na drzemkę:

— Niech się ciocia nie martwi. Nie stało się ostatecznie nic złego. A Tomasz ciocię przeprosi, już ja to cioci obiecuję. Tylko lepiej, żeby ciocia doprawdy dała spokój z tymi swojemi „zasadami”. Przecież ciocia sama chyba woli, żeby się ożenił z porządną panną, a nie z jakąś tam... o którą zresztą ciocia niepotrzebnie się troska. Da ona sobie radę, jak dawała przed tym. Ciocia ma doprawdy zbyt romantyczne usposobienie. To dobre w innych czasach, ale nie dziś. No, bardzo się ciocia gniewa na mnie za ten pamiętnik? Ot, tak mi się wymknęło... Ale ciocia moim zdaniem, serio ma talent pisarski. Toby można w książce wydać, wie ciocia? I ludzie by z ciekawością czytali!

Uśmiechnęła się:

— Tylko mężczyzn ciocia zupełnie nie zna i nie rozumie. No, i niektórych kobiet też... Ale to trudno, my już jesteśmy z innego pokolenia...

Inne pokolenie... O, tak. Nie rozumiem go. Być może. Już się nawet nie staram go zrozumieć.

Później, jak wyprorokowała Adelka, wszystko się dobrze skończyło. Teofil orzekł, że moje poglądy na to małżeństwo dadzą się jeszcze wobec pana Kazimiarza „zaretuszować”. I Tomek mię przeprosił. A jakże, bardzo solennie. Z pocałowaniem w rękę i uroczystymi słowami.

Ale coś się od tej chwili zepsuło. Coś pękło między nami i już dźwięczy fałszywie, jak nadtłuczone szkło. Między mną, Tomaszem, Adelką...

Siadamy razem do stołu, mieszkamy pod jednym dachem, rozmawiamy o sprawach codziennych... A z tym wszystkim trwa ciągle zawzięte, głuche milczenie. Słowa, z ust padające, brzmią często prawie serdecznie, a serca są — jakby za grubą taflą lodu.

I już tak pewno zostanie między nami — na zawsze.

Coraz częściej wymykam się z domu, kluczę ulicami, jak złodziej — i zachodzę do Łuczakowej, żeby popatrzeć na Kazia. Tylko po to. Wymyślam różne sztuczki, żeby się matka nie spostrzegła. Zanoszę niepotrzebne nikomu roboty... Zniszczone suknie Adelci, które stara Łuczakowa pięknie plisuje, a ja je później piorę w domu i znów zanoszę. Niewiele już mam własnych pieniędzy, bo i te oszczędności, co zostały, teraz prawie nic nie warte. Marka polska wciąż spada i spada. Ale niedawno sprzedawałam tę dużą broszkę z ametystem, pamiętkę jeszcze po matce. Nie mogę przecież pozwolić, żeby Teofil zapłacił za te moje dziwactwa...

Łuczakowa i Janinka zawsze mię witają serdecznie jak starą, dobrą znajomą. A ma-lutki wyciąga do mnie rączki. Ma już cztery ząbki na przedzie, a jaki duży i tłusty! Śliczne

dziecko. Biorę jego krągłą główkę w obie ręce i podnoszę buzię ku światłu. Patrzę w te niewinne oczęta, wielkie takie, wesołe, ufnę — i myślę:

„Czy to możliwe, że z niego kiedyś także wyrośnie duży, dorosły człowiek? że wyfrunie z pod skrzydeł matczynych w daleki, obcy dla niej świat — że będzie dobrym albo złym synem, że potrafi kogoś ukrzywdzić?”

On, ten maleńki mój wnuczek — taki podobny do Tomka”...

15 stycznia.

Wszystko odbyło się jótą w jotę, jak sobie wymarzyła Adelka: obrzęd ślubny z wielką paradą, w kościele Panien Wizytek, o szóstej po południu. To podobno ogromnie elegancko. Były aż cztery drużny i czterech drużbów, a w kościele tłok taki, że aż podziwiałam w ciichości, skąd się taka moc znajomych zebrała?

Potem — wspaniała kolacja w domu panny młodej, z różnymi frykasami, z szampanem... Herminka miała suknię białą z długim trenem i welon ślicznie upięty. Wyglądała w tym stroju jeszcze gorzej, niż w zwykłym codziennym ubraniu, a blada była jak płótno i patrzyła ciągle na Tomka, tylko na Tomka, aż wstyd...

Adelka na różowo z gołymi ramionami i dekoltem zupełnie, według mnie, niestosownym dla takiej młodej dziewczyny, rozbawiona była jak nigdy.

Nawet jej humor popsuć nie zdołał Teofil, gdy podpiwszy sobie trochę, zaczął wygadywać brednie o sklepikach spożywczych, z których wyrastają kamienice sześciopiętrowe, a te znów zamieniają się w pałac. Ale głos jego zupełnie utonął w ogólnej wrzawie. Goście jedli, pili, śmieli się i krzyczeli w wielkim salonie o trzech oknach, zawalonym kosztownymi meblami i mnóstwem kwiatów.

Wszystkiemu temu przyglądała się wędliniarka z ogromnego portretu. Przyszło mi raptem na myśl, czyby jej nie zaświerzbiała ręka, (a miała pono ciężką!) żeby to całe grono rozbawionych gości nauczyć moresu dla swojej byłej masarni, która dostarczyła tyle pieniędzy na zbytki?

A teraz państwo Tomaszostwo Łebkowscy wyjechali w podróż poślubną do Zakopanego. Herminka chciała dalej, zagranicę, ale Tomasz ma pilne interesy w Warszawie. Wrócą za jaki tydzień. I tak się trochę krzywił, że tyle czasu będzie zdala od swego nowozałożonego przedsiębiorstwa, które potrzebuje czujnego oka i żelaznej ręki.

Zdaje się, że już wkrótce będzie miał ten własny samochód. A później może pałacyk wybuduje, albo majątek kupi? Chociaż to chyba nie. W Kopytowie Amelka bardzo na ciężkie czasy jęczy, a Tomasz powiada, że pieniądze w ziemię włożyć łatwo, ale wydobyć trudno. On ma inne kombinacje: chodzi na giełdę,

gdzie podobno w pięć minut z miliona marek można zrobić dwa, a z dwóch cztery. Nie znam się na tych rzeczach, ale myślę, że gdzie zbyt łatwy zarobek, tam i strata pewniejsza. Przecież na świecie nie ma za darmo nic, a jeszcze takich pieniędzy!

Staś nie był na ślubie brata, przysłał tylko telegram z Krakowa, że przyjechać nie może, więc państwu młodemu życzy zdrowia, szczęścia, pomyślności i wszystkiego, co się w takich wypadkach wymienia.

Ciekawam, co on tam robi? Wiem tylko, że jeździ z miejsca na miejsce, raz jest na Śląsku, to znów w Krakowie; listy mi z różnych miast i miasteczek przysyła, stąd wiem, bo nic więcej o sobie nie wspomina, tylko że zdrowszy i znalazł pracę, która mu daje zadowolenie.

Adelka chodzi teraz na dancingi ze swym *Mąsje Żak* i często wraca nad ranem.

Bo mamy teraz w Warszawie takie „dancingi”, które cudzoziemcy przywieźli z zagranicy, a teraz wszystkich uczą, jak się nowe tańce tańczy. Młode panny chodzą tam same bez matek, ciotek i różnych opiekunów... Podobno to się na Zachodzie praktykuje: panna bierze swego tancerza pod ramię — i wychodzi z domu na cały wieczór... Tak i Adelcia robi. Ten pan Duprerie coraz bardziej jej nadskakuje, już i do teatru chodzą razem — i do

kina, ale że Teofil nic na to wszystko nie mówi, więc i ja milczę.

Teofil przekomarza się czasem z Adelcią; powiada, że choćby ona została panią *ataszową militerną*, to jeszcze nie wiadomo, czy w Polsce będą takie wielkie ambasady dla jasnie wielmożnej „*kątesy*”.

Może i na tym się skończy. Może Adelka wyjdzie za mąż za swego Francuza... W każdym razie lepiej tak, niż gdyby się to miało skończyć inaczej.

A wiem, co mówię, bo na własne oczy widziałam, jak się w przedpokoju całowali — i to może z pięć minut...

Ale milczę, udaję, że nie wiem, nie rozumiem, nie widzę...

Tylko czasu mam o wiele za dużo i to może najgorsze ze wszystkiego. Przez to całymi godzinami przesiaduję u Marka, w jego dziecięcym pokoiku. Sama tam kurze ścieram, sprzątam, sama wymiatam podłogę i firanki świeże zakładam, gdy się przybrudzą. Wydobynam z komody stopy jego rysunków i kasetów szkolnych i książek. Grzebię w tym wszystkim, przeglądam, a każdy skrawek papieru przypomina mi coś z przeszłości...

Zamykam wtedy oczy i widzę swoje dzieciaki drogie, siedzące przy okrągłym stole, pod lampą. Tomek gra z ojcem w „sześćdziesiąt sześć”, albo w warcaby — na pieniądze. Staś wertuje jakieś pamiątniki z czasów powstania

i wojen napoleońskich. Może już wtedy pod tą jasną czupryną świeciło, jak oswobodzić Polskę od najeźdźców? Adelka wyszywa nową serwetkę *riszelię*, albo zawija włosy na papilotach, żeby się na jutro w loki skręciły.

Lampa syczy — lampa naftowa, którą ktoś stale oskarżał, że znów filuje. Tylko Marek, mój Marek nigdy na nią nie narzekał. Mówił, że w lampie naftowej światło żyje, że płomyk się porusza, oddycha — a elektryczna, to mały, zimny trupek w szklanej trumience.

Gdzie jesteś teraz, Marku? Ach, tam, gdzie Światło Wiekuiste jest również wiecznie żywe...

3 marca.

Więc to prawda? Zdecydowałam się tak jakoś nagle, że jeszcze sama nie wierzę...

A to było poprostu tak: w końcu lutego Staś do Warszawy przyjechał na kilka dni. Przyszedł niespodziewanie, nikogo w domu nie było, nawet Walerka wyszła na miasto.

Siedziałam nad cerowaniem pończoch Adelki, bo ona tego niecierpi sama robić, gdy nagle słyszę... ależ tak! Całkiem wyraźnie słyszę Stasiowe „kuszytyk — kuszytyk” po schodach. Skoczyłam do drzwi — on już miał rękę na dzwonku. Nie wchodząc nawet do mieszkania, chwycił mnie w ramiona, ucałował w oba policzki, potem w ręce, potem znów w oba policzki:

— Ciociu! — zawołał potem — czy dostanę coś do zjedzenia?

Boże kochany, Staś! Mój dawny Staś! Jakbym go wtedy widziała w listopadzie, za Niemców! Zakrzętnęłam się koło herbaty, a on tymczasem poszedł umyć ręce w moim pokoju, bo strasznie był brudny: z dworca prosto przyjechał. Usiadł potem w jadalni i przypatrywał mi się zdaleka:

— Przymizerniała ciocia! — rzekł nagle — Czy ciocia była chora?

— Nie, skądże!... Zdrowia, na szczęście, Pan Bóg mi jeszcze nie poskapił..

— No, to chyba ciocię coś trapi. Miała ciocia jakie zmartwienie?

— Et, nowego to nie...

Umilkł, a potem zaczął wypytywać o wszystkich: Gdzie ojciec? kiedy Tomkowie wrócili? Jak tam u nich? Czy to prawda, że Adelka cały karnawał przetańczyła, a teraz się podobno zamaż wybiera za cudzoziemca.

Opowiedziałam potrosze to i owo... i jakoś mię poniosło. Wygarnęłam Stasiowi całą prawdę: że Adelcia tylko zabawę ma w głowie i gorzej, bo się robi zupełnie do tych panien podobna, co o nich mówią niedobre rzeczy; że Herminka na płuca niedomaga, kaszle i chyba całymi dniami płacze, bo ma wciąż oczy zapuchnięte, że Tomek we własnym domu gościem bywa, po tygodniu, albo i więcej, siedzi niby to w Białymstoku, czy Łodzi — a właści-

wie Bóg raczy wiedzieć, gdzie się obraca i żona pewnie różnych jego sprawek zaczyna się domyślać, że Teofil zlorzeczy na rząd, że obaj z Tomkiem podobno ogromne pieniądze robią na akcjach, że wogóle...

— Ciociu! — przerwał mi Staś — czy ciocia doprawdy pierwszy raz widzi, że tu się niedobrze dzieć zaczyna? Przecież oni wszyscy, — ojciec, Adelka, Tomek — myślą tylko o sobie i... o pieniądzach. Jak byli Niemcy, spekulowało się na towarach. Pamięta ciocia tę wielką skrzynię z barchanem w gabinecie? Trzymali obaj z Tomkiem towar, czekając, aż ceny skoczą. Warszawa zrzuciła jarzmo okupacji, cały kraj się budził z niewoli, — a oni drżeli tylko o swój barchan, czy mydło... Och, ciociu, jestem pewien, że gdyby Tomkowi ktoś powiedział: wybieraj! będziesz miał ojczyznę wolną z dostępem do morza, z silną armią i kwitnącym przemysłem, albo zachowasz osobisty majątek i zarobisz dużo na spekulacji — Tomek bez wahania wybrałby swoje skrzynie! I to właśnie straszne jest, ciociu, że takich ludzi wszędzie pełno! Spekulowali na cukrze i na mące za Niemców, teraz spekulują na spadku marki polskiej, na polityce, na urzędach, — na wszystkim! Żerują na tej słabej i wątpliej ojczyźnie, którą przecie my... my sami... z gołymi rękoma prawie...

Odetchnął głębiej.

I nic im się nie dzieje, Żadna krzywda!

Są silni, zdrowi, coraz pewniejsi siebie, coraz bezczelniejsi! Wydaje im się, że dla nich Marek poległ na lwowskiej „reducie”, że dla nich ja zostałem kaleką, a setki moich kolegów przekreśliło całą swą przyszłość... Bo dla iluż z nich powrót do normalnego życia, do nauki, do pracy fachowej jest już teraz niedościgłym marzeniem? Ech, moja ciociu! Gdy tak popatrzyłem, co się wokoło dzieje, i dostrzegłem wszędzie prywatę, przekupstwo, pogoń za łatwym zarobkiem i karierowiczostwo... kiedy w moim domu rodzinnym jedno tylko istnieje bożyszcze: pieniądz — i jeden cel: zdobycie go za wszelką cenę... wtedy pomyślałem z goryczą: wiec poto? poto spłynęło tyle krwi, poto ginęli najlepsi i najdzielniejsi, by się teraz mogli panoszyć handlarze i egości?

Urwał, schował twarz w obu rękach. Ale po chwili podniósł głowę:

— Widzi ciocia! Nawet teraz uniosłem się. To źle. Tylko mię czasem niecierpliwość ogarnia. Chciałbym Ją prędzej widzieć taką, jaka powinna być: szlachetną i mądrą... Dlatego gdy w niej widzę ludzi małych, głupich, nikczemnych...

— Stasiu!

— Ciocia ma słuszość. Jak to powiedział Chrystus? „Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni”? Tak. To też ja dzisiaj, ciociu, nie chcę nikogo sądzić. Ja chcę tylko pracować. I tę pracę już sobie znalazłem, już mam... Ciocia parę razy w listach pytała, co ja robię? Powiem cio-

ci tylko tyle: mam małą posadkę, *na niby*, a poza tym dużo, dużo roboty *naprawdę*. Pięknej roboty, ciociu. Tam także wojna; ciężka, zaciekle walka wciąż trwa. I, szczęściem dla mnie, ta walka nie wymaga zdrowych i całych nóg, tylko zdrowego, polskiego serca. Rozumie ciocia? Polskiego.

— Oj, Stasiu! Ty znowu pewnie zabrnąłeś w politykę!..

— To nie polityka, ciociu. To tylko praca. I dobrze, dobrze mi z tym, ciociu. A tu mi było źle — I byłoby mi wciąż gorzej.

Zamyślił się, zawahał.

— I cioci tu jest źle — rzekł po chwili milczenia. — Ciocia tu chorować zaczyna...

— Ale gdzie tam, Stasiu! Co ci też w głowie! Ani mi się śni...

— A właśnie, że się cioci śni. Marek się cioci śni po nocach, prawda? I śnią się cioci takie ciężkie, bolesne pytania: po co — dla kogo — dla czego?... ja także miałem takie chwile. Ale minęło. Chwała Bogu, minęło.

Nagle twarz mu się rozjaśniła przecudownym uśmiechem. Zerwał się z krzesła, drewniana noga zaskrzypiała, ręce mi na ramiona położył...

— Wie ciocia co? Niech ciocia jedzie ze mną! Ja mam maleńkie mieszkanko, więcej tam papierów niż mebli... I z monetą nie nadzwyczajnie bywa... Ale wystarczy! Ciocia przecież nie przywykła do zbytków. No, niech się ciocia zdecyduje: raz, dwa...

— Kiedy, Stasiu, doprawdy... Tak raptem na mnie spadło...

— No, jeżeli ciocia musi się z tą myślą oswoić, to dobrze. To mi ciocia napisze. Jedno słowo tylko: „przyjadę”. Co, zgoda? Będzie mi ciocia prowadziła gospodarstwo... będzie pilnowała mieszkania... I żeby zimowego palta mole nie zjadły! A jak mnie kiedy szwabby do ciupy zamkną...

— Och, Stasiu!

— No, to nic tak strasznego! Zawsze ciocia tu może wrócić prawda?

Tak to było—tak mi powiedział. Tylko tyle. Wyjeżdżając, ucałował mię tylko i szepnął:

— Więc czekam, ciociu. Proszę pamiętać: jedno słowo!

Trzy dni myślałam tylko o tym. Chodziłam po mieszkaniu, jak niewidoma: zawadzałam o sprzęty, a przedwczoraj wreszcie powiedziałam Teofilowi...

Z początku trochę wydziwiał, odradzał mi, tłumaczył... Nie tylko sam Teofil, ale nawet Adelcia. A potem doszli wreszcie do przekonania, że ostatecznie, Staś...

Właściwie komu ja tu jestem potrzebna? Może byłam — niegdyś. Teraz już nie. Odchowały się moje kacząta, płyną sobie, dokąd chcą. A ja cóż? Wiecznie mam dreptać po brzegu i gdakać?

Rzeczy mam prawie spakowane. Za trzy dni jadę. Adelcia czuła dla mnie, serdeczna, jak dawno nie pamiętam. Ofiarowała mi wspa-

niałomyślnie swój czarny, jedwabny szal i złożyła zegarek-branzoletkę. Powiada, że dostanie drugi, jeszcze ładniejszy. Ha, skoro tak, przyjechałam bez zbytnich ceregieli.

Jednego mi bardzo żal — to Kazia. Już się do niego na dobre przywiązałam i ciężko mi pomyśleć, że dziecko będzie rosło, rosło... I wkrótce o mnie zapomni. Wyjadę w sam dzień jego urodzin — skończy pierwszy rok życia! Mówi już „mama” i „daj” i „cacy” i wiele innych słów. Tylko „tata” nigdy nie powiedział... Ale już tak... Daj mu Boże wszystko najlepsze, mojemu małemu słoneczku!

I jeszcze jednego mi żal: pokoju Marka. Część drobiazgów zabieram ze sobą. Komu tu potrzebne te stare zeszyty i zamazane rysunki? Zbutwiałyby tylko po szufladach, do których nie często kto zajrzy. Meble zostaną. Stolik, krzeselko, łóżeczko jego dziecinne z siatką i to drugie, na którym sypiał, podrosłszy...

Żeby tylko Adelcia zechciała zostawić ten pokój, jak jest...

Ale i to — drobiazg. Wszystko, co człowiek najbardziej kocha, z czym się rozstać nie może i czego nie zapomni — nosi tu, w głębi serca, w tej maleńkiej szkatułce, do której klucza chować nie trzeba, bo ma go przy sobie jedna tylko śmierć.

Przyjdzie kiedyś — otworzy — popatrzy.



76031

Biblioteka Dobrych Książek

w roku 1936-ym wydała następujące powieści
i opowiadania:

Klemens Junosza: „Pod wodę”.

Antoni Skrzynecki: „Wierzę”.

Janina Maria Chojecka: „Opętańcy”.

Jadwiga Ziółkowska: „Fale Bałtyku” (2 tomy).

*Pierre l'Ermite: „Kobieta z zamkniętymi
oczami”.*

Jan Szczepkowski: „Przez prerie i puszcze”.

Zofia Topińska: „Na zatracenie”.

Czesław Xawery Jankowski: „Sto procent”.

Klemens Junosza: „Czarne błoto”.

Ks. Karol Wisemann: „Fabiola” (2 tomy).

Cena każdego tomu w broszurze 1 zł.

„ „ „ w oprawie zł. 1,60.

Komplet 12 tomów w broszurze tylko zł. 10.

„ „ „ w oprawie „ zł. 16.

Uwaga na adres: ŁOMŻA, UL. OKRZEI 13.

**Do nabywania we wszystkich lepszych księ-
garniach w całej Polsce.**

w Warszawie: Skład główny w księgarni
„KRONIKI RODZINNEJ”, ul. Podwale 4.

Kto dobre książki czyta,
Tego się zło nie chwytą.

* * *

Kto z dobrą książką od młodych lat,
Ten w życiu bywa i zuch i chwat.

* * *

Dobra książka — prawdziwy to promień oświaty,
Dbajmy o to, by trafił do kaździutkiej chaty.

* * *

Kto dni lepszych chce dla braci,
Niech wśród starszych i młodzieży
„Bibliotekę Dobrych Książek”
Zawsze, stale wszędzie szerzy!

W kim przysłużyć się rodakom
Ttwi ochota mocna, szczerą —
„Bibliotekę Dobrych Książek”
Wszędzie, zawsze niech popiera!

* * *

Adres Redakcji i Administracji:
ŁOMŻA, ULICA STEFANA OKRZEI 13.

Nr. konta w P. K. O.

63,326

Przedpłata roczna zł. 10 — w oprowie zł. 16.